



PRAWA DO EKRANIZACJI
SPRZEDANE!

JACEK OSTROWSKI

RACZYCHO

Jacek Ostrowski
kolejny raz udowadnia,
że tworząc postać Zuzy,
doskonale wiedział,
dokąd ta historia
ma nas zaprowadzić...



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

**JACEK
OSTROWSKI**

RACZYCHO

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Raczycho

Redakcja
Monika Orłowska

Korekta
Bożena Sigismund

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zdjęcia na okładce
©PR Image Factory/AdobeStock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-89-3



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 25 19

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wszystkie postacie wymienione w tej książce są wymyślone przez autora, a ich ewentualne podobieństwo do kogokolwiek jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.

Zaskrzypiały zawiasy drzwi, do izby wszedł przystojny młody mężczyzna.

– Dziś twój wielki dzień, szmato – zwrócił się do kobiety skulonej na podłodze i przykutej łańcuchem za nogę do łóżka. – Co? Nie cieszysz się? – zapytał ze śmiechem.

– Błagam, wypuść mnie. Nikomu o tobie nie powiem, obiecuję – wyszeptala.

– A komu miałabyś powiedzieć? Wymień mi tu kogoś.

Podszedł do niej i przykucnął. Kobieta raptownie cofnęła się i przywarła plecami do ściany.

Wyciągnął rękę i poprawił włosy opadające jej na czoło.

– Ładna jesteś, ale nie bój się, buźki ci nie pokanceruję. Rozpruję ci jedynie brzuch i usunę wnętrzności. Na co ci one, kiedy już cię szlag trafi?

Uwięziona kobieta wybuchła płaczem.

– Dlaczego? Dlaczego ja? – łkała. – Nie zrobiłam ci nic złego, nie znam cię.

– Ale ja ciebie znam. Masz dwadzieścia osiem lat, jesteś nauczycielką, polonistką, i nazywałeś się Agnieszka Marciniak. Wystarczy?

– Skąd to wiesz?

– Obserwowałem cię. Nie myśl, że trafiłaś jedynie los na loterii. Jesteś wybranką, a to coś więcej, doceń to.

– Nie chcę być tą wybranką, chcę żyć, błagam – skamlała. – Zrobię, co zechcesz, tylko mnie nie zabi-
jaj.

– Spokojnie, nie denerwuj się, zaraz będzie po wszystkim. Lepiej nie traćmy czasu na jałowe dyskusje.

Poklepał ją przyjacielsko po ramieniu i podszedł do szafy, by wydobyć z niej dużą folię.

– Pewnie ciekawi cię, na co mi ona. Już spieszę wyjaśniać. Dzięki niej nie poplamie twoimi wnętrznościami podłogi. Jeszcze przyniosę wiadra na jelita. Nakarmię nimi ryby w pobliskim jeziorze. One to uwielbiają.

Kobieta zbladła, ogarnięta śmiertelną trwogą, ręce zaczęły jej drżeć. Szarpnęła łańcuchem we wszystkie strony w geście rozpacz, ale na próżno.

Mężczyzna powoli rozłożył folię na środku pomieszczenia. Na jej brzegach ustawił dwa wiadra ocynkowane. Na koniec z torby wyjął długi, zakrzywiony nóż. Przejechał po jego ostrzu palcem. Z zadowoleniem pokiwał głową.

Spojrzał na Marciniak.

– Jestem gotów. To co? Zaczynamy?

– Błagam! Nie! – krzyknęła.

– Nie drzyj mordy! – ryknął na nią. Jego twarz, do tej pory emanująca spokojem, zmieniła się diametralnie – wyrażała furję, a w oczach pojawiło się szaleństwo.

Z kieszeni wyciągnął sznurek i zaczął nim pętać kobietę. Szarpała się, wyrywała, ale daremnie. Był za silny, żeby mogła mu się skutecznie przeciwstawić.

– Nie stawiaj się, suko – mruzczał pod nosem. – To nic nie da.

Wreszcie się uporał z wiązaniem. Teraz Marciniak leżała na plecach na środku folii i nie była w stanie się poruszyć. W usta wcisnął jej kawał szmaty.

Załóżył na siebie długi fartuch rzeźniczy, chwycił nóż i ukląkł na podłodze. Wsunął go Marciniak pod ubranie i powoli je rozcinał, obnażając jej ciało. Nawet na chwilę nie spuścił wzroku z oczu ofiary, delektował się jej strachem. Kiedy skończył, ostrze dotknęło brzucha nieszczęśnicy. Czuł, jak pręży się pod jego naciskiem. Widział kropelki potu spływające z czoła kobiety.

– Boisz się? I słusznie, bo będzie cholernie boleć – szeptał jej do ucha. – Musisz cierpieć, bardzo cierpieć.

Raptownie wyrwał jej knebel, po czym gwałtownym ruchem wbił nóż niedużo poniżej pępka. Kobieta zawyla z bólu, a on niespiesznie rozcinał jej brzuch, nie zważając przy tym na wypływające z niego wnętrzności.

Był środek nocy, Płock spał i tylko w nielicznych oknach jarzyło się słabe światło. Zuza siedziała na kanapie i trzymała w dłoniach zdjęcie. Wciąż nie wierzyła własnym oczom, choć fotografia była wyraźna i nie mogło być mowy o żadnej pomyłce – to na pewno był Leszek Jarzębowski. Nowak też od razu go poznał. Jakim cudem żył? Przecież wykonano na nim wyrok śmierci, w papierach miała dokument, który to potwierdzał. Dopuszczono się mistyfikacji? Oszukano ją? Jeśli tak, to w jakim celu? Tylko jedno mogło to tłumaczyć: musiał być na ich usługach, musiał być ich człowiekiem. W sumie do nich pasował, i to jak ulał. A to sukinsyny. Pójdzie do Marcinkowskiego, on musi coś wiedzieć na ten temat, ciekawe, co jej powie. Dużo się po tej wizycie nie spodziewała, bo pewnie i tak jak piskorz wykręci się od odpowiedzi. Sięgnęła po kieliszek, ale zaraz na powrót go odstawiała. Wystarczy na dziś, jutro zapowiada się pracowity dzień, więc musi być w formie. Spojrzała na zegar, trzecia rano, czas iść spać. Podniosła się z kanapy i podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz i zimny dreszcz niczym błyskawica przemknął jej po kręgosłupie. Po drugiej stronie ulicy, nieopodal latarni dojrzała mężczyznę w długim płaszczu i tyrolskim kapeluszu. Stał oparty o ścianę pobliskiej kamienicy i patrzył w jej okno. Twarzy nie widziała, bo skrywała się w cieniu budynku. Z sylwetki bardzo przypominał Leszka, ale nie była do końca pewna, czy to on. Szybko cofnęła się w głąb pomieszczenia. Zgasiła światło i znowu wyjrzała. Mężczyzna zniknął.

– Cholera! – zakląła. – Koszmar powrócił. Czy on mi nigdy nie odpuści? Wraca nawet po śmierci.

Sprawdziła drzwi wejściowe, czy aby dobrze zamknięte, i poszła spać.

Długo się męczyła, nim zasnęła, co chwila przekręcała się z boku na bok, nawiedzały ją wspomnienia, te złe, krwawe sceny z leśniczówki, te, o których przez lata starała się tak usilnie zapomnieć. Teraz jej wysiłki wzięły w łeb, zdały się na nic. Wszystko odżyło, jakby miało miejsce wczoraj.

W mieszkaniu rozległ się świdrujący w uszach dźwięk budzika. Zuza, wyrwana z głębokiego snu, zerwała się na równe nogi, nie wiedziała, co się dzieje, w panice rozglądała się po pokoju. Potrzeba było dłuższej chwili, nim dotarło do niej, że to tylko koszmarne sny.

Wstała z okropnym bólem głowy, łyknęła trzy pastylki z krzyżykiem, i pomogło. Idąc do kancelarii, po drodze wstąpiła do ratusza, do Marcinkowskiego. Kiedy weszła, czytał gazetę, oczywiście „Trybunę Ludu”, dziennik z żelaznej listy obowiązkowych lektur działaczy partyjnych i bezpieczeństwa. Był wyraźnie zadowolony z jej niespodziewanej wizyty, odłożył gazetę, uśmiechnął się szeroko, ręką wskazał krzesło i od razu wyjął koniak.

– Za wcześniej! – zareagowała energicznie Zuza.

– Ale ja się napiję. Co cię sprowadza? Chyba coś ważnego, bo wizyt kurtuazyjnych to mi raczej nie składasz.

Nic nie mówiąc, położyła mu na biurku fotografię. Rzucił na nią okiem i zaraz jej oddał.

– Jeśli chcesz zapytać o tego człowieka, to go nie znam, a powinienem?

– Owszem, to Leszek Jarzębowski, mówi ci coś to nazwisko?

– Nie, a kto to taki?

– On nie żyje, ale jak się okazuje, tylko teoretycznie. Mam w domu dokumenty stwierdzające, że go powieszono, a to zdjęcie wykonano kilka dni temu. Jak to wytłumaczysz? Reinkarnacja, cudowne zmartwychwstanie? Nie wiem, jakiego jeszcze określenia można tu użyć. Co tu jest grane, do cholery?

Ostentacyjnie wruszył ramionami.

– Zadajesz mi dziwne pytanie. Skąd mam to wiedzieć, skoro go nie znam? Ale teraz przynajmniej już wiem, o kogo chodzi, o mojego niedoszłego zięcia. Sporo o nim słyszałem, pasowałby do naszej rodziny – zdrwił. – Muszę z przykrością stwierdzić, że nie masz szczęścia do facetów. Z każdym coś było nie tak, ale ten chociaż miał jaja, mimo że w głowie miał niezłe porąbane. Powoli tracę nadzieję, że zostanę dziadkiem – dalej kiął.

Zuza zatrzęśło ze złości, ale jego chamskie docinki puściła mimo uszu.

– Skoro uważasz się za mojego ojca, to czemu pozwalasz, żeby człowiek, który chciał mnie zamordować, teraz chodził bezkarnie po Płocku? Wspominasz o jajach? Ty też ich nie masz. Mocny jesteś tylko w gębie i nic więcej. A w ogóle to idź w diabły.

Podniosła się z krzesła i wyszła bez słowa pożegnania.

Marcinkowski chwilę siedział zamyślony, po czym sięgnął po słuchawkę i wykręcił znany sobie numer.

– Tu pułkownik Marcinkowski, połączcie mnie z generałem Matusiakiem, i to pilnie.

Zuza bezpośrednio po opuszczeniu ratusza udała się do baru mlecznego na śniadanie. Ledwie umościła się przy stoliku, gdy przysiadła się do niej jakaś kobieta. Zuza rzuciła jej niechętnie spojrzenie, bo niczego innego teraz nie pragnęła, jak w spokoju zjeść śniadanie, gdyż powiedzieć „delektować się nim” byłoby sporym nadużyciem.

– Tam są wolne stoliki. – Zuza wskazała ręką inną część sali i zabrała się do lektury „Trybuny Mazowieckiej”.

– Ale ja do pani na słówko, pani mecenas. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Wszystko jest niecierpiące zwłoki, a tym bardziej moje kakao. Zimne obrasta obrzydliwymi kożuchami i nie da się go pić.

– Proszę mnie wysłuchać, obiecuję, że będę się streszczać.

– Na to liczę, kochanieńka. – Westchnęła głośno. – A więc o co chodzi? Tylko same konkrety.

Teraz dopiero przyjrzała się kobiecie. Ubrana dobrze jak na prowincjonalne miasteczko, wiek blisko sześćdziesiątki, dłonie nad wyraz gładkie, a więc inteligentka albo żona jakiegoś partyjnego dupka, tak zwana czerwona lala.

– Zna pani sekretarza Gutkowskiego?

Zuza na szybko przeszukała pamięć, ale bez rezultatu.

– Nie, nie kojarzę tego typu. A o co chodzi? Co przeszkobał? No bo każdy z nich to kawał sukinsyna.

– Nie on, chodzi mi o jego żonę, Nataszę.

– A co z nią nie tak? Łajdaczy się z innym partyjniakiem, a może z księdzem?

Kobieta rozejrzała się płochliwie po sali.

– Ona zabija dzieci – wyszeptwała.

Zuza spojrzała na nią badawczo, a po chwili parsknęła głośnym śmiechem.

Nieznaną wyraźnie speszyła jej reakcja.

– Czemu się pani śmieje? Nie wierzy mi pani?

– Czyje to dzieci? Pewnie jeździ tą słynną czarną wołą. To jest ciężkie oskarżenie. Nie słyszałam ostatnio, żeby ktoś mordował dzieci. Nie lubi jej pani? Ma na imię Natasza, więc może jest Rosjanka. Pewnie dlatego krzywo pani na nią patrzy. Mam rację? Ja też ich nie lubię, ale nie można nikogo bezkarnie oskarżać. Na to jest paragraf i można skończyć w kryminale.

– Pani mecenas, ja nie wiem, czy to Rosjanka, czy nie, ale to prawda.

– Może same umierają?

– Nie, nie. Mówię pani, ona je zabija.

Zuza zerknęła tęsknie na kakao. Zobaczyła, jak zaczynają się tworzyć na nim kożuchy.

– Cóż mogę poradzić? Niech pani idzie na milicję i tam to zgłosi. Najlepiej porozmawiać z kapitanem Mariańskim. To jest doświadczony milicjant. Łatwo go pani pozna, ma strasznie pokancerowaną kacią. A przy okazji, jak już pani tam będzie, to proszę go ode mnie pozdrowić. On od lat czuje do mnie prawdziwą miłość.

– Byłam, ale mi nie uwierzyli, przesłuchał mnie oficer, taki gruby, sporządził notatkę i na tym koniec. Nie wiem, czy to ten Mariański, bo się nie przedstawił, ale ma okropne blizny na twarzy.

– To on, znam go jak własną kieszeń, a może i lepiej. – Zuza uśmiechnęła się tajemniczo. – Dobrze, przyjrzyj się sprawie, ale nic nie obiecuję. Teraz proszę iść do domu i pozwolić mi w spokoju zjeść śniadanie.

– W pani nadzieja, pani mecenas. To ja przyjdę za kilka dni spytać, czego się pani dowiedziała.

– Nie, proszę się nie fatygować. Sama panią znajdę. – Zuza już raz była w ten sposób nękana, i to przez wiele miesięcy. Dopiero wyrok sądowy ostudził jej prześladowcę. Wolała tego ponownie nie przerabiać.

– Dziękuję.

Kobieta wstała z krzesła i się oddaliła.

Kakao wystygło i całe pokryło się grubymi kożuchami, obrzydlistwo. Zuza odstawiła kubek, zjadła bułkę z marmoladą, po czym udała się do kancelarii. Aplikantka na jej widok natychmiast postawiła czajnik na gazie. Dziewczyna starała się, a Zuza coraz bardziej się do niej przekonywała. Czują, że będą z niej ludzie, mimo że jej wujem był ten sukinsyn Ludwicki, co stanowiło spory balast przy ich wzajemnych relacjach. Ledwie się rozpakowała i rozsiadła w fotelu, a już szklanka z gorącą herbatą stała przed nią na biurku. Zuza wyjęła z szuflady akta dzisiejszej sprawy. Musiała je jeszcze przejrzeć na szybko, bo ten dupiek sędziego Nowacki tylko czekał na jej jakieś potknięcie. Tymczasem dziewczyna, zamiast wyjść z pokoju, tkwiła w miejscu niczym słupek soli. Dziwne zachowanie. Zuza spojrzała na nią z niepokojem.

– Co się stało? Gadaj szybko, bo mam sporo pracy.

– Chciałam przeprosić – zaczęła dukać aplikantka. – Przez to zdjęcie pani się bardzo zdenerwowała, może niepotrzebnie je zrobiłam. To się więcej nie powtórzy, obiecuję.

– Co ty mi tu pieprzysz takie farmazony? – ryknęła na nią Zuza. – Jestem ci za nie bardzo wdzięczna. Przynajmniej nie żyję w błogiej nieświadomości. Wiem, że gdzieś w mieście czai się taki jeden skurwysyn i coś knuje, ale skoro tu jesteś, to mam dla ciebie zadanie.

– Co trzeba zrobić? – Dziewczynie z ciekawości aż oczy zabłyśły.

– Dowiedz się czegoś o rodzinie sekretarza Gutkowskiego, a zwłaszcza o jego żonie, Nataszy.

– Nie słyszałam o nim, kto to?

– Tak jak ja i dlatego tu i ówdzie zasięgnij języka na ich temat. Myślę, że coś znajdziesz, bo jak już zdążyłam zauważyć, masz bardzo szerokie znajomości.

– Ale o co konkretnie mam pytać? Czego mam szukać?

– Nie wiem czego, jakichś ploteczek, czegoś o ich dzieciach. Ile ich jest, gdzie chodzą do szkoły. Szczególnie interesuje mnie Natasza, choć... – Zuza się zawahała. Czy faktycznie ją to zainteresowało? Raczej nie, ale dziewczyna musiała coś robić, nie będzie wciąż flirtować z tymi starymi kozłami Nowakiem i Kowalskim. Jeszcze ją któryś zbałamuci. – Popytaj o wszystkich. Porozmawiaj z sekretarką pierwszego sekretarza, ma wobec mnie dług wdzięczności. Gdyby nic nie wiedziała, idź do sekretarza od spraw propagandy, nazywa się Niegórski, jak się na mnie powołasz, to pewnie nie odmówi ci pomocy. Jest oślisły jak wąż, ale tym się nie przejmuj, u nich to w zasadzie powszechna ułomność.

Aplikantka wyszła, Zuza sięgnęła po słuchawkę. Potrzebowała Nowaka, i to na gwałt. Pechowo trafiła, bo akurat poszedł na rynek po kurę. Żona miała mu przekazać, że dzwoniła Lewandowska, ale czy ta czarownica mu to powie? Wątpliwe. Od zawsze nie cierpiała Zuzy, pewnie była o nią zazdrosna. Trzeba zadzwonić później.

Trzasnęły drzwi wejściowe, to pewnie Kowalski. Należało mu przyznać, że od powrotu bardzo się starał, nie przyprowadzał panienek do biura i na każdym kroku starał się być usłużny. Raz nawet wyręczył ją w sądzie. Ciekawe, jak długo potrwa ta sielanka. Pewnie do pierwszej zarwanej cizi.

Ktoś zapukał do drzwi, które zaraz potem się uchyliły. Zuza ujrzała Teresę, psychiatrę, starą przyjaciółkę. Bardzo się ucieszyła, bo dawno się nie widziały.

– Wchodź! Mam mało czasu, ale choć chwilkę pogadamy. – Zaprosiła ją do środka.

Uściskały się serdecznie.

– Co u ciebie? – spytała Zuza. – Mam nadzieję, że lepiej niż ostatnio. Wtedy byłeś w paskudnym nastroju.

– Bez zmian. Faceci przestali mnie kręcić, za dużo przez nich problemów. Dzieci rosną. W szpitalu stosunki paskudne. Jest nowy ordynator, kawał szui. To tak w skrócie.

– Widzę, że Kowalski mocno ci zalazł za skórę. Muszę cię uprzedzić, że wrócił do kancelarii.

Teresa pokręciła głową, nie kryjąc dezaprobaty. Zapewne nie chciała się z nim widzieć twarzą w twarz, co było zrozumiałe.

– Co takiego oni mają w sobie, że wciąż im ulegamy? Chyba źle zrobiłaś, przyjmując go z powrotem, znów zrobi ci z kancelarii dom schadzek.

– Może nie. Bądźmy dobrej myśli. Nie mogłam dłużej patrzeć, jak się stacza, jak zmierza do katastrofy. Wyznał mi ostatnio, że tam w Nowym Rynku głównie pisywał pisma procesowe za kurę, mało tego, za żywą kurę. To przecież prawdziwy upadek adwokata. To tak jak prostytutka, która daje dupy za pierosa.

– Nie przesadzaj, ty też nieraz pisałaś za darmo, sama mi o tym mówiłaś.

– Owszem, ale tylko czasami i w uzasadnionych sytuacjach. Czego się napijesz?

– Niczego, jestem skonana po nocnym dyżurze. Wstąpiłam do ciebie w drodze do domu. Mam sprawę.

– Ty? Do mnie? Przecież już się szczęśliwie rozwiodłaś. Chyba że nerwy ci puściły i uduśliłaś jakiegoś czubka. Paragraf sto czterdzieści osiem, kocham to.

– Nie, to nie to, choć nieraz mam wielką ochotę.

Teresa wyjęła papierosy i zapaliła. Zuza natychmiast uchyliła okno, bo nie cierpiała zapachu zefirów.

– Mam na oddziale pacjentkę, która twierdzi, że jej syn konstruuje bombę i chce ją podłożyć w jej mie.

– Poważnie? Ręce same układają się do okłasków, ta kobieta ma mądrego syna. Też bym to z chęcią rozwalila, ale brakuje mi odwagi i wiedzy pirotechnicznej.

– Proszę, nie żartuj. Leczę ją od lat i przez to znam bardzo dobrze. Mam podstawy, żeby jej wierzyć.

Zuza spojrzała na nią zdziwiona.

– Nawet jeśli tak, to czego ode mnie oczekujesz? Niech się do mnie zgłosi, ale już po fakcie, po wielkim bum! Będę go bronić za darmo, słowo.

Teresa wyjęła z torebki kartkę i położyła ją na biurku.

– To są namiary na tego męczycyżnę, pogadaj z nim, oceń jego zamierzenia. Proszę cię.

– A czemu ty tego nie zrobisz?

– Zna mnie, wie, że jestem lekarzką jego matki, i nie chce ze mną gadać. Często słowo „psychiatra” źle działa na ludzi i tu akurat mamy do czynienia z takim przypadkiem.

Zuza zerknęła na adres i na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

– To przecież Łąck.

– Jak nie masz czym dojechać, to cię tam zawiozę.

– Spokojnie, dam radę, ale nie obiecuję, że go odwiodę od tego pomysłu, bo nie ukrywam, że bardzo mi on przypadł do gustu, a w takiej sytuacji trudno jest znaleźć mocne argumenty na nie. Musiałabym

sporo nakłamać.

– Poradzisz sobie, wierzę w ciebie. Każdy adwokat to notoryczny kłamca. – Zaśmiała się. – Teraz zabieram się stąd, bo po dwudziestoczworgodzinym dyżurze już ledwie na nogach stoję. Jak tam będziesz, to przy okazji rozejrzyj się po jego mieszkaniu. Ponoć w kuchni zrobił laboratorium i mieszka w nim składniki.

– To wszystko wiesz od jego matki, notabene wariatki? – zadrwiła Zuza.

– Uważasz, że wariaci nie mają momentami przeblysków świadomości? Większość z nich je ma.

– Wiem jedno: te wasze kolorowe pigułki potrafią z ludzkim umysłem czynić cuda. Za dobrze mi utkwiła w głowie sprawa Piaseckiego. Jutro mam wyjazd do sądu w Gostyninie, to w drodze powrotnej do niego zajrzę. Może mu się dorzucę na te składniki.

– Nawet w żartach o tym nie mów. – Teresa nie kryła oburzenia. – Tu chodzi o życie setek ludzi.

– A co ty? Zapisalaś się do PZPR? Żal ci towarzyszy partyjnych?

– Idę już lepiej do domu, bo się jeszcze pokłócimy. Z góry dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Zuza puściła do niej oko. – Mam w piwnicy dwa wiadra prochu, podrzucę mu przy okazji.

– Wariatka!

Lekarka chwyciła torebkę i opuściła kancelarię.

W chwilę potem zjawił się listonosz.

Do cholery, gdzie się podziała aplikantka? – zastanawiała się Zuza, kwitując odbiór listu poleconego. Spojrzała na pieczętkę nadawcy. „Przychodnia Rejonowa ulica Królewiecka RENTGEN”.

Dziwne, przecież niedawno była na prześwietleniu, na małym obrazku, więc czego mogą jeszcze od niej chcieć? Rozerwała kopertę, a w środku znalazła wezwanie na powtórne prześwietlenie, ale tym razem na duży obrazek. Poczula niepokój, czyżby coś znaleziono? Cholera, byle nie gruźlica. Dobrze wiedziała, jak się Nowak z nią męczył. Nie chciałaby tego przechodzić, a co najgorsze, rzucać papierosów. Nie, to kategorycznie odpada. Zawsze mówiła, że zejdzie z tego świata z papierosem w ustach i kieliszkiem w dłoni, i to ma się spełnić.

Kowalski zajrzał do jej pokoju, akurat kiedy studiowała wezwanie. Zerknął na kopertę.

– Co? Znów coś złapałaś? – spytał, śmiejąc się.

– Widzę, że jak ty dostajesz pismo z ośrodka zdrowia, to tylko z poradni wenerologicznej – odgryzła mu się. – Wyobraź sobie, że są jeszcze inni specjaliści. – Schowała wezwanie do torebki, bo znając go, wiedziała, że zaraz po jej wyjściu przetrząsnąłby wszystkie szuflady. – Co cię sprowadza? – spytała zaczepnie.

– Spotkałem Teresę i opowiedziała mi o zabawnym zdarzeniu. U niej na oddziale jest dwóch Chrystusów. No i doszło do rękoczynów, bo jeden zarzucił drugiemu, że się pod niego podszywa.

– Faktycznie, zabawne – odparła beznamiętnym głosem, głośno wzdychając. – Suchar. Wiesz, ile ja już słyszałam takich historii? Mnóstwo! Mnie to przestało bawić. Ci wariaci przynajmniej są tam, gdzie powinni. Pamiętam sprawę niejakiego Antoniewicza. Ubzdurał sobie, że przyczyną rozbicia się ła, którym leciała Anna Jantar, był zamach. Chodził po mieście, zaczepiał ludzi, robił jakieś eksperymenty na parówkach i puszkach po konserwach. W końcu podczas jednego z eksperymentów wyfrunął z okna swojego mieszkania i skończył jak ci z ła. Wszyscy wiedzieli, że ma nierówno pod sufitem, ale nikt nie zawiadomił psychiatrów. Nie dali mu odpowiednich kolorowych pastylek i skończył tak jak skończył, amen. Muszę teraz wyjść, bo sędzia Nowacki znów mnie opierdoli, że się spóźniłam. Gdyby mnie ktoś szukał, to będę za dwie godziny.

Major Kownacki siedział w swoim pokoju i wertował jakieś dokumenty. Usłyszał pukanie do drzwi.

– Wejść! – ryknął.

Mariański wtoczył się do pomieszczenia i niezadarnie zasalutował.

– Obywatel major mnie wzywał.

– Owszem, siadajcie – wskazał krzesło – tylko delikatnie, bo przy waszej wadze... No właśnie, zapasiliście się za biurkiem, czas ruszyć w teren. Ale wezwałem was nie w tej sprawie. Jak wiecie, jestem waszym nowym przełożonym. Zgadnijcie, co teraz czytam. – Dłonią uderzył w leżące przed nim papiery.

– No, nie mamy pojęcia, obywatelu majorze – wydukał kapitan.

– Wasze notatki służbowe. Właściwie staram się je czytać, ale tego się czytać nie da. Jak wy doszliście do stopnia kapitana? Kto wam dał nominację oficerską? Wstyd przynosić naszemu mundurowi. Twarz Mariańskiego ze złości pokryła się purpurą, ale zęby zacisnął i nic nie odparł.

– Jeśli chcecie dalej służyć w milicji, to musicie nauczyć się pisać.

– Meldujemy, że umiemy pisać, towarzyszu majorze.

– Co, kurwa, umiecie? Jesteście pośmiewiskiem, nie rozumiem, czemu was jeszcze nie wypierdolił z milicji. Będzie was uczył porucznik Pawłowicz. To rozkaz. Zaczynacie od jutra.

– Obywatelu majorze, ale to baba.

– A co wy, kurwa, rasista jesteście? Co z tego, że baba? Boicie się jej? Macie się do niej zgłosić i koniecznie. Przyłóżcie się do nauki, to taka dobra rada. Pawłowicz ma mi co tydzień raportować o waszych postępach. A teraz wynoście się, bo mam robotę.

Mariański podniósł się ociężałe z krzesła i ruszył do drzwi.

– Poczekajcie!

Odwrocił się i spojrzał pytająco na Kownackiego.

– Tak przyglądamy się waszej gębie i się zastanawiamy. Macie ją okropnie poharataną, aż trudno na was patrzeć. Nie możecie coś z tym zrobić? Jakaś operacja czy co? Przy okazji idźcie do dentysty, niech wam wstawi z przodu te dwa zęby, bo okropnie seplenicie. To wszystko, możecie iść.

W przychodni, o dziwo, było pusto. Zuza podeszła do okienka i podała rejestratorce wezwanie, a po chwili została poproszona do środka, żeby uwiecznić na kliszy jej płuca. Nie było lekarza, nie było z kim rozmawiać, żeby ustalić, co wyszło nie tak, a zatem musiała uzbroidzić się w cierpliwość.

Wracając do kancelarii, spotkała doktora Kalickiego. Tak jak zawsze z rozwianymi włosami mknął na swojej damce. Na jej widok raptownie zahamował.

– Witam panią mecenas. Co słyhać? Dawno się nie widzieliśmy.

– Niedobrze, wracam z rentgena.

– Z prześwietlenia czy z wynikami?

– Z dużego obrazka. Na małym najwyraźniej coś musiało wyjść. Byle nie gruźlica, ale ja nawet nie kaszlę.

– E tam. – Doktor lekceważąco machnął ręką. – Te małe zdjęcia często nie wychodzą. Uważam, że to jakiś durny wynalazek, no bo co można zobaczyć na czymś takim, skoro ledwie płuca widać? Proszę się tym nie przejmować, ale gdyby coś tam wyszło, to mam specjalistę. Dobry i, co ważne, nie zdziera skóry z pacjentów. Czy mogę do pani zajrzeć z pewnym pismem, chodzi mi o to, żeby fachowiec rzucił na nie okiem?

– Jasne, zapraszam, a z kim teraz pan wojuje?

– Z pewnym chirurgiem, doktorem Krzaklewskim. Wiecznie na dyżurach jest wstawiony. Wie pani, ile już nóg i rąk źle poskładał?

– Domyślałem się, że sporo, skoro wziął się pan za niego. Też słyszałam o nim co nieco. Znajomej wyciął nie tę nerkę, co trzeba, a drugą uszkodził. Komuś innemu tak ponoć stopę złożył, że palce ma z tyłu, ale to chyba tylko czyjś wymysł, bo mi się w to nie chce wierzyć. No chyba że był kompletnie nawalony.

– O, świetny przypadek z tą nerką, niech mi pani da adres tej kobiety. Może zgodzi się zeznawać?

– Wykluczone, powiedziała mi to w tajemnicy. Jej mąż pracuje w szpitalu, a ona się boi, że jak zrobi z tego zadymę, to chłop straci robotę. Sam pan wie, że lekarze są nietykalni, a często cholernie mściwi.

– I to się powinno zmienić, taki łobuz to powinien siedzieć, a nie ludzi leczyć.

– Ale gdzie ma siedzieć – Zuza się roześmiała – skoro więzienia są wypełnione wrogami ludu? Dla władzy oni właśnie są najgorszymi przestępcami, a nie niekompetentne konowaly.

– Trzeba walczyć, pani mecenas. To ja lecę dalej, mam pacjenta z bólem podbrzusza, być może z zapaleniem wyrostka, a to nie lubi czekać.

Doktor wsiadł na rower i pojechał w kierunku ulicy Bielskiej. Zuza chwilę za nim patrzyła i z podziwem kręciła głową, jej by się tak nie chciało pedałować, była na to za wygodna, no i jej przepalone płuca raczej nie dałyby rady, pewnie wyglądały teraz jak dwa dziurawe miechy kowalskie. Wolnym krokiem udała się w stronę kancelarii. W połowie ulicy Tumskiej usłyszała przeraźliwy krzyk. To kobieta szarpała się z jakimś mężczyzną. Chodziło mu o jej torebkę, w końcu jej ją wyrwał i zaczął uciekać. Miał pecha, że przebiegał obok Zuzy. Ta jak zwykle zachowała zimną krew i podstawiła mu nogę. Złodziej runął na ziemię i wyhamował twarzą na płycie chodnika. Trzeba przyznać, że desperat, bo torebkę wciąż mocno trzymał w dłoni. Mimo że twarz sphywała mu krwią, Lewandowska od razu go poznała, bo kiedyś był jej klientem.

– Kamiński, ty sukinsynu! – ryknęła na niego. – Jak się nie wstydzisz okradać kobietę, i to w biały dzień! Oddaj torbę tej pani, ale już!

Mężczyzna podniósł się i ponownie chciał dać nogi za pas, lecz Zuza chwyciła go za ramię i nie zamierzała puścić. Wianuszek gapiów momentalnie ich otoczył, zaczęto szarpać Kamińskiego, rzucać wyzwiska, jeszcze chwila i doszłoby do samosądu. Na szczęście dla złodzieja zjawili się milicjanci i zabrali go do nyski. Dłuższą chwilę z auta dochodziły jego rozpaczliwe krzyki, a sam pojazd aż drżał na kołach. Tak oto władza za pomocą zwykłej pałki milicyjnej starała się resocjalizować drobnego złodziejaska, czemu z satysfakcją przysłuchiwała się głodna wrażeń tłuszcza. Zuza tym razem nie zamierzała interweniować, po pierwsze, to już nie był jej klient, a po drugie, to mu się należało jak psu buda.

W kancelarii czekał na nią prezes spółdzielni „Kacze Pióro”.

– A ten czego znów tu chce? – mruknęła po nosem sama do siebie, ale on to usłyszał.

– Chciałbym się przypomnieć w sprawie tekstu – rzekł z uśmiechem na twarzy.

Co mu tak wesoło? A w ogóle czemu ją wciąż nachodzi? Teraz nie ma czasu na pisanie, niech jej dupy nie zawraca. Ma na głowie ważniejsze rzeczy.

– Panie Bielski, a czy umawialiśmy się na jakiś konkretny termin? Jak napiszę, to dam znać, teraz mam sporo pracy. Żegnam!

Ostentacyjnie wyjęła z biurka teczkę Fijałkowskiego, seryjnego gwałciela staruszek, obrzydliwego typu.

– Pani Zuzo, w maju jest coroczny kiermasz książki, chciałbym, żeby pani tam podpisywała swoją autobiografię.

Słyszac to, parsknęła śmiechem.

– Panie, ja po publikacji tych wszystkich brudów to będę w Płocku wrogiem publicznym numer jeden, większym niż obecnie Jaruzelski. Prędeż przyjdą mnie zaciukać niż po moją dedykację. Tego jestem pewna, tak samo jak tego, że jeśli pan zaraz nie zniknie z moich oczu, to cisnę w pana tymi teczkami, co tu przede mną leżą.

– To będzie bestseller, zapewniam panią. Przyjdą tłumy, jestem przekonany. Wciąż mamy trochę czasu, ale proszę o mnie pamiętać.

– Oczywiście – odparła od niechcienia i otworzyła akta, tym samym dając przybyszowi do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona.

Bielski podniósł się z krzesła i wyszedł.

Zuza autobiografię ukończyła już tydzień temu, ale chciała ją na spokojnie przeczytać i zastanowić się, czy jeszcze komuś dowalić, bo taka okazja mogła się już nie powtórzyć.

Wracając do domu, na ulicy Grodzkiej zobaczyła znajomą wołgę. To od jej pasażera kilkakrotnie otrzymała ciekawe materiały dotyczące pułkownika Januszka, ale ta pomoc nie była bezinteresowna, nieznanemu chciał przyskrzytnić pułkownika, mieć na niego mocne haki. Wydarzenia jednak potoczyły się zupełnie inaczej i teraz jej niedawny sprzymierzeniec zmienił front. Na razie skończyło się na groźbach, ale jak się to dalej potoczy, tego nie mogła przewidzieć. Sęk w tym, że on wiedział o niej wszystko, a ona o nim nic, nawet nie знаła jego nazwiska. Samochód stał przed kamienicą o numerze 12. Co on tu robił? To ją zastanowiło. Postanowiła to sprawdzić, szybko skryła się w najbliższej bramie i czekała. Mijały minuty i nic, nikt nie wychodził. Wciąż tkwiła w ukryciu, łudziła się, że nieznajomy wyjdzie w czymś towarzystwie, bo to mógłby być jakiś punkt zaczepienia do ustalenia jego tożsamości. Nadal czekała, paliła papierosa, jednego za drugim, przestępowała z nogi na nogę, żeby się rozgrzać, bo robiło się zimno, i wciąż nic. A jeśli ten sukinsyn będzie tu nocować? O tym wcześniej nie pomyślała. Nie, on tu nie mieszka, to przecież jej stała trasa do domu i nigdy tu nie widziała tej wołgi.

– Hej, lala, chcesz się zabawić? Mamy flaszkę samogonu i chatę. My damy ci wychłać, a ty nam czegoś innego nie poskąpisz. W końcu ona nie z mydła i się nie wymydlą.

Przyplątało się jakichś dwóch pijacków. Ledwie trzymali się na nogach, co chwila przytulali się do ściany. Jeden z nich miał twarz fioletową, pewnie wielbiciel denaturatu. Tacy to najgorszy sort, pili wszystko, co miało w sobie procenty, nie gardząc nawet tanimi wodami toaletowymi.

Tylko ich tutaj brakowało. Mogli jej wszystko zepsuć.

– Spieprzać mi stąd, i to zaraz! – ryknęła na nich.

– Co się, kochanieńka, tak złościsz? Lalunia, mamy flachę. Zabawimy się. Daj buziaka.

– Jak ci się, kurwa, zabawię, to popamiętasz, ty sukinsynu! Zaraz ci jaja urwę!

Ruszyła w ich kierunku. Nie bała się, za bardzo byli pijani, żeby mogli jej zrobić krzywdę.

Chwyciła pierwszego z nich za klapę kurtki i tak pchnęła go do tyłu, że z trudem złapał równowagę.

To poskutkowało, zaczęli się powoli wycofywać.

– Dobra, dobra, chodź, Mietek, to jakaś stara, porąbana suka, poszukamy innej, młodszej.

Drugi z łapciuchów jedynie coś niewyraźnie zabelkotał, objęli się w pół i pożegnowali dalej.

Zuza odetchnęła z ulgą. Zapaliła kolejnego ekstra mocnego, spojrzała w okna oficyny i serce szybciej jej zabiło. Na pierwszym piętrze nagle zgasło światło. Czyżby? Może wreszcie się doczeka. Zaskrzybiały zawiasy otwieranych drzwi korytarza i wtedy zobaczyła nieznajomego, tak, to był on, bez cienia wątpliwości. Od razu go poznała, choćby po charakterystycznej sylwetce. Był sam, zdziwiła się, czyżby jednak tu mieszkał? Jeśli tak, to bez trudu ustali jego tożsamość, a później zasięgnie o nim języka. Dobrze wiedzieć, z kim ma się na pieńku. Przywarła do ściany plecami, żeby jej nie dostrzegł. Minął ją w odległości kilku metrów. Wsiadł do wołgi, ale tym razem usiadł za kierownicą, i w chwilę później odjechał. Długo się nie zastanawiała, weszła do kamienicy i wspięła się na pierwsze piętro. Troje drzwi, wiedziała, które to było okno i które mieszkania może wykluczyć. Na szybko wszystko analizowała. Zostało dwoje, na jednym zobaczyła cztery wizytówki, czyli cztery rodziny. Nie, to nie tu, a więc ostatnie. Na futrynie przycisk dzwonek i mała mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem – Parciński. Nic jej to nie mówiło. Jej palec powędrował w stronę przycisku, ale zawahała się. Jeśli ktoś jej otworzy, to co mu powie, jaką bajeczkę wymyśli na poczekaniu? Musi coś naprędce przygotować. Nagle zauważyła, że drzwi są uchylone. Dokładnie się im przyjrzała i zobaczyła dłaczego. Niedopatrznie nieznajomego, przekreślił klucz w zamku, zanim je domknął. Delikatnie je pchnęła, otworzyły się na oścież. W mieszkaniu panował półmrok.

– Jest tu kto?! – krzyknęła, ale nikt się nie odzywał. Panowała cisza, zmacona jedynie miarowymi uderzeniami zegara. Wejść czy wycofać się? Jak zawsze u Zuzy, ciekawość okazała się silniejsza od strachu. Nie chciała zapalać światła, więc skorzystała z latarki, którą miała w torebce. Szła krok po kroku, uważnie się rozglądając. To było duże mieszkanie, umeblowane ciężkimi, drewnianymi meblami,

nie żadnymi – jakże popularnymi – gównianymi dedeerowskimi meblściankami. Na pewno dobrze pamiętały księżki Pilsudskiego, a być może nawet zabory. Przy ścianach stały wysokie dębowe regały zapemnione książkami w pięknych obwolotach, na środku salonu krzesła z czarnymi skórzanymi siedziškami otaczały długi i szeroki stół, a u sufitu wisiały piękne kryształowe żyrandole, w świetle latarki iskrzące się mnóstwem ognistych odbłasków. Tu musiał mieszkać ktoś ważny, takie duże mieszkania władza ludowa zabierała prawowitym właścicielom, ograbiła je z wartościowych rzeczy, a potem dzieliła na kłitki i dawała biedocie. Tymczasem ten lokal ominęła nacjonalizacja. Zuza po kolei zwiedzała pomieszczenia: salon, dwie sypialnie i kuchnię z wielkim oknem. Była oczarowana wnętrzem, które bardzo przypominało jej opowieści rodziców o ich mieszkaniu. Ona go niestety nie pamiętała, nie mogła, bo urodziła się wiele lat po wojnie, dawno po komunistycznym rozgrabieniu. Zostały jeszcze jedne zamknięte drzwi. Otworzyła je i oświetliła pomieszczenie. Nagle krzyknęła, latarka wypadła jej z dłoni. To była łazienka – piękna biała glazura na ścianach, na posadzce biało-czarna terakota ułożona w szachownicę i wanna... cała upaprana krwią. Z progu widać było jedynie bezwładnie zwisającą rękę, a resztę dopowiedziała Zuzie wyobraźnia. Podniosła latarkę i powoli, krok za krokiem, zaczęła się zbliżać do wanny. Teraz widziała dobrze kobiece ciało zanurzone w wodzie i przeraźliwie blade. Ile denatka mogła mieć lat? Lewandowska pochyliła się nad nią. To kobieta w średnim wieku, stwierdziła. Na rękach dojrzała nacięcia wzdłuż żył, fachowa robota. Samobójczyni czy ofiara zbrodni? Wyglądała na tę pierwszą, ale jeśli sama targnęła się na swoje życie, to powinien gdzieś tu być list pożegnalny, tak czynią samobójcy. Zuza nachyliła się jeszcze bardziej, żeby przyjrzeć się uważniej ciału, i wtedy zobaczyła ranę kłutą pod lewą pachą. To rozwiałoby wszystkie jej wątpliwości. Tę kobietę ktoś zadźgał, a później wrzucił do wanny. Czemu jeszcze podciął jej żyły? Przecież to nie miało żadnego sensu, jedynie przyspieszyło wykrwawienie. Może właśnie o to chodziło? Wyszła z łazienki. Musiała jak najszybciej stąd zwiewać, zniknąć z miejsca zbrodni, i to niezauważalnie. Już sobie wyobrażała Mariańskiego, jak z obłędem w oczach zarzuca ją, jak to on, mnóstwem durnych pytań. Chusteczką wytarła kłamki, ale kiedy była już w przedpokoju, usłyszała głosy dochodzące zza drzwi, z korytarza. Spanikowała. Cholera, ktoś tu szedł. Rozejrzała się w panice po przedpokoju. Tu nie było gdzie się ukryć. Pośpiesznie wycofała się do najbliższej sypialni. Ktoś wszedł do mieszkania, to było kilka osób, sądząc po głosach – mężczyzn. Nie mogła tu tak stać, bo a nuż by tu zajrzeli, więc wślizgnęła się do szafy i nasłuchiwała. Przybysze rozmawiali o kimś, mówili cicho, prawie szeptem, i przez to niedużo zrozumiała, ale na pewno wymienili nazwisko Oskroba. To jednak jej nic nie mówiło. Być może tak się nazywała zabita. W każdym razie można było tak domniemywać. Poszli w głąb mieszkania. Dobry humor ich nie opuszczał, słyszała ich śmiech. Czyżby nie wiedzieli o nieboszczce w wannie? Zuza wciąż siedziała w szafie, cała spocona. Było tu gorąco jak w piecu, a i emocje swoje robiły. Prócz tego ssało ją w brzuchu, żeby zapalić, przekłety nałóg. Czas włókił się niemilosiernie, chyba całą wieczność trwało, nim się tamci w końcu wynieśli. Odetchnęła z ulgą, bo wreszcie mogła opuścić swoją kryjówkę. Powinna teraz jak najszybciej stąd wyjść, ale coś nie dawało jej spokoju, musiała to sprawdzić. Wróciła do łazienki i stanęła jak wryta. Wanna była pusta, nienagannie czysta, nigdzie nawet najmniejszego śladu krwi.

Kurwa mać, co tu się dzieje? To jakiś obłęd. Owszem, zdarzały się takie rzeczy, ale raczej trupów przybywało, a nie znikaly. Myślała wcześniej, że śledząc nieznanego, zdoła coś wyjaśnić, tymczasem zagadki stawały się matkami następnych i kolejnych, jak rosyjska matroszka. Teraz nic tu po niej, lepiej się stąd ewakuować. Wróciła do przedpokoju i podeszła do drzwi. Chwyliła za kłamkę, ale ta nie poddała się jej woli. Zuza kilka razy nią szarpnęła, wciąż bez rezultatu. Jedyńą drogę jej ucieczki ktoś zamknął od zewnątrz na klucz. Pilnie musiała znaleźć drugi, zawsze w mieszkaniu są jakieś zapasowe. Zaczęła systematycznie przeszukiwać pomieszczenia. Po godzinie bateria w latarce się wyładowała, żarówka ledwie się żarzyła, a Zuza kluczy nie znalazła. Co robić? Jak wy dostać się z tej cholernej pułapki? Pozostała jeszcze jedna możliwość, ostatnia deska ratunku. W salonie był telefon, oby działał. Nawet nie dopuszczała myśli, że będzie głuchy, bo zostanie jej ewakuacja po rynnie, a to już było czyste szaleństwo.

Przyłożyła słuchawkę do ucha i odetchnęła z ulgą. Był sygnał. Wykręciła do Nowaka.

Odezwał się natychmiast.

– Rusz dupę i mnie uwolnij – szeptała do mikrofonu – i to pilnie!

– W co się znów wpakowałaś? Gdzie jesteś?

– Grodzka dwanaście, tam gdzie mieszkała twoja teściowa, chyba jeszcze nie zapomniałeś, gdzie się gnieździła ta wiedźma? Kamienica w podwórzu, pierwsze piętro, wizytówka Parciński na drzwiach. Kurwa mać, ktoś mnie tu zamknął i nie mogę wyjść.

– A nie ma tam klucza?

– Myśl, chłopie. Jakby był, tobym po ciebie nie dzwoniła. Co ty, Mariański jesteś?

– Dobra, zaraz będę, tylko najpierw dokończę kolację.

– Jaja sobie robisz? Ja tu siedzę uwięziona, a ty będziesz się spokojnie obżerał? Czekam, bądź zaraz!

Odłożyła słuchawkę i wyjrzała na podwórko. W oknach ciemno, gdzie się podziiali ludzie? Nigdzie nie widać żywego ducha, jakby wszyscy wymarli. Teraz musiała uzbroić się w cierpliwość w oczekiwaniu na wybacę.

Zapaliła ekstrą mocnego, w barku znalazła jakiegoś napoleona, pociągnęła duży łyk prosto z butelki, potem drugi. Co i raz zerkala przez okno. Sama już nie wiedziała, ile razy wyglądała na zewnątrz, wypatrując sierżanta, aż wreszcie go zobaczyła. Szedł w tym swoim starym, wymiętym płaszczu. Dawno go w nim nie widziała, myślała, że go w końcu wyrzucił. Myliła się. Podeszła do drzwi i nasłuchiwała. Wyraźnie słyszała jego kroki, od razu zrobiło jej się lżej na duszy. Coś chwilę majstrował przy zamku, aż tu nagle rozległ się głośny huk i drzwi wyleciały z zawiasów. Dobrze, że zdążyła odskoczyć, bo inaczej zapewne miałyby klamkę odcisniętą na czole. W progu stał Nowak z łomem w ręku i dumnie przeżył pierś. Teraz było wiadomo, czemu włożył płaszcz, no bo trudno, żeby po Płocku biegał z łomem w dłoni.

Zuza spojrzała z niesmakiem na zniszczenia, na uszkodzone zawiasy.

– Swoją babę też tak traktujesz? Swoista gra miłosna, na początek dwa razy łomem po głowie, a później do dzieła, współczuję jej. Piosik by to zrobił z większą galanterią, ale najważniejsze, że jestem wolna. Chodź stąd, nim sąsiedzi zadzwonią po milicję, bo jeszcze oskarżą nas o włamanie.

– Co tu robiłaś? – spytał, rozglądając się ciekawie. – To jakieś nowe śledztwo?

– Zadajesz stanowczo za dużo pytań. Później ci wszystko wytłumaczę, lepiej zmywajmy się stąd.

Przymknęły drzwi i, jak się okazało, w ostatnim momencie opuścili kamienicę, bo kiedy byli już na ulicy, zobaczyli nadjeżdżający radiowóz. Nagle Zuza się roześmiała.

– Oczyma wyobraźni widzę, jak wyprowadzają mnie z tego mieszkania w kajdankach, a Mariański dostaje orgazmu.

Sierżant przystanął.

– Mało to zabawne. Wciąż ryzykujesz. Mam cię odprowadzić do domu? Pamiętam, kogo rozpoznałaś na zdjęciu. Leszek może gdzieś tu krążyć. Powiem ci, że wciąż o nim myślę, nie daje mi spokoju ta sprawa. A może to jego sobowtór? Mam kolegę, klawisza w warszawskim więzieniu. Spytałem go, czy pamięta tamtą egzekucję, czy był jej świadkiem. Pamiętał dobrze, bo takich rzeczy się nie zapomina. Zdziwiło go wtedy, że na ten moment wszystkich wyproszono, ale widział, jak go ładowali do trumny. Do głowy by mu nie przyszło, żeby sprawdzić, czy żyje. Tak czy owak, trzeba zachować czujność.

– Spokojnie, nie boję się duchów, wrócę sama, dziękuję za pomoc. Gdyby nie ty, to miałabym duży problem, choć pewnie zesłałbym po rynnę, jeśli jej wcześniej nie ukradli.

– Zanim się pożegnamy, powiesz mi, o co tu chodzi? Nieczęsto uwalniam cię z takiej pułapki.

– Jutro, dziś już ze zmęczenia padam na ryj, mam dość wrażeń. Teraz marzę tylko o tym, żeby walnąć się do łóżka.

– Zgoda, niech tak będzie, zjawię się u ciebie koło południa.

Każde z nich poszło w swoją stronę. Na klatce schodowej jak zwykle było ciemno. Zuza tym razem musiała iść po omacku, bo baterię w latarce diabli wzięli. Kiedy była na pierwszym piętrze, usłyszała, jak ktoś zbiega z wyższej kondygnacji. Kiedy ją mijał, pchnął ją tak, że gdyby nie trzymała się poręczy,

to pewnie by upadła. Czy to było przypadkowe, czy może celowe? Sądząc po sylwetce, miała do czynienia z mężczyzną, ale nic więcej nie zauważyła. Po chwili trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

– Cholera, jeszcze kilka takich zdarzeń na schodach, a zejść na zawał – zakłęła pod nosem Zuza i ruszyła dalej.

Ledwie przekroczyła próg domu, gdy rzucił się na nią Borys i nim zdążyła wykonać jakikolwiek unik, polizał ją po twarzy.

– Borys! Łapciuchu! – ryknęła na niego. – Ile razy mam ci mówić, że tego nie cierpię?! Najpierw liżesz jakieś suki pod ogonami, a potem dajesz mi buzi, obrzydlistwo!

– Łaaapciiuch! Łaaapciiuch!! – wydarła się Zgaga.

Pisko zapiszczało i łapą zaczęło skrobać w drzwi.

– Dobra, wypuszczę cię, ale tylko na chwilę. Idę spać i jak zaraz nie wrócisz, to będziesz siedział na wycieraczce do rana. I nie mów mi później, że cię nie ostrzegłam.

Tak jak przypuszczała, Borys nie zjawił się o czasie, jak zwykle podązał za swoim penisem.

Zuza obudziła się wcześniej rano. Najpierw poszła otworzyć drzwi. Nie myliła się, pies spał na wycieraczce i głośno chrapał.

– Wstawaj, rozpustniku! – krzyknęła na niego.

Przeciągnął się leniwie i poszedł za nią. Rzuciła mu do miski wielką kość wołową, a papudze kolbę kukurydzy. Nagle zrobiło jej się ciut żal zwierzaków, bo wciąż jadły to samo, ale patrząc na to z drugiej strony, ona też nie mogła się uwolnić od przekłętego baru mlecznego na rogu Tumskiej i Kwiatka, od monotonii serwowanych tam posiłków, nie wspominając o ich walorach smakowych. I od razu poczuła, że jest jej lżej na duszy.

Wciąż myślała o wczorajszych zdarzeniach i zachodziła w głowę, kim była ofiara i dlaczego zginęła. Nie wyglądało to na robotę szaleńca. Musiała popytać tu i ówdzie, może nazwisko Oskroba komuś coś powie? Spojrzała na zegarek, za dwie godziny powinna być w Gostyninie, trzeba się pośpieszyć.

Rozprawa spadła z wokandy, odroczone ją, więc w sądzie zeszło jej chwilę. Skoro już tu była, tojechała do tutejszego zamku. Nigdy nie miała czasu, żeby choć rzucić okiem na budynek, w którym więziono cara Rosji Wasyla IV Szujskiego. Było nie było, jedyne takie miejsce w Polsce. To, co zobaczyła, srodze ją zawiodło. Zamczysko nie wyglądało za dobrze, widać od lat popadało w ruinę. Zresztą, jak jej kiedyś opowiadała Teresa, z tej warowni o średniowiecznych korzeniach praktycznie nic nie pozostało poza kawałkami muru. Żeby wczuć się w klimat przeszłości, trzeba było użyć wyobraźni, a wtedy przed oczami pojawiał się car przechadzający się po pobliskim parku w asyście straży, czy też leżący w łóżu, kiedy oddawał ostatnie tchnienie.

W drodze powrotnej do Płocka w Legardzie zatrzymała ją milicja. Dokładnie przeszukali jej samochód, nawet do bagażnika zajrzeli. Pewnie szukali jakiegoś zbiegłego opozycjonisty, ale prędzej czubka, który nawiał z pobliskiego domu wariatów, co się nieraz zdarzało. Zbliżając się do Łącka, zerknęła na otrzymaną od Teresy kartkę z instrukcją, jak dojechać do miejsca zamieszkania tego domorośłego bombardiera. Dopiero teraz skojarzyła, że przecież to słynny pałacyk, miejsce bądź co bądź historyczne. To tu przed wojną przyjeżdżał prezydent Mościcki wraz ze swoją żoną, to tu była rezydencja Edwarda Rydza-Śmigłego, a od 7 września 1939 roku mieściła się kwatera generała Władysława Andersa. Ale to nie wszystko, pałacyk zagrał w kilku filmach, jak choćby w *Szatanie z siódmej klasy*, w którym notabene również miał swoją małą rolę Krzysztof Krawczyk. Tu też nakręcono kilka scen *Stawki większej niż życie*. Takiego adresu można było tylko pozazdrościć.

Samochód zaparkowała przy szosie i do pałacyku przeszła piechotą, tak dla zdrowia.

Obiekt nie był w najlepszej kondycji, dawni właściciele pewnie się w grobie przewracali, ale taka była komunistyczna polityka, i to od samego początku: zniszczyć wszystko to, co wiąże się z kapitalizmem.

Przed wejściem do budynku jakaś kobieta wywieszała pranie na sznurkach przeciągniętych między dwoma starymi dębami. Zużę na ten widok serce zabolalo, prawdziwa profanacja tego miejsca, stwier-

dziła.

– Szukam Jana Wieczorka. Ponoć tu mieszka – zaczęła ją.

Kobieta przerwała pracę, trzymane w ręku gacie na powrót wrzuciła do miednicy.

– Pewnie, że mieszka, pani idzie tymi drzwiami – wskazała główne wejście – i zaraz na lewo. Jest w domu, ale trzeba długo pukać, bo od napadu jest przygłuchy.

– A co się stało?

– Kiedy wracał z pracy, napadli go i okropnie pobili. Długo leżał w szpitalu, cud, że z tego wyszedł. To zasługa księdza proboszcza, on kazał się wszystkim modlić za jego uzdrowienie. No i pomogło.

– A złapali ich?

– E tam. – Kobieta parsknęła śmiechem. – To oni go pobili. No to jak mieli kogoś złapać?

– Twierdzi pani, że to milicja?

– Ja nic nie twierdzę, tylko opowiadam, co ludzie mówią, a oni różnie mówią. Ja nie chcę mieć kłopotów, mam trójkę dzieciaków.

– A co ludzie jeszcze mówią?

– Że rozrzucił jakieś ulotki i że to za to. Jak było, to nie wiem.

Zuza zapaliła papierosa i od razu w oczach kobiety zobaczyła zgorzenie. No tak, palenie papierosów to przywilej mężczyzny, a pranie gaci – kobiet. Weszła do pałacyku i stanęła przed odrapanymi, brudnymi i niepamiętającymi farby drzwiami. Jeszcze teraz po latach nietrudno było zauważyć, że wyszły spod rąk świętego stolarza. Przycisku dzwonkowego próżno było szukać, więc zapukała. Bez skutku, faktycznie musiał być głuchy jak pień.

Kurwa mać, rusz dupę i otwórz. Zabębniła pięściami. Dopiero po chwili usłyszała odgłosy chrząkania i zgrzyt zawiasów. Drzwi się uchyliły. Teraz zobaczyła gospodarza. Niewysoki, drobnej postury, mógł mieć czterdzieści lat, raczej nie więcej. Włosy kręcone, twarz pucułowata, nie wyglądał na człowieka zamierzającego wysłać gromady posłów do krainy wiecznych łowów. Zdaje się, że Teresa za lato uwierzyła jego matce.

– O co chodzi? – rzucił, czujnie się jej przyglądając. – Kim pani jest?

– Nazywam się Lewandowska, jestem adwokatem, przyszłam z panem porozmawiać.

– O czym? – spytał sucho.

– Może wejdę do środka i wszystko panu wyluszczę. Chyba nie będziemy rozmawiać tu na korytarzu?

– Czemu nie? Tu nikogo poza mną nie ma.

Przymknął bardziej drzwi, jakby nie chciał, żeby Zuza zobaczyła cokolwiek za jego plecami.

– Pana matka martwi się o pana i stąd moja wizyta.

– Pani też świrnięta?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Nie sądzę, tylko pytam. Kto pyta, nie błądzi, a kto za dużo pyta, ten dostaje w ryj.

– Ponoć pan coś konstruuje. Czy mamy dalej tu rozmawiać?

– Nie mamy o czym, matka to wariatka, głupoty rozpowiada i niech siedzi w tym Gostyninie. Tam jej miejsce. Proszę już iść.

Wycofał się do środka i zamknął drzwi za sobą. Gdyby to był zwykły łapciuch, nie pozwoliłaby mu na to, ale on był inny. Zaciekawił ją. Musi o niego popytać i dopiero wtedy coś przedsięwziąć. Wyszła przed pałac.

– I co? Przegonił panią? – domyśliła się kobieta rozwieszająca ubranie. – To u niego normalne, niko do domu nie wpuszcza, jakby w nim trzymał jakieś skarby, a gówno ma.

– Skąd pani to wie? Była tam pani?

– A to raz? Jemu po tym wszystkim się w głowie pomieszało. Myśli, że ma gospodarstwo, a ziemi ma tyle co w doniczkach.

– Nie rozumiem.

– Co i raz przynosi worki z nawozami. Niech pani powie, na co mu one? Wariat, tak jak jego matka. To rodzinne, mój świętej pamięci ojciec – kobieta się przeżegnała – powiadała, że i jego babka też była wariatką.

– A on gdzieś pracuje?

– A tak, pani, on jest inżynier, pracuje w Petrochemii. I niech pani powie, taki wykształcony i nie ma żony, dzieci, tylko siedzi tu w zamknięciu, odludek jeden.

– A nie ma jakiejś rodziny, brata, siostry?

– Nie, miał siostrę, ale zmarła jako dziecko. Kiedyś dawno temu kręciła się tu jedna taka, myśleliśmy, że się wezmą w parę, ale nic z tego nie wyszło.

– A jak ona się nazywa? Gdzie mieszka?

– Kowalska, takie popularne nazwisko, dlatego pamiętam, ale teraz to inaczej, bo już mężatka, a i dzieciaki ma. Pracuje w stadninie, w biurze. Ma bardzo gęste kręcone włosy, od razu ją pani pozna. A czego pani od niego chce, że się tak wypytuje?

– Niestety, tego nie mogę zdradzić, nadmienię tylko, że jestem adwokatem – odparła tajemniczo.

Kobieta z wrazenia wypuściła bieliznę z dłoni.

– No tak. Pewnie spadek z Ameryki? Mam rację? Janek mi nieraz mówił, że kiedyś będzie bardzo bogaty, teraz już wszystko wiem.

– Ale ja nie powiedziałam, że to spadek – zauważyła Zuza, uśmiechając się zagadkowo. Lepiej niech tamta tak myśli.

– Dobra, dobra, swoje wiem.

– Do widzenia.

Zuza ruszyła z powrotem do Płocka, była wściekła na siebie, bo buty upaprała w błocie tylko po to, żeby się przekonać, że Jan Wieczorek to zwykły czubek. Jak wróci do domu, od razu zadzwoni do Tere-sy. Więcej nie da się wkręcić w coś takiego, nie ma mowy. Dla świętego spokoju postanowiła po drodze jeszcze wstąpić do stadniny, porozmawiać z tą kobietą i tym akcentem zamknąć sprawę.

Przed biuro zajechała z fasonem. Z piskiem opon zatrzymała się przed samym wejściem. Tym razem była pozytywnie zaskoczona, bo ten budynek, wyglądem przypominający dworek, był bardzo zadbane. Niestety, drzwi były zamknięte, a więc nic tu po niej. Wsiadała do auta, kiedy zauważyła, że ktoś nadjeżdża wierzchem. Może on będzie coś więcej wiedział? Jeździec zatrzymał się przy wejściu i zeskokczył z konia. Kiedy zdjął toczek, na ramiona wysypała się burza włosów. To była kobieta. Przywiązała konia do jakiegoś słupka i podeszła do Zuzy.

– Długo pani czeka? Przepraszam, ale musiałam zająć się Piorunem, masztalerz się rozchorował. – Czym mogę służyć?

Zuza wyjęła papierosy, wyciągnęła paczkę w stronę kobiety.

– Dziękuję, ale jeszcze się nie nauczyłam.

– Nazywam się Lewandowska, jestem adwokatem. Ponoć zna pani Wieczorka. Czy to prawda?

Kobieta zbladła.

– O Boże! Czy Janek znów ma problemy?

– Nie, nie ma. Powiedziała pani „znów”? Może mi pani o tym opowie?

– Nie wiem, czy powinnam. A właściwie to jaki jest cel pani wizyty? Kto panią wynajął? – Cały czas bardzo uważnie przypatrywała się Zuzie.

– Jego matka, martwi się o syna. Boi się, że zrobi jakąś głupotę, dlatego przyjechałam.

– Myślałam, że znowu go napadli, drugi raz mógłby nie mieć tyle szczęścia.

– Wie pani, kto go wtedy pobił i dlaczego?

Kobieta zamilkła. Widać było, że waha się, czy to wyjawić. Zuza musiała ją przekonać, żeby to uczyniła.

– Jestem tu, żeby mu pomóc, a nie szkodzić. Proszę powiedzieć, co pani wiadomo. Co nieco już slyszalam. Ja też nie lubię komuchów, a oni mnie.

– Bezpieka. To przez to, że rozrzucił ulotki antypaństwowe. Najpierw zrobili mu rewizję, ale nic nie znaleźli. Nie mieli dowodów, żeby mieć pretekst do aresztowania, więc go napadli, kiedy wracał z pracy, i skatowali.

Zuza, słysząc to, pokręciła głową z niedowierzaniem. Najwyraźniej było coraz gorzej.

– Oni nigdy dotąd nie potrzebowali dowodów. Czy słyszała pani, że Janek chce się na nich zemścić? Że coś szykuje?

Tamta była wyraźnie zaskoczona pytaniem.

– Co ma pani na myśli? Ja o niczym nie wiem. Zresztą, co on może im zrobić? – Zaśmiała się. – Może jedynie pomachać szabelką. On nawet kury zabitej na rosół żałuje.

– Sporo pani o nim wie.

– To mała miejscowość, tu wszyscy wiedzą wszystko na temat innych. Nic się nie ukryje.

– Nawet bomba?

Była dziewczyna Wieczorka spojrzała na Zuzę ze szczerym zdumieniem.

– Nie rozumiem. O czym pani mówi?

– Żartowałam. Mam jeszcze jedno pytanie. Wieczorek jest inżynierem, a konkretnie jaki wydział skończył?

– Chemię.

Zuzie natychmiast zapaliło się w głowie małe światełko ostrzegawcze. Wieczorek miał odpowiednie wykształcenie, żeby skonstruować wybuchową niespodziankę.

– Jeśli myśli pani, że zrobi bombę, to dodam, że chemia nie była jego konikiem, ale akurat tam się dostał. Chciał iść na prawo, ale za słabo się uczył i nawet nie spróbował, bo zawsze twardo stąpał po ziemi.

Kobieta najwyraźniej czytała w jej myślach.

Zuza przygasiła peta pod obcasem. Czas na nią, nie ma więcej pytań. Temat Jana Wieczorka uważała za zamknięty. Spojrzała na konia.

– Piękny.

– Owszem, ten ogier to duma naszej stadniny. W tym roku wygrał kilka gonitw na Służewcu i w Sopocie. Jest wart każdych pieniędzy.

Zuza wróciła do kancelarii, ale zanim weszła do swojego pokoju, udała się do łazienki, by zmyć błoto z butów. Weszło jej przy tym dobry kwadrans i zużyła rolę papieru toaletowego, jakże deficytowego artykułu w tych dziwnych czasach. Na biurku zastała dwie kartki zapełnione tekstem. Od razu rozpoznała charakter pisma aplikantki. Dziewczyna miała nawyk pisania raportów. Początkowo Zuza ją od tego odwozila, twierdząc, że wystarczy, jak jej wszystko zrelacjonuje ustnie, ale w końcu się przekonała, że to niegłupi pomysł, bo ludzka pamięć jest bardzo zawodna. Nie chciało jej się teraz tego czytać.

– Jolka, przyjdź tu! – huknęła.

Aplikantka momentalnie przybiegła.

– Co się stało, szefowo?

– Kurwa mać, ile razy mam ci powtarzać, żebyś się do mnie tak nie zwracała?

– Przepraszam – bąknęła zmieszana. – To się już nie powtórzy.

– Oby. Zreferuj mi szybko to, co tu napisałaś. Czego się dowiedziałas o tym Gutkowskim?

– Łajdaczy się na prawo i lewo. Ma troje dzieci w wieku ośmiu, dziewięciu i dwunastu lat, sami chłopcy.

– A jego baba, ta Natasza? Ile wiesz o niej?

– Niedużo, obecnie zajmuje się dziećmi, ale kiedyś pracowała jako nauczycielka polskiego.

To musi być suka, pomyślała Lewandowska. Ona nie miała dobrych wspomnień związanych z polonistami.

– To wszystko? – Nie kryła zawodu. – To przecież tylko dwa zdania, a ty zapisałaś dwie kartki, i to drobnym maczkiem.

– No tak, ale spisałam tam plotki i to, co gadają ich sąsiedzi.

– Czyli w swojej opowieści ominęłaś najciekawsze rzeczy. Mów!

– Ale to same plotki.

– W plotkach jest nieraz mnóstwo prawdy, no gadaj!

– Niektórzy opowiadali, że ona na okrągło chodzi w ciąży. Inni że to nie ciąża, tylko jest taka gruba, jeszcze inni, że oni oddają te noworodki do domu dziecka, a jeszcze inni, że je mordują i jedzą. Ten Gutkowski jest nienasycony, ponoć nawet zaczepia kobiety na ulicy. Jedna z sąsiadek twierdzi, że zgwałcił pewną dziewczynę, a potem zapłacił jej rodzinie, żeby nie wnieśli oskarżenia.

– Swoją drogą uważaj na Kowalskiego. On, tak jak ten Gutkowski, też jest, jak powiedziałaś, nienasycony. Masz zamiary na tę dziewczynę?

– Nie.

– A masz zamiary na ginekologa, do którego chodzi ta cała Natasza?

– Nie.

– Czyli niczego się nie dowiedziałaś. Plotki to mało, zaledwie materiał pomocniczy. Ustal konkrety i pojedź do domu dziecka, popytaj, czy nie oddają tam dzieci.

– A jednak wierzy pani plotkom?

– Nie wierzę, ale nie zaszkodzi popytać, rusz dupsko i dokończ to, co ci zleciłam.

Aplikantka wyszła z gabinetu jak zmyta, pewnie nie tego się spodziewała.

Zuza wyjęła stocka i kieliszek. Spojrzała na portret Ambrozego.

– Tak jak ty, zamierzam aplikantkę trzymać krótko, później mi tylko za to podziękuj albo mnie znienawidzi. Zobaczymy.

Zadzwoił telefon.

– To ja. – Usłyszała głos Marcinkowskiego. – Sprawdziłem tego gościa ze zdjęcia. To nie ten, o którym myślisz. Owszem, jest bardzo podobny, ale to wszystko. Zresztą i tak to nieistotne, bo wyjechał z Plocka i więcej go nie zobaczysz.

– Twierdzisz, że to sobowtór? I mam ci w to uwierzyć? Naprawdę uważasz, że jestem tak głupia? Zdjęcie jest wyraźne, to Leszek. Czemu on jeszcze żyje? Właściwie to nie powinnam się dziwić, ta władza hołubi bandytów, bo sama ma sporo na sumieniu.

– To nie on, daję ci moje słowo.

– A co jest warte twoje słowo?! – krzyknęła do mikrofonu i cisnęła słuchawką o widełki. Nalała sobie i uniosła kieliszek. Ręka jej drżała z emocji.

Sukinsyn kręci, kryje tego zwyrodnialca. Zresztą sam nie jest dużo lepszy.

Nie zdążyła wypić, gdy zjawił się Nowak. Znowu bardziej kasłał.

– Siadaj, nalać ci?

– Nie, dziękuję. Lepiej mi opowiedz, co robiłaś w tamtym mieszkaniu.

– Może jednak ci naleję, bo bez kielicha trudno ci będzie coś z tego zrozumieć. Ja do późnej nocy analizowałam tamte zdarzenia i nie doszłam do niczego rozsądnego.

- Dobra, nalej, ale połowę kieliszka, bo biorę lekarstwa. Znów mi się pogorszyło.
- Cholerna gruźlica, współczuję ci – rzekła, myślami wracając do swojej wizyty w przychodni radiologicznej. Czemu jeszcze nie było wyników?

Wypili butelkę, a mimo to nie doszli do niczego konkretnego. Sierżant obiecał popytać o Oskrobę, ale ostrożnie, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi. Być może to była jakaś sprawa polityczna, a to już prawdziwe bagno, które może wciągnąć, i to na amen. Zuza postanowiła poprzez znajomości w kwaterymencie ustalić właściciela mieszkania. Może zdobędą informacje, które ich jakoś nakierują. Jedno było pewne: w tamtym mieszkaniu doszło do zbrodni i wszystko wskazywało na to, że jej sprawcą był tajemniczy informator, który wcześniej pomógł Zuzie zdemaskować zleceniodawcę zabójców Wierzbickiego.

Nowak dawno już poszedł, a Zuza siedziała zadumana w fotelu. Otrzeźwił ją hałas zza okna, to płoczenie tłumnie opuszczali kino Przedwiośnie po seansie *Matki Królów* Janusza Zaorskiego. Też się na to wybierała, ale wciąż nie miała czasu albo już biletów nie było. Resztę dnia postanowiła spędzić z książką w ręku. Kiedy wróciła do domu, najpierw wyłączyła telefon, żeby jej nikt nie przeszkadzał, i dopiero wtedy wyjęła z biblioteki *Krzak gorejący* Sigrid Undset, następnie położyła się na kanapie i opatulila w gruby koc. Nim przebrnęła pierwsze strony, jej powieki nagle stały się ciężkie i zasnęła.

Była północ, gdy zbudził ją Borys. Piszczal i nerwowo kręcił się po pokoju. W chwilę potem również Zgagę postawił na baczność.

- Boooorys to chuuuj! Boooorys to chuuuj! – rozwrzeszczała się na całe mieszkanie. Tym razem trudno było się z nią zgodzić.

Zuza wypuściła go na dwór i włączyła telewizor, ale zaraz go wyłączyła. O tej porze to nawet telewizja spała i na ekranie zagościły jedynie kolorowe pasy obrazu kontrolnego. Pies jak zwykle nie wrócił na czas, dalej pociągało go łajdactwo, więc zostawiła go na pastwę losu i poszła spać.

Mariański w piżamie siedział w kuchni przy stole i pisał.

Jak meldóje kapral Opara nijaka obywatelka Lewandoska śleciła jakiegoś towarzysza w czarnej wołce. W bramie Grockiej dwanaście, ale wymieniała rozmowę z dwoma elementami bendoncymi pod wpływem. Opara potłuszczał, że coś ot niej chcieli, ale nie wie co. Gdy ich przepęciła to poszła w potwuże. Kiedy wyszła dalej kapral nie widział, bo udał się koło śmietnika ottać mocz.

Zuza już z rana zaczęła przygotowywać mieszkanie do malowania. Na następny dzień miała umówionego malarza. „Umówionego” jeszcze nie znaczyło, że się pojawi. Pan Genio był prawdziwym mistrzem w swoim fachu, ale i za kołnierz nie wylewał. Jak wpadł w trans picia, to zapominał o bożym świecie nawet na tydzień i nie było zmiłuj. Należało uzbroić się w cierpliwość.

Zuza zdjęła ze ścian obrazy i matę słomianą ozdobioną pocztówkami, a z regału wazony i wyniosła je do drugiego pokoju. Zwinęła dywan i schowała sprzęt grający. Dobrze pamiętała, jak podczas poprzedniego malowania magnetofon wylądował na podłodze i była zmuszona kupić nowy, a to był bądź co bądź spory wydatek. Tym razem jednak zamiast szpulowego nabyła kasetowy, bardziej nowoczesny. Na koniec zdjęła z okien firanki i zasłony, po czym zaniosiła je do łazienki, a tam nakryła Tomaszka, jak się goił jej maszynką. Teraz już wiedziała, skąd ma te obrzydliwe ropiejące krosty na nogach.

– A ty parszywy gnojku! Co ty tam sobie golisz? Mech? Może ja cię ogolę? Mam w pokoju brzytwę, od razu ci ten kretyński uśmiech poprawię. – Zaśmiała się złowrogo.

Chłopak rzucił maszynkę i chciał wymknąć się z łazienki. Zuza chwyciła go za kołnierz.

– A ty dokąd, mały popaprańcu? Jeszcze z tobą nie skończyłam.

– Ja już nie będę – załkał.

– Zaraz, zaraz, podnieś maszynkę z posadzki i odłóż ją na miejsce.

Pośpiesznie to uczynił. Dopiero teraz go wypuściła. Zmieniła żyletkę i zabrała maszynkę, tak na wszelki wypadek.

Mariański drobił nerwowo już dobry kwadrans przed drzwiami pokoju, w którym powinien zastać porucznik Pawłowicz. Był wściekły, bo zwierzchnik uraził jego męską godność. Jakim prawem miała go uczyć ta wstrętna baba, a do tego niższa szarżą? Odczuł to tak, jakby dostał pięścią, i to prosto w pysk. Kwadrans tak dreptał, aż w końcu się przemógł i wszedł do środka. Pokój mały, ledwie mieścił stalową szafę i dwa biurka. Za jednym z nich siedziało babsko z wyglądu przypominające bardziej ropuchę niż kobietę. Na pagonach miało trzy gwiazdki. To na pewno ona. Kobieta rzuciła mu niechętnie spojrzenie, odłożyła jedzoną akurat bułkę z salcesonem i zaczęła dłubać sobie palcem w zębach. Najwyraźniej coś między nimi utkwilo i nie dawało jej spokoju.

– Wy jesteście kapitan Mariański? Słyszałam o was. Siadajcie. Mam was szkolić w pisaniu, czytać potrafiacie? – Wciąż nie przestawała dłubać w zębach.

– Potrafię. I pisać też – odburknął.

– Czytałam wasze notatki służbowe i raporty, i powiem wam, że gównu potrafiacie. Widziałam waszą kartotekę osobową i wiem, że podstawówkę skończyliście zaocznie, a pomógł wam w tym jej kierownik, którego wcześniej przez dwa miesiące trzymaliście w areszcie. Zgaduję, że gdyby wam tego nie załatwił, toby zgnił w kryminale. Znam te stare metody stalinowskie. Liceum pewnie też tak załatwiliście. Kilka wyrwanych paznokci, zmiażdżone kolano i matura była.

– To kłamstwo! – zaprotestował.

– Dobra, dobra, to teraz nieważne. Siadajcie przy tamtym biurku i zaczynamy. Od tego.

Cisnęła na blat elementarz. Mariański spojrzał zdziwiony na podręcznik.

– Ale to dla pierwszej klasy.

– Owszem, musicie zacząć od początku. Tym razem wam się nie uda. Mnie do pudła nie wsadzicie. – Poślała mu szeroki, ironiczny uśmiech.

Suka, by ją chuj strzelił, zaklął w duchu, ale posłusznie usiadł i otworzył elementarz.

Po godzinie zakończyła się lekcja i Mariański wytoczył się z pokoju Pawłowicz.

– Na jutro na dwie strony napisać literkę o kreskowane i u zwykle. Tylko bez bazgrołów, kapitanie! – krzyknęła za nim.

Było późne popołudnie, a mimo to na dworze było jak na tę porę roku wyjątkowo ciepło. Zuza wzięła na smycz Borysa i poszła z nim na spacer. I tym razem nie była oryginalna, bo skierowała się na Tумы. Na tyłach fary natknęła się na Tomaszka. Wraz z kolegami siedział na ławce i popijał wino. Zuza pogroziła mu palcem, a on pokazał jej język. Skąd u niego nagle tyle śmiałości? Jeszcze kilka godzin temu prawie się zmoczył ze strachu. Tylko alkohol tłumaczył tę niespotykaną odwagę. Ruszyła w jego kierunku, on zaś, widząc, co się święci, czmychnął w okoliczne krzaki, a zatem wszystko wróciło do normy.

Gdzieś opodal mignął jej kapral Opara, widać Mariański nie zamierzał jej odpuścić i na siłę szukał na nią haka. Żeby w końcu sam na nim nie zawisł. W oddali zobaczyła patrol ZOMO, nie miała ochoty na bliższe z nimi spotkanie, więc zeszła do amfiteatru. Usiadła na jakiejś ławeczce, zapaliła.

– Kogo moje oczy widzą? Witam panią mecenas.

Do Zuzy przysiadł się jakiś mężczyzna. Spojrzała na niego uważnie. Nie знаła go, w każdym razie nie pamiętała.

– Nie przypominam sobie, my się znamy?

– Ależ pani mecenas, oczywiście. Dzięki pani nie zawisłem na stryczku. Właśnie wyszedłem i od razu pierwszą osobą, na którą się natknąłem, jest moja dobrodziejka. To jest prawdziwe szczęście, no bo jak to inaczej określić?

Spojrzała na niego ponownie. Faktycznie, teraz go sobie przypomniwała. Sporo się zmienił przez ten czas, a na dodatek szpeciły go te obrzydliwe więzienne tatuaże. Nazywał się Franciszek Olecki, pseudonim Butapren. Był oskarżony o zabicie teściowej, artykuł 148. Tak mu kobieta zalazła za skórę, że ją na żywca oskórował, ale było mu mało i na koniec jej ciało posypał solą. Wprawdzie nie było bezpośrednich dowodów jego winy, jedynie poszlaki, ale mocne. Prócz tego miał alibi kruche niczym chińska porcelana i, co najważniejsze, motyw. Prokurator żądał kary śmierci, ale Zuzie udało się wywalczyć dwadzieścia lat. Być może pomogła jej w tym solidarność męska, sędzia też miał na pieńku ze swoją teściową, o czym od dawna szeptano po kątach. Olecki nie był zwykłym rzeźmieszkiem, ale magistrem chemii, byłym wykładowcą na płockiej politechnice, człowiekiem powszechnie lubianym, a przez studentów wręcz kochanym, szczególnie przez jedną ze studentek, przez którą, jak podejrzewano, wybuchł konflikt z teściową. Zuza broniła go z urzędu i to był jej pierwszy sukces w tak poważnej sprawie. Abstrahując od tego, że teściowa była prawdziwą jędzą, nic nie tłumaczyło jej oskórowania, mógł się z kobietą obejść ciut łagodniej. Olecki, zamiast siedzieć w kryminale, powinien znaleźć się w domu wariatów, tam było jego miejsce. Niestety, psychiatrzy stwierdzili, że jest normalny, co też zbytnio Zuzy nie zdziwiło. Wymiarowi sprawiedliwości chodziło o statystyki oszczędzonych, a świr by się do nich nie załapał.

– Czas leci szybko, myślałam, że jeszcze siedzisz.

– Wyszedłem wcześniej za dobre sprawowanie. Zaczynam nowe życie – rzekł z entuzjazmem w głosie.

Ona jego entuzjazmu nie podzielała. Jeszcze jeden świr biegający po Płocku to ciut za dużo jak na to niewielkie miasto.

– Wyjędź, tak ci radzę od serca. Tu go sobie nie ułożysz. Ludzie wszystko pamiętają. Pracy nie znajdziesz.

– Pani mecenas, jestem rozczarowany. Myślałem, że się pani ucieszy z mojego powrotu. Bądź co bądź, to od mojej sprawy zaczęła się pani wielka kariera. Przez te wszystkie lata uważnie ją śledziłem. Nawet pani nie wie, ilu ma pani wielbicieli za kratami. To są całe fankluby. Kilku ma nawet pani zdjęcia powieszane na ścianach. Już nie wspomnę, co przy nich robią.

– I dobrze, wolę tego nie słuchać – mruknęła pod nosem. – Gdzie mieszkasz? Zdaje mi się, że twoja rodzina wyprowadziła się z Płocka.

– U znajomego. Żona, ta suka, wyrzekła się mnie. Wystąpiła o rozwód, a ja przecież nic jej nie zrobiłem.

– To musi być naprawdę dobry znajomy.

– O tak, to mój fan. Ja też mam ich spore grono. Odwiedzał mnie w kryminale. Myślałem, że i pani do mnie zajrzy, ale nie doczekałem się.

– Nie mogę odwiedzać wszystkich moich klientów. Nie miałabym czasu na pracę.

– Ja nie jestem jak wszyscy, chyba pani o tym wie. – Zaśmiała się diabolicznie.

– Tak, wiem, nie każdy tyle uwagi poświęca swojej teściowej, naprawdę troskliwy z siebie zięć. Trzeba być nieźle popierdolonym – odparła zgryźliwie.

Olecki wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

– Pani mecenas, widzę, jest w formie. Uwielbiam panią za jej ostry i niewyparzony język. Pani się nikogo nie boi, nawet mnie potrafi zbesztać, a w kryminale nikt się na to nie odważył. Za to panią szanuję.

– Zawsze mówię ludziom prawdę w oczy. Pamiętaj, dostałeś nową szansę, nie zrób żadnej głupoty, bo drugi raz sąd nie będzie tak pobłażliwy i zawiśniesz. Idę już.

Podniosła się z ławki i pociągnęła Borysa za sobą.

– Do zobaczenia! – usłyszała zza pleców.

Lepiej nie, pomyślała.

Nieopodal Zamkowej spotkała Nowaka. Wychodził z apteki. Z przerażeniem patrzyła na siatkę pełną lekarstw.

– To wszystko dla ciebie?

– Owszem i żeby było śmieszniej, to nie jest wszystko.

– Faktycznie, śmieszne, ubaw po pachy. Wiesz, kogo spotkałam przed chwilą?

– A skąd mogę wiedzieć? Może tego klienta, co wyciska krew z ludzi niczym sok z cytryny?

– Oleckiego. Pamiętasz tego popaprańca?

– No pewnie, jestem jego fanem. Pół komendy miało na ścianie jego zdjęcie.

– Nie no, kurwa mać. Przerażasz mnie, to przecież czubek.

– E tam, przesadzasz. Jedyne facet, który miał odwagę zrobić porządek z teściową. Facet ma jaja.

– Ty ich nie masz, twoja wciąż żyje, a wiem, że z niej jest kawał suki, choć się zbytnio na nią nie skarżysz. Kiedy pracowała w urzędzie skarbowym, to kilku moim znajomym zalazła za skórę.

– Po co miałem się skarżyć? Pomogłabyś mi się jej pozbyć? Chyba nie.

– Ja nie, ale pogadaj z Oleckim, on teraz jest bez pracy.

– Mało dowcipne. Czemu go wypuścili? Przecież on ma nierówno pod sufitem. Mogę się założyć, że zaraz kogoś ukatrupi.

– Pewnie robili miejsce dla nowego więźnia politycznego. Taki jest groźniejszy dla komunistów niż psychopata. Idę do kancelarii, chodź ze mną, to ci kielicha postawię. Przynajmniej będziesz miał czym popić te swoje pastylki.

– A co zrobisz z Borysem? On tam dostaje głupawki.

– Spokojnie, a od czego mam aplikantkę? – Zarechotała. – Odprowadzi go do domu.

– Wykorzystujesz dziewczynę, nie wstyd ci?

– Nie, czuję się z tym bardzo dobrze. Myślisz, że ja w jej wieku to miałam łatwo? Zresztą ona lubi zwierzęta.

– Już ty mi nie ściemniaj. Skoro tak je lubi, to czemu nie poszła na weterynarię?

– Nie wiem, jak jesteś ciekawy, to ją o to spytaj. Dowiedziałeś się czegoś o tej Oskrobie?

– Nie. Kumpel chyba z godzinę sprawdzał mi to nazwisko i nic. Nikt taki nie zaginął.

– Nie jestem pewna, czy chodziło o ofiarę. Równie dobrze może to być nazwisko zabójcy lub jednego z jego pomagierów. Trzeba by zasięgnąć języka w prokuraturze, oni mają koleśki w Warszawie w Ko-

mendzie Głównej Milicji. Mój kolega ze studiów pracuje w MSW, mam do niego telefon, może jemu coś się obilo o uszy, a może to nazwisko jest na liście internowanych.

Nowak spojrzal na nią niespokojnie.

– Zuza, to już polityka, zawsze mawiałś, że to bagno należy omijać szerokim łukiem.

– Tak mawiał mój ojciec, a ja nim nie jestem. Zresztą wyciśnięcie z kogoś całej krwi raczej nie ma nic wspólnego z polityką. To ewidentnie działanie psychopaty i takiego czubka powinno się zamknąć w Tworach lub zaprowadzić na szubienicę. Dobra, my tu gadu-gadu, a chłop śliwki rwie. Idziesz ze mną na stocka czy nie?

– Nie, zajrzę do ciebie po południu. Słyszałaś najnowsze wiadomości?

– Nie, jeszcze nie kupiłam gazety, a co się stało?

– Umarł Władysław Gomułka.

– Poważnie? Jednego sukinsyna mniej na tym świecie. Szkoda, że śmiercią naturalną, bo powinien wieść. Zasłużył na to, tak jak Cyrankiewicz. To była bardzo dobrana para.

– A jak twoje prześwietlenie? Masz już wynik?

– A co? Myślisz, że będę tak jak ty lykac tony tych świństw? Nie ludź się, jestem zdrowa jak koń, a nawet gdyby coś znaleźli, to nie dam się tym faszzerować. Idę już.

Ledwie Zuza zdążyła usiąść przy biurku, gdy pojawiła się aplikantka z korespondencją. Były to głównie pisma sądowe, kilka rachunków i list z ośrodka zdrowia. Zuzie natychmiast serce zabiło mocniej. Nerwowym ruchem rozerwała kopertę i wyjęła z niej wezwanie do stawienia się w ośrodku. W oczu rzuciła się czerwona pieczęć „PILNE!”. Gruźlica? Cholera, a może raczycho. Anka Kopeć, koleżanka ze szkoły, miała raka płuc i już dawno ją pochowali. Dwa lata chorowała, konowały obiecywały jej, że ją wyleczą, ale to były zwykle obiecanki i nic poza tym. Każdy wie, że nie ma lekarstwa na ten syf. Anka kasłała, a ona nie. Może to wczesne stadium i ma przed sobą z rok więcej? Tak czy owak, nie wyglądało to dobrze.

– Pani Zuzo, czy wszystko w porządku? – usłyszała jakby z innego wymiaru. To ją otrzeźwiło.

Odłożyła wezwanie i zerknęła na rachunki. Trzeba zredukować opłaty za telefon. Kto tu wciąż wdzwania do Warszawy?

– Jolka, a ty przypadkiem nie masz chłopaka w stolicy? Co studiuje?

Aplikantka spiekła raka.

– Skąd pani wie? – wydukała speszona.

– Dedukcja, moja droga. Wystarczyło mi spojrzeć na rachunek za telefon. Ogranicz te pogaduchy. Czego więcej dowiedziałaś się o Gutkowskiej? Masz adres jej ginekologa?

– Tak, to doktor Skiba.

– Ten, co ma fermę nutrii? To kawał skurwysyna, trudno będzie coś z niego wyciągnąć.

– Byłam też w domu dziecka. Gutkowscy nie oddawali tam dzieci.

– Mogli pozbyć się bachorów w innym mieście. Masz znajomości w urzędzie stanu cywilnego, to tam popytaj. Żeby oddać, musieliby i tak wcześniej zarejestrować dziecko. Mówi ci coś nazwisko Oskroba?

Aplikantka chwile się zastanawiała.

– Nie. W ogóle nie słyszałam takiego nazwiska – zaprzeczyła stanowczo. – A kto to jest?

– Gdybym wiedziała, tobym nie pytała ciebie. Weź Borysa i odprowadź go do domu, bo mam tu sporo roboty. Przy okazji nakarm Zgagę, w kuchni w pierwszej szafce od okna jest kukurydza. Zapchaj jej dziób jedną kolbą, więcej nie dawaj, bo jest zapasiona i brzuch jej urósł. Wygląda już jak mały Mariański. Tfu, chciałam powiedzieć jak mały Mariański.

Ledwie Jolka wyszła, Zuza ponownie sięgnęła po wezwanie do przychodni. Przeczytała je ponownie, ale wciąż nic nie wiedziała. Spojrzała na zegarek, dziś już nic nie załatwi, pójdzie tam jutro z samego

rana. Spojrzała na portret Ambrożego.

Co, tatku, może niebawem się spotkamy? Będziemy tam z góry patrzeć, jak komuchy rozgrabią do końca nasz majątek. Kto zadba o nasz grobowiec rodzinny, jak mnie zabraknie? Kto przejmie kancelarię? Kto każe namalować mój portret i powiesi go tu obok twojego? Nikogo takiego nie ma. Kowalski? Jak go znam, pierwszą rzeczą, którą zrobi po mojej śmierci, będzie usunięcie wszelkich po nas śladów. On po nocach nie sypia z zazdrości, że nam do pięt nie dorasta.

Naląła sobie stocka i wolno podniosła kieliszek. Zawahała się. Jeśli jest chora, to alkohol może jej zaszkodzić. Ciekawe, o ile jej skróci życie, o jeden dzień, a może o jedną godzinę? Tak czy owak, oficjalnie chora nie jest, więc...

Wypiła i ponownie naląła.

Olecki siedział w Staromiejskiej i pałaszował flaki. Obok talerza stała butelka wódki i kieliszek. Do jego stolika przysiadł się inny mężczyzna. Przywitali się uściskiem dłoni.

– Widziałem się z Lewandowską – rzekł Butapren do przybysza.

– Z tą adwokatką? To był błąd. Może zacząć coś węszyć, to inteligentna suka. Odwiedziła mnie niedawno. Była bardzo wścibska. Trochę popytałem o nią, trzeba na nią uważać.

– Spokojnie. Nie mogłem sobie tego odmówić. Mam dług wdzięczności, bądź co bądź, uratowała mnie przed stryczkiem.

– I co z tego? Jak coś wyniucha, to teraz cię na niego osobiście zaprowadzi, wiem, co mówię. Musimy być czujni i przede wszystkim skończyć to, co zaczęliśmy, wyciśniemy krew z tego gówna, i to do ostatniej kropli. Kelner! – krzyknął. – Jeszcze jeden kieliszek!

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego

Kapral Opara meldóje, że obywatelka Lewandowska była w Łoncku i odwiedziła najprzud obywatelkę z praniem na sznórku. Tam o czymś rozmawiali, ale o czym nie wie, bo nie słyszał. Póśniej owa obywatelka udała się do koni. Tam spotkała się z kobietą z koniem. One rozmawiały a koń rzzał wienc kapral nie słyszał.

Zuza nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, jej myśli wciąż krążyły wokół wezwania do przychodni, intuicyjnie czuła, że będą spore kłopoty. W końcu ją zmgło, ale dopiero tuż przed świtem. Budzik wyrwał ją rano z głębokiego snu. Poderwała się na nogi i w panice rozglądała po pokoju, dopiero po chwili doszła jako tako do siebie.

Punkt ósma zameldowała się w przychodni i stanęła na końcu długiej, zakręconej kolejki. W PRL wszędzie były kolejki, ponoć nawet do grabarza. Dlatego to jej nie zdziwiło.

O dziesiątej przyszła kolej na nią, niestety jedynie kolej, bo lekarz zrobił sobie przerwę na kawę, całe dwa kwadranse. Albo w tym czasie wypił jej kilka litrów, albo woda grzała się wyjątkowo wolno. Zuza w duchu klęła wszystkich konowałów w żywy kamień, ale nie miała wyjścia i grzecznie czekała. W końcu się doczekała, choć ku jej zaskoczeniu doktor Feliński opuścił gabinet, a jego miejsce zajął jakiś nowy lekarz. Tego pierwszego chwalono, a co był wart drugi? Zaraz się przekona. Położyła na biurku przed nim wezwanie i znowu czekała. Nawet nie spojrzała na papier, tylko od razu sięgnęła do szuflady i wyjął z niej szarą tekturową teczkę.

– Obywatelko Lewandowska, mamy dla was dwie wiadomości, dobrą i złą. Którą chcecie usłyszeć najpierw?

Rzucił jej długie, mało przyjazne spojrzenie. Zuza wpadła w panikę, cholera, a jednak coś znaleźli.

– Dawaj pan najpierw złą.

– Macie raka.

– Nie rozumiem. Przecież ja nawet nie kaszlę – wyrzuciła z siebie. – To pomyłka!

– A kto powiedział, że to rak płuc?

– Uff! – odetchnęła z ulgą. Pewnie da się to wyleczyć.

– Są nowotwory dużo gorsze od raka płuc i właśnie takiego macie. Macie raka kości. Powiem więcej, zaawansowanego raka.

Wbiło ją dosłownie w siedzenie. Nagle wszystko jej zawirowało przed oczami i gdyby nie chwyciła się blatu biurka, to pewnie spadłaby z krzesła. Słyszała sporo o tej odmianie nowotworu – nic dobrego, to był najgorszy koszmar, a na koniec umierało się w prawdziwych męczarniach.

– Chcecie wody? – usłyszała jakby z oddali.

– Nie, już mi lepiej.

Wróciła do rzeczywistości.

– A ta dobra wiadomość? – wyszeptala z nutą nadziei w sercu, że jeszcze nie wszystko stracone.

– Mamy dla was miejsce na onkologii w klinice w Warszawie, na Wawelskiej. Tam was przebadają i wdrożą terapię.

Zuza знаła dobrze ten oddział, nazywano go wykańczalnią. Nie pamiętała, żeby tam kogoś wykurowano, a ci, co wracali, to tylko po to, żeby umrzeć w domu, pozostali zaś w jesionowych garniturach.

– Nigdzie się nie wybieram, jak mają mnie diabli wziąć, to niech biorą, ale na moich warunkach. Nie będziecie na mnie eksperymentować.

– Nie mogę was zmusić, ale szpital przedłuży wam życie.

– Tak? O ile? – Parsknęła śmiechem. – Z szczęściu miesięcy do pół roku? Nie jestem idiotką, nie ma mowy, nie oddam się w wasze łapy.

– Zastanówcie się. Wiem, że to dla was szok, dlatego przemyślcie to sobie. Każdy miesiąc więcej to czas bezcenny. Zresztą, jeśli nie poddacie się terapii, to nikt wam nie przepisze morfiny. Takie są przepisy.

– A na cholerę mi morfina? Nie jestem ćpunką.

– Inaczej będziecie z bólu chodzić po ścianach.

– Dobra, wystarczy mi na dziś tego wszystkiego.

Poderwała się z krzesła i ruszyła do wyjścia.

– Jutro jestem od dwunastej – usłyszała za plecami.

– Wątpię, czy przyjdę – warknęła i wybiegła z gabinetu.

Wyszła przed przychodnię i zrobiła głęboki wdech. Rozejrzała się po ulicy. Nagle świat stał się zupełnie inny, jakiś obcy, jakby obok niej. Patrzyła na przechodniów – młodzi, starzy mijali ją, rozmawiając między sobą. Za pół roku będzie to samo, tyle, że jej już nie będzie. Ale co to kogo obchodzi? Co kogo obchodzi los jakiejś Zuzy Lewandowskiej? Najwyżej co niektórzy przeczytają nekrolog, a może kilku wybierze się na pogrzeb, albo i nie, bo będą mieli co innego w planach.

Kurwa mać, co za los, zakłęta pod nosem i zapaliła ekstra mocnego, w końcu nie ma raka płuc, o wątrobie też konował nic nie wspominał. Pójdzie do kancelarii i walnie sobie lułę.

– Witam największego antychrysta w parafii.

Proboszcz stał tuż przed nią i uśmiechał się szeroko. Z tego wszystkiego nawet nie zauważyła, jak nadzedł, co przy jego monstrualnej tuszy było trudne.

– Już niedługo – odburknęła.

– Nawracasz się? – Twarz duchownego jeszcze bardziej się rozpogodziła. – Bardzo się cieszę, Chrystus zapewne raduje się, słysząc twoje słowa.

– Chłopie, daj spokój Chrystusowi i wszystkim świętym, to nie o to chodzi.

Proboszcz zerknął na budynek za jej plecami i się zasępił.

– Tylko nie mów, że to jest to, o czym teraz pomyślałem.

– Niestety, proszę wybaczyć, ale teraz nie mam ochoty na rozmowę, muszę się przespać z moimi problemami. Być może jutro spojrzę na to inaczej.

Zostawiła zdumionego księdza na środku chodnika i poszła. Na skrzyżowaniu z ulicą Sienkiewicza prawie wpadła pod koła żuka. Gdyby kierowca nie wyhamował, to na pewno by ubiegł raka w wysłaniu jej na tamten świat.

– Jak leziesz, ty stara krowo? Ty kurwo pierdolona! – Usłyszała jego podniesiony głos.

Tak była zgnębiona, sponiewierana diagnozą, że nawet mu się nie odszczekała. Weszła do kancelarii i zamknęła się u siebie. Jolce kazała nikogo do niej nie wpuszczać. Potrzebowała chwili spokoju. Z szafki wyjęła stocka i kieliszek. Spojrzała na twarz Ambrożego, chyba pierwszy raz jej nie ganił, tym razem był jakby smutny. Niestety, niebawem się zobaczymy. Wiem, że pretensjom nie będzie końca, będziesz mi gderał, że za dużo piłam, że paliłam, że nie ułożyłam sobie życia i przez to zmarłam bezpamiętnie, nie zadbawszy o przedłużenie linii. Myślę jednak, że pochwalisz mnie za moje śledztwa, bo nieraz byłam lepsza od ciebie i to mnie cieszy. Twoje zdrowie, za moje to nie warto pić, bo mam już przesrane.

Ktoś zapukał.

– Chyba mówiłam, żeby mi nie przeszkadzać! – ryknęła i wypiła. Znów nałała.

– Pani Zuzo, przyszedł pan Nowak. – Usłyszała wylekziony głos aplikantki.

– Dobra, niech wejdzie – mruknęła pod nosem i sięgnęła po drugi kieliszek.

Sierżant wkroczył do jej pokoju. Znów ubrał się w ten stary, pognieciony prochowiec, na który już patrzeć nie mogła. Widziała jego zgorzone spojrzenie. Nie cierpiał, kiedy piła od rana. Nieczęsto to robiła, zdarzało się to tylko kiedy miała cholerną chandrę. Dziś był taki dzień.

– Co się stało, że o tej porze łoisz procenty i tym samym katujesz swoją wątrobę? – spytał z wyrzutem.

– Myślę, że pół roku to jeszcze pochodzi – odparła drżącym głosem i sięgnęła po kieliszek dla niego.

– Co ty pierdolisz? – Wyraźnie się zaniepokoił. – Dostałaś wyniki prześwietlenia? Pamiętaj, że gruźlica to nie koniec świata, ja mam ją od wielu lat i, jak widzisz, wciąż żyję.

– Nie mam gruźlicy.

To go zaskoczyło, zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

– Cholera, tylko nie mów, że to rak płuc?

– Nie, to coś jeszcze gorszego, mam raka kości i według konowała, który mi to zakomunikował, będzie mnie tak boleć, że będę błagać o śmierć. Należę ci, wypij z umarlakiem, bo już niebawem jak zechcesz się napić, to będziesz pić do lustra.

– Przestań tak mówić. Nie wierzę, że to słowa lekarza.

– Może nie *ad verbum*, ale taki był ich sens.

– A jeśli się myli? Jak on się nazywa? Idź do innego na konsultację, najlepiej idź do jakiegoś profesora.

– Jakiś nowy, nawet nie znam jego nazwiska.

– Nie masz od niego recept czy innego dokumentu? Nazwisko powinno być na pieczęcie.

– Nic nie mam, byłam tak zaskoczona, że w ogóle zgłupiałam. Zresztą nie zamierzam tam wrócić. Poczekam na kostuchę w domu, wśród moich jedynych przyjaciół.

Nowak kręcił głową.

– Wciąż nie wierzę. Może pomylili zdjęcie, nie wyglądasz na chorą. Takie rzeczy się zdarzają.

– Widocznie pozory mylą. Wypijmy za raczycho, za tego skurwysyna. Na pohybel mu.

Znów połała.

– Ja już nie piję – zaoponował sierżant. – Ty też odpuść. Mojej żony bratanica jest pielęgniarką na Wawelskiej, może ci załatwi jakąś konsultację. Idź do przychodni i wyciągnij od nich to zdjęcie. Bez niego nie ma co jechać.

– Do cholery, o czym ty mówisz? Przecież nie wydadzą mi kliszy, to własność przychodni. Wiem coś o tym, bo rok temu chciałam ze szpitala na Winiarach zdjęcie nogi mojego klienta. Pijany chirurg mu ją składał. Zderzyłam się ze ścianą, i to mimo śledztwa prokuratorskiego.

– I co zrobiłaś?

– No cóż, wynajęłam jednego z moich starych klientów. Włamał się i zwinął kliszę. Niestety nie tę, co trzeba. Przyniósł mi fotkę czyjejś ręki. Jedyne, co się zgadzało, to nazwisko. Kompletna kłapa. Musiał iść drugi raz.

– Może tym razem będzie mieć więcej szczęścia?

– Nie da rady, tydzień temu odwiesili mu zawiasy. Siedzi w Warszawie, na Rakowieckiej.

– A Piosik? Nieraz robił dla ciebie różne trefne rzeczy.

– Nie mogę się nim wciąż wysługiwać. W końcu go wsadzą. Pójdę jutro do przychodni i pogadam z tym konowalem. Może przemówię mu do rozumu, a jak nie, to może go skorumpuję.

– Odnośnie do Oskroby wciąż nic nie wiem. – Nowak rzucił inny temat, żeby Zuzę choć na chwilę oderwać od jej czarnych myśli.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Oskroba? Jaki Oskroba?

Sierżant zdumiał się.

– No jak to? Ta ofiara z mieszkania przy Grodzkiej. Z wanny.

– A tak. Przepraszam, ale ten rak wciąż siedzi mi w głowie. Jutro podzwonię po znajomych w Warszawie, ale dziś już się zabieram do domu. Miał przyjść malarz, a Geńka jak to Geńka, wszystkiego nie przypilnuje.

Podniosła się zza biurka, zarzuciła płaszcz na siebie, zgarnęła z wieszaka torebkę i opuściła pokój, pozostawiając w nim Nowaka.

W chwilę potem weszła aplikantka.

- Co się dzieje? Czy pani Zuzie coś dolega? Jest jakaś inna. Wypadła stąd jak bomba.
- Myślę, że wszystko w porządku, po prostu ma zły dzień i tyle – odparł wymijająco.
- Chyba bardzo zły, bo takiej jej jeszcze nie widziałam.
- Pan Kowalski jest u siebie czy jeszcze się nie pojawił?

- Przyszedł, ale ma klientkę.

- No tak. – Nowak uśmiechnął się pod wąsem. – To pewnie długo mu zejdzie. Nie będę czekał.

Wyszedł z pokoju i w holu prawie zderzył się z jakąś kobietą stojącą przy lustrze i poprawiającą sobie makijaż.

Nic się sukinyś nie zmienił, pomyślał Nowak o współniku Zuzy i wszedł do jego pokoju. Kowalski akurat zawiązywał krawat.

- Masz szminkę na koszuli. – Sierżant przywitał go uszczypliwą uwagą.

Adwokat wyjął z szuflady lusterko.

- W którym miejscu?

- Żartowałem. Musimy pogadać, i to pilnie.

- Co się stało? Chyba nie potrzebujesz prawnika? Gdybyś ominął Zużę, toby cię zabiła, i to gołymi łapami.

- To nie to. Zuza ma kłopoty. Musimy jej jakoś pomóc.

- Znów? Wciąż pakuje się w jakieś mroczne historie. W końcu się doigra.

- O ile wiem, to ostatnio ty miałeś kłopoty i Zuza wyciągnęła do ciebie rękę. Masz słabą pamięć, a może wybiórczą?

- Nie ma obawy, dałbym sobie radę, to było przejściowe. Każdemu się może coś takiego przytrafić.

Nowak parsknął jedynie śmiechem. Nie chciał komentować tych bzdur. Pokątnie szeptano, że Kowalski kupił sobie linę, żeby na niej zadyndać. W taką wpadł depresję.

- Zuza jest poważnie chora. Tylko to tajemnica. Nikt nie może o tym usłyszeć.

- Domyślam się, że chodzi o chorobę alkoholową, i to zaawansowaną. Mam rację? Niech się podda wszyciu pastylki i po kłopotcie. Niewypite koniaki może mi podarować. Zaopiekuję się nimi.

- Przestań mi tu pierdolić takie głupoty. Rak kości, rokowania bardzo złe. Wystarczy? – oznajmił beznamiętnym tonem Nowak.

Kowalski spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Powtórz to – wydukał z wyraźnym trudem.

- Rak kości. Zuza umiera. – Sierżantowi w tym momencie głos się załamał.

- Ja pierdołę, każdy, ale nie ona. To przecież niemożliwe. Powiedz, że żartujesz. Nie wierzę. Po niej w ogóle tego nie widać. – Adwokat był do głębi wstrząśnięty.

- Tak to z rakiem bywa. Kiedy widać, to już jest za późno.

- Nie da się tego jakoś wyleczyć? Może trzeba ją wywieźć na Zachód? Tam są najlepsi lekarze. Może się złożyć, Zuza też pewnie ma jakieś oszczędności.

- Zapomnij o tym, przecież od lat odmawiają jej paszportu.

- Ale w takiej sytuacji chyba nie odmówią. Tu chodzi o jej życie.

- Właśnie w takiej tym bardziej jej odmówią. To są skurwysyny, jeszcze o tym nie wiesz?

- No to co zrobić? Nie będziemy chyba czekać i patrzeć, jak się męczy.

- Nie mamy innego wyjścia. Jedynę, co możemy zrobić, to być przy niej, a później zająć się jej zwierzakami. Musi wiedzieć, że nie zostaną pozostawione samym sobie, na pastwę losu.

- Co to to nie, wystarczy mi jedna papuga, a pies mnie nie lubi, wciąż warczy na mnie i pokazuje mi zęby, raz nawet złapał mnie za łydkę i później tydzień kulałem.

- Dobrze, psa ja wezmę, a ty poszukaj kogoś, kto zajmie się papugą.

– A co z kancelarią? Ja sam jej nie utrzymam. Mogłaby tu Jolka pracować, ale nie skończyła aplikantury.

– Co my robimy? O czym w ogóle gadamy? Przecież ona żyje i jeszcze nie ma żadnych objawów choroby – zreflektował się Nowak.

Zuza wróciła do domu. Kiedy usiadła w fotelu, podszedł do niej Borys i położył łeb na jej kolanach, z po koju obok słychać było Zgagę, krzyczącą:

– Kochaaaam ciiię! Kooocham ciiię!

– Co wy, sukinsynki, beze mnie zrobicie? Kto się wami zaopiekuje? Rozpaskudziłam was i teraz nie będzie lekko znaleźć kogoś tak szalonego, żeby się wami zajął.

Poszła do kuchni po stocka. Wypiła kielicha, ale zamiast poprawy nastroju było tylko gorzej. Z sekretarzynką wyjęła cygaro, prawdziwe kubańskie, wspaniale pachniało. Zapaliła. Zadzwonił telefon. Żadna rozmowa nie była warta tego, żeby przerwać ten rytuał. Po chwili znów zabrzmiał natarczywy sygnał dzwonka. Też nie zareagowała, niech sobie dzwoni. Dziś spojrziała na świat z zupełnie innej strony, sprawy dotąd ważne zupełnie przestały się liczyć, a te mało ważne przestały w ogóle istnieć. Telefon dzwonił jak oszalały, a Zuza delektowała się cygarem. W końcu ten ktoś się znudził i odpuścił.

Dziś bez pomocy pastylek pewnie by nie zasnęła, więc wzięła dwie tabletki relanium. Zadziałało, spała jak zabita.

Rano obudziła się z potworną migreną. Nic dziwnego, nadmiar koniaku i mocne medykamenty, to się musiało tak skończyć. Poczłapała do kuchni po tabletki z krzyżykiem. Wzięła trzy, od razu końską dawkę. Mimo to czuła się podle, pewnie to pierwszy objaw raczycza. Najwyraźniej już się za nią zabrało, zegar zaczął tykać i odliczać czas.

Ubrała się i poszła do baru mlecznego na śniadanie. Najpierw oczywiście lektura „Trybuny Mazowieckiej”. Od razu zobaczyła nekrolog mecenasa Kalwasa. On też tak jak ona miał raka, żegnała go pogrążona w żalobie rodzina. Jeśli za klepsydry płaci się od słowa, to jej będzie tania, chyba że ktoś wpisze pogrążonych w żalobie Zgagę i Borysa. Zaśmiała się na samą myśl o takiej treści nekrologu.

– Pani mecenas, ma pani może szlugi?

To Piosik, jakby wyrósł spod ziemi, dawno go nie widziała. Wyjęła z torebki dwie paczki radomskich i wcisnęła mu je w dłoń.

Nie krył zdziwienia, widząc taką jej hojność.

– Dzięki! Pani mecenas zawsze może na mnie liczyć.

– O tym nigdy nie zapominam. Być może będę mieć sprawę, wiem, gdzie cię szukać.

Piosik, tak jak się pojawił niespodziewanie, tak i zniknął. Zuza wróciła do lektury nekrologów. Prawie wszyscy młodszy od niej, pewnie niejeden powie, że się nażyła.

– Jajecznicza raz! – usłyszała.

Podniosła się od stolika.

– Obywatelu kapitanie, co wy tu napierdoliście na tych kartkach? Ja was kaligrafii nauczę, i to w te pędy. Mojego chłopca nauczyłam w dwa dni, bo jak mu z patelni przywaliłam przez łeb, to całą noc pisał literki. W try miga zapisał trzy zeszyty. Dziś będziemy ćwiczyć słowa z literką samo żet. A zatem do roboty.

Mariański usiadł nad pustą kartką, a Pawłowicz wyjęła z siatki śniadanie i wzięła się do jego pałaszowania. Znów bułka, ale tym razem z baleronom, a kiedy ją skończyła, zabrała się do następnej. Kapitan tymczasem pisał: żeka, pżenica, żaba, żąd...

Pawłowicz podniosła się ze swojego miejsca i zjrzała kapitanowi przez ramię.

– „Idiota” pisze się przez długie i czy krótkie?! – ryknęła mu do ucha, aż podskoczył.

– Przez długie.

Wróciła na swoje krzesło, oparła się łokciami o blat biurka i skryła głowę w dłoniach.

– Niereformowalny pacan, rozstrzelać kretyna – mruzczała pod nosem.

– Przez krótkie i – poprawił się.

– Macie napisać „idiota” na trzech kartkach, ale w domu, a teraz idźcie precz, bo chyba was zastrzelił.

Kapitan wstał i wyszedł. Na koniec trzasnął drzwiami, chociaż w ten sposób okazał swoją dezaprobatę. Na inny, bardziej wyrazisty gest nie było go stać.

Jeszcze cię, kurwo, dorwę, jeszcze ci paluchy w drzwi włożę i trzasnę nimi. Nikt tak do dziś mnie nie sponiewierał, do tego z niższą szarżą.

Na korytarzu natknął się na Oparę.

– A wy co tu robicie? Mieliście śledzić tę sukę Lewandowską.

– Towarzyszu kapitanie, mamy dobre informacje. Lewandowska ma raka.

– Co powiadacie? Te sukę w końcu chuj strzelił? Kiedy? – Dopadł do podwładnego i o mało go nie ucałował z radości.

– No nie wiem, ale rak to rak. Co nie? Szwagier roku nie przeżył.

– Macie się dowiedzieć, kiedy będzie po niej.

– Tak jest, udamy się do przychodni i zasięgnemy informacji.

W kancelarii kolejka niczym w sklepie mięsnym. Zuza zdumiała się, skąd tu tylu klientów? Z trudnością przecisnęła się do swojego pokoju. Po chwili zjawiała się aplikantka z korespondencją.

– Co tu się dzieje, do cholery? Skąd ci ludzie?

– To pani wspólnik. Chce odstąpić przedpłatę na samochód.

– A to ma takową? – zdziwiła się. – Nigdy mi się nie chwalił. Myślałam, że po stracie tylu klientów jest gołodupcem.

– Ponoć ma dwie, to lokata kapitału. Sam mnie namawiał do założenia książeczki mieszkaniowej. Może bym tak zrobiła, ale nie mam tyle pieniędzy, za to mam inne wydatki.

Zuza wbiła w nią natarczywe spojrzenie.

– Czy to przytyk do zarobków u mnie?

Dziewczyna zmieszała się lekko. Najwyraźniej została źle zrozumiana.

– Ależ skąd! Wiem, ile zarabia aplikant, pani mi płaci dobrze.

– Kowalski jest u siebie? Jeśli tak, to przyślij go tu. W takich warunkach to można najwyżej pietruszką handlować.

– Jest w sądzie, będzie najwcześniej za godzinę.

– Czy mam rozumieć, że oni tu będą tak tkwić za moimi drzwiami co najmniej przez godzinę?

– Na to wygląda. Mogę ich usunąć na klatkę schodową.

– Dobra, zostaw ich – rzekła z rezygnacją. – Co nowego w sprawie Gutkowskich?

– Sprawdziłam w urzędach, nie rejestrowali żadnych dzieci.

– Czyli albo to tylko pomówienie, albo pozbywali się noworodków w inny sposób.

– To byłoby straszne.

– Moja droga, takie rzeczy się zdarzają, nawet zwierzęta nieraz porzucają swoje potomstwo. Mam nadzieję, że ich nie zjedli. Musimy znaleźć dojscie do jej ginekologa. On powinien wiedzieć znacznie więcej.

– Ale czy to konieczne? Czy to nie należy do zadań milicji?

– W tym posranym kraju podstawowym działaniem milicji jest ściganie wrogów politycznych. Zresztą Gutkowski jest za mocny, żeby go bez wyraźnego powodu ruszyć. Należy mieć bardzo solidne dowo-

dy, czyli najlepiej zwłoki dziecka. Trzeba się zorientować, gdzie mogli je ukryć. Może mają jakąś działkę, dającą poza miastem? Wiem o kilku w Dębowej Górze i Soczewce. Popytaj o to.

– Myśli pani, że je zakopali?

– Nic nie myślę, bo ci zza ściany skutecznie mi to utrudniają. Idź teraz i zrób mi herbaty, bo ta jajecznicza w barze coś była trefna i wciąż mi się nią odbija. Pewnie sukinsyny użyli kaczych jaj, mało im jednej afery z zatrutym żarciem. Jeśli tak, to zniszczę ich w sądzie.

Ciekawe, czy to faktycznie zatrucie, czy raczej następny symptom raka, pomyślała. Najwyraźniej sukinsyn się rozkręca.

Ktoś zapukał do drzwi. Doktor Kalicki, co za niespodzianka. Rzadko tu zaglądał, ostatnio kiedy mogła mu napisać skargę na ordynatora okulistyki.

– Pani Zuzo, słyszałem o pani problemach – zaczął bardzo podekscytowany. – Trzeba się ratować, medycyna teraz potrafi działać cuda. Mój kolega archite...

– Panie doktorze – zdziwiona, weszła mu w słowo. – Cholera jasna, skąd pan to wie? Widzę, że wszyscy mają za nic tajemnicę lekarską i moja choroba lada moment stanie się podręcznikową tajemnicą poliszynela. Aż strach jutro czytać gazety, bo pewnie i tam o tym będzie. Wiadomość dnia! Lewandowską chuj strzeli!

– To nie tak. – Zakłopotał się – Spotkałem pana Nowaka, bardzo się martwi o panią, a że jestem lekarzem, to się od razu poradził.

– Niech się lepiej zajmie sobą. Kaszle tak, że niebawem płuca wypluje. Nie pójde do tej wykańczalni na Wawelskiej, nie ma mowy. Skoro mam przed sobą kilka miesięcy, to chcę żyć pełną piersią. Zamierzam pojechać do Zakopanego, do Sopotu. Od dawna się tam wybierałam, ale wciąż nie miałam czasu, bo musiałam kogoś wyciągać z tarapatów albo władza zagroziła dojazd czołgami.

– Pani mecenas. To tak nie wygląda, nie oszukujmy się. Ta choroba nie pozwoli pani na takie życie. Bez morfiny nie da rady, bo ból będzie nie do zniesienia.

– No patrzcie, jestem od lat, jak niektórzy twierdzą, alkoholizką, nałogową palaczką, a na koniec zostanę ćpunką. I kto mi powie, że nie miałam ciekawego życia? Muszę przyznać, że ten sukinsyn Bielski ze spółdzielni „Kacze Pióro” wiedział, co mówi. Dobrze by było doczekać do maja, wtedy ukażą się moje wspomnienia, chciałam zobaczyć gęby tych, których opisałam, jak dostają piany na ustach z wściekłości. To zadziała na mnie lepiej niż morfina, ukoj każdy, nawet najstraszniejszy, ból.

– Mnie też pani tam opisała? – spytał z niepokojem w głosie.

– Spokojnie, pan mi nie będzie życzył śmierci, ale już Ludwicki dostanie szału. Aż nie chcę myśleć, co zrobi z moimi zwłokami, kiedy wylądują na jego stole. Pewnie je kilka razy zgwałci, nim potnie na cienkie plasterki.

– Nie każdemu robią sekcję.

– Mnie zrobią, tego jestem pewna. Tak Mariański, jak i Ludwicki nie odmówią sobie przyjemności zajrzenia do mojego mózgu. Myślę, że się zdziwią, bo o tak pofalowanej korze mogą jedynie pomarzyć. Na szczęście będę to już miała w dupie. Napije się pan ze mną kielicha?

– Nie mogę, przyjechałem na rowerze.

– Jeden kielich krzywdy panu nie zrobi, a nawet da solidnego kopa. Nie zamierza się pan w końcu przesiąść do samochodu? Może czas porzucić miłość do pedałów? Trzeba iść z postępem. Może kupi pan mojego fiata, jak już go nie będę potrzebować.

– Pani Zuzo proszę tak nie mówić, może wszystko będzie dobrze. Proszę pojechać do Warszawy, niech panią tam przebadają.

– Nie dam się położyć, ale konsultacje mi nie zaszkodzą. Przejdę się do przychodni i wezmę skierowanie.

Twarz lekarza się rozpromieniła.

– Bardzo się cieszę. Jeśli pani chce, to mogę z panią pojechać. Powiem więcej: nalegam. Tylko proszę mnie uprzedzić ciut wcześniej, żebym zdołał przelożyć pacjentów.

Ledwie doktor Kalicki wyszedł, zjawiła się aplikantka.

– Pani Zuza, czy czegoś potrzeba?

– Tak, idź do kwaterek i dowiedz się, na kogo jest mieszkanie numer dwanaście przy Grodzkiej dwanaście. Tylko zrób to dyskretnie. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że interesuje nas ten lokal.

– A jeśli nikt nie będzie chciał ze mną gadać? Pamiętam, że tam pracowała taka stara wiedźma, zastępca kierownika. Z nią się nie dało porozumieć.

– Bienkowska, znam ją. Wal bezpośrednio do niej i powołaj się na mnie. Chciałam sama do niej iść, ale nie dam rady, mam teraz ważniejszą sprawę do załatwienia. Wychodząc, ucisz tych za drzwiami, bo dalej nie słyszę własnych myśli. Domyślam się, że Kowalski jeszcze nie wrócił?

– Zgadza się, ale powinien się zaraz pojawić.

Zadzwoił telefon, to Teresa. No tak, miała się do niej odezwać i zupełnie jej to z pamięci wyleciało.

– No i byłaś u tego Wieczorka? Jestem ciekawa, co o nim sądzisz.

– Zwykły czubek i nic więcej. Pełno takich lata po ulicach, raczej niegroźny.

– Naprawdę tak uważasz? – W głosie psychiatry łatwo było wyczuć zawód. – Ja wciąż twierdzę, że on coś knuje. Owszem, jego matka ma zaburzoną psychikę, ale zdarzają się okresy, kiedy mówi całkiem do rzeczy, i właśnie wtedy opowiada mi o planach syna.

– Gdyby coś planował, to myślisz, że by o tym matce opowiadał? Choć właściwie to ma sens, no bo kto uwierzy wariatce? Jednak żeby wysadzić w powietrze gmach sejmu, to potrzeba mnóstwo materiału wybuchowego. Na pewno nie wystarczy byle bomba. Skąd on by to wziął? Rozważam różne możliwości, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Zresztą nie znam się na materiałach wybuchowych. Jutro ma przyjść do mnie klient, były wojskowy, to go podpytam. Może on mnie na coś naprowadzi.

– Czyli jeszcze nie odpuszczasz?

– Nie, choć robię to tylko ze względu na ciebie, żeby cię uspokoić. Osobiście uważam go za niegroźnego czubka. Jego sąsiadka mi opowiedziała, że oni od pokoleń mają nierówno pod sufitem.

– Tak, wiem o tym, ale on jest inny, zamknięty w sobie i, jak twierdzi jego matka, coś konstruuje.

– Mówiłaś mi już o tym. Fakt, nie wpuścił mnie do środka, ale rozmawiałam z sąsiadką i ona utrzymuje, że jedynie magazynuje nawozy. Chyba że konstruuje bombę z gówna – dodała z nutką ironii.

– Wiem, że jesteś bardzo zajęta, ale go nie lekceważ.

– Owszem, mam teraz mnóstwo innych spraw na głowie, ale jeszcze popytam o tego czubka w jego zakładzie pracy. To na razie.

Zuza z ulgą zakończyła rozmowę. Trudno było jej się skupić, bo wciąż myślała o raczychu. To sukinyństwo w jednej chwili wyrzuciło jej życie do góry nogami. Teraz musiała się nauczyć żyć z dnia na dzień, bo planowanie czegokolwiek byłoby idiotyzmem.

W południe udała się do przychodni. Lekarz na jej widok dziwnie się uśmiechnął, ale jeśli myślał, że złapał ją w macki wykańczalni na Wawelskiej, to się grubo mylił. Nie zamierzała kłaść się tam nawet na jeden dzień, ale i nie zamierzała wtajemniczać konowała w swoje plany.

Wzięła skierowanie, zdjęcie i wyszła. Kiedy wróciła do domu, zastała tam istny armagedon. Pan Genio, malarz, przyszedł w sztok pijany, a Geńka zamiast go nie wpuścić do mieszkania, pozwoliła mu wejść na drabinę. No i wszedł, ale zaraz z niej zleciał, a wiadro farby w chwilę po nim. W efekcie malarz złamał nogę, Borys ufarbował się na żółto-niebiesko, a szklany stolik pamiętający jeszcze babcię Florcię nadawał się jedynie na śmietnik. Kiedyś Zuza wpadłaby w szał, ale teraz jedynie kazała Geńce posprzątać ten bajzel, a sama wzięła stoczek i zamknęła się w salonie. Włączyła magnetofon, kasetę z Dziwny jest ten świat, sączyła koniak i czekała, aż sprzątaczką dosłownie i w przenośni zmyje swoją winę. Zeszło tamtej do wieczora, ale Borysa nie tknęła, bo wywalił na nią zęby i nie dał się wykąpać. Ni-

gdy jej nie lubił i za to go Zuza kochała. Była już północ, jak wpakowała psa do wanny i stoczyła z nim prawdziwą wojenną batalię. Po wszystkich łazienka wyglądała jak Radziwie tuż po ostatniej powodzi, a Zuza jak topielica i tylko Borys wreszcie przypominał Borysa.

Zużę obudził dźwięk dzwonka. Z trudem zwołkła się z łóżka, zarzuciła na siebie szlafrok i otworzyła drzwi. Ku swojemu zdumieniu zobaczyła proboszcza. Wymownie spojrzała na zegarek. Ósma rano. Czy on już kompletnie zwariował, a może przedawkował wino mszalne?

– Wszelki duch Pana Boga chwali, ale litości, nie o tej godzinie. To wizyta po kolędzie? – spytała ironicznie.

– No wiesz, to nie ten czas – obruszył się.

– Myślałam, że ksiądz się obawia, że nie dociągnę do końca roku i kasa mu przepadnie. To byłoby tak po waszemu.

– Rozumiem, że jesteś w podłym nastroju, ale nie możesz wszystkich obrażać. Przyszedłem, żeby cię pocieszyć, dodać otuchy.

– Raczej obudzić. Dobra, proszę wejść. – Odsunęła się, robiąc przejście.

Proboszcz wtoczył się do mieszkania. Od ich ostatniego spotkania chyba jeszcze przytył.

Zanim usiedli w salonie, Zuza musiała najpierw Borysa zamknąć w kuchni, bo od zawsze nie cierpiał facetów ubranych w sukienki. Początkowo jedynie sikał na proboszcza, ale z czasem zaczął robić użytek ze swoich zębisk.

– Co ksiądzu sprowadza? – spytała, częstując go ekstra mocnym.

– Ty, moja droga. Potrzebujesz wsparcia duchowego. Jestem od tego, żeby ludziom pomagać, służyć radą, dodać otuchy, opowiedzieć o czekającym nas raj.

– Myśli ksiądz, że w tym lepszym świecie nie będzie komunistów?

– Jestem przekonany.

– A nie będzie sublokatorów z kwaterunku?

– Zakładam, że nie.

– Myśli ksiądz, że księży też tam nie będzie?

– Czemu o to pytasz?

– Dante twierdził, że jedynie w piekle jest was pełno. Ciekawi mnie, jak jest naprawdę.

– Na pewno się dowiesz.

– Ja się tam jeszcze nie wybieram, tym bardziej że dobrze się czuję.

– Ciesz się moim optymizmem, ale jeśli będzie taka wola Pana, to nie uciekniesz przed nią.

– Nie zamierzam przed nikim uciekać, Lewandowscy zawsze byli twardzi. Jeśli ksiądz myśli, że zaraz rzucę się do wyznawania grzechów, to się srodze zawiedzie.

– Tego się spodziewałem, bo za dobrze cię znam. Chcę ci zaproponować pomoc duchową w drodze do Warszawy. Przyda ci się takie oparcie, a tam na miejscu szczególnie.

Zuza zdumiała się. Oczywiście wyobraźni zobaczyła swojego fiata w drodze do stolicy. Proboszcz, doktor Kalicki, Kowalski, Nowak i kto jeszcze. Będą się modlić, pocieszać ją, chyba nie ma nic bardziej wkurwiającego. Chcą tego kabaretu, dobra, będą go mieć.

– Jutro rano o ósmej wyjazd. Tylko proszę się nie spóźnić – zakomunikowała mu.

Posłał jej szeroki uśmiech.

– To mnie cieszy. Będę punktualnie.

Zuza, zanim udała się na śniadanie, najpierw ruszyła na plac Narutowicza, na postój taksówek. Miała szczęście, bo akurat podjechał czarny fiat 132. Jeździł nim Suski, największy alfons wśród taryfjarzy. Z jego usług korzystali wszyscy, od prałatów po sekretarzy partii i zwykłych obywateli. Zuza podeszła

do auta od strony kierowcy i porozmawiała chwilę z taksówkarzem, a na koniec kilka banknotów zmieniło właściciela.

W kancelarii cisza i spokój. Nikogo nie było, nawet Jolkę gdzieś wymiotło. Zuza wyjęła zza szafy wędziska i poszła nad Wisłę, kto wie, czy nie ostatni raz. Pan Zdzisio jak zwykle tkwił na posterunku. Ogromnie się zdumiał na widok Lewandowskiej. Nie przychodziła tu chyba z rok, a może i dłużej.

– Kogo moje oczy widzą? Już myślałem, że pani tu nigdy nie zajrzy.

– Ciekawi mnie, czy w Płocku jest jakaś osoba, która nie wie o mojej chorobie? – Zaśmiała się gorzko.

– Proszę się nie dziwić, jest pani bardzo znaną osobistością i wszyscy się o panią martwią.

– A nie mogliby się ode mnie odpiardolić? Zaczynam mieć tego dość. Gdzie jest coś takiego, co nazywa się tajemnicą lekarską? Jak dziś? Ryby biorą? – Zerknęła do wiadra i już знаła odpowiedź: kiepsko.

Pan Zdzisio podał jej niedużą puszkę.

– Podzielię się z panią robakami, dziś mam dżdżownice.

– Przypominają mi komuchów, są tak samo obślizgłe. A co tam słychać w Radiu Wolna Europa? – spytała. Po ostatniej awarii prądu odbiornik jej się tak rozregulował, że za żadne skarby nie mogła namierzyć ulubionej rozgłośni.

– Bardzo ciekawie! Głośno jest o naszym mieście. Ktoś im przekazał materiały kompromitujące kilku prominentów, w tym drugiego sekretarza partii i dyrektora Petrochemii. Ten ktoś był bardzo dobrze poinformowany.

– Ciekawe – odparła, uśmiechając się zagadkowo. To była świetna wiadomość, dowód, że Sarze udało się przemycić na Zachód zawartość kilku teczek po sekretarzu Wiśniewskim. Zuza zdawała sobie sprawę, że komuchy dobrze wiedzą, kto był inspiratorem tego wszystkiego, i pewnie będą chcieli się zemścić. Informacja o jej chorobie zapewne wywołała u nich popłoch, bo to oznaczało, że zmieni się właściciel archiwum i być może niebawem wszystkie te czki naraz wyjdą na światło dzienne, a to byłoby w Płocku prawdziwe trzęsienie ziemi.

Pan Zdzisio spojrział podejrzliwie na Zuzę.

– Gdyby nie to, że wciąż pani odmawiają wydania paszportu, pomyślałbym, że pani maczała w tym palce.

– Ja? Ależ skąd. – Puściła do niego oko.

– Oj, stąpa pani po cienkim lodzie, jak ich znam, to będą się mścić.

– A co mi mogą zrobić? Najwyżej skrócą cierpienie – rzekła z goryczą w głosie.

– Ależ proszę tak nie mówić – zachnął się.

Rozmowa się urwała.

Zuza, choć próbowała po sobie tego nie okazywać, myślami wciąż była przy wizycie na Wawelskiej w Warszawie. Jeszcze się ludziła, że to pomyłka, że zamieniono przypadkowo zdjęcia lub źle je odczytano. Takie rzeczy się zdarzały, i to dość często. Wiele o tym słyszała.

Po dwóch godzinach złożyła wędziska i udała się do domu.

Notatka kapitana Mariańskiego

Dzisiaj doniesiono nam, że nijaka obywatelka Lewandowska zahorowała na nowy twur. Kazaliśmy kapralowi Oparze ustalić co to jest i czy to prawda, bo wcześniej doniesiona nam, że ma raka. Trzeba to wyjaźnić.

Rano punkt ósma przed kamienicą Zuzy spotkali się Nowak, proboszcz i Kowalski. Wszyscy w minorowych nastrojach, bo zapowiadała się ponura wyprawa. Tuż przy nich zatrzymała się taksówka, fiat 132. Za kierownicą siedział Suski.

– Pani Lewandowska prosiła, żebyście wsiedli do samochodu. Mam was zawieźć pod pewien adres, tam już na was czeka.

Spojrzeni po sobie zdziwieni, ale posłusznie zajęli miejsca w aucie. Taksówka natychmiast ruszyła z miejsca, przemknęła przez starówkę i zjechała nad Wisłę, by zatrzymać się przed jedną z kamienic.

– Trzeba udać się do mieszkania na pierwszym piętrze, numer cztery – oznajmił im Suski z kamienią twarzą i jak tylko wysiedli, z piskiem opon odjechał.

– Dziwne – mruknął Nowak pod nosem, ale ruszył za pozostałymi. Wdrapali się po schodach i stanęli przed drzwiami, które, gdy proboszcz nacisnął przycisk dzwonka, rozwarły się z loskotem. W progu stała roznegliżowana i prowokacyjnie wymalowana panienka, uśmiechała się szeroko. Nowak od razu ją poznał. To znana w mieście prostytutka Wanda Talarska. No tak, teraz sobie przypomniał, skąd znał ten adres, przecież był tu kiedyś na interwencji. Klient nie chciał zapłacić za usługę i został zepchnięty ze schodów. Skończyło się na złamanej ręce.

– Co za szczęśliwy dzień, tylu klientów, i to od samego rana. Chodźcie, chłopcy, zabawimy się. Mnicha rekolekcyjnie już miałam, ale księdzu jeszcze nie robiłam dobrze.

Chwyliła dłoń proboszcza i wciągnęła go do mieszkania. Był tak zaskoczony, że nawet się nie bronił. Kowalski parsknął śmiechem, a sierżant ruszył na ratunek duchownemu i siłą ściągnął z niego prostytutkę.

Niezwłocznie opuścili kamienicę. Proboszcz ciężko sapał, wielką kraciatą chustką ścierał pot z czoła.

– Dziękuję za ratunek. – Spojrzał z wdzięcznością na Nowaka. – Wyrwałeś mnie, kochany, z gniazda szatana, z domu rozpusty.

– Bez przesady, trochę rozrywki by się księdzu przydało – zakpił Kowalski. – Ona zna się na rzeczy jak mało która.

– Widzę, że jesteś dobrze zorientowany – zauważył sierżant.

– Jak prawie wszyscy faceci w Płocku, nie udawaj świętego. – Kowalski się zaśmiał, puszczając do niego oko.

– No wiecie?! – oburzył się proboszcz. – To przecież prostytutka, grzesznica!

– Święta Magdalena też ponoć nią była. Tak w każdym razie twierdzi Kościół. Może i ta zostanie świętą. Sama mówiła, że mnich już ją nawracał. – Adwokat zarechotał.

– Błuznisz, i to bardzo. Zamilcz lepiej.

Proboszcz rozejrzał się po ulicy. Pusto dokoła, próżno szukać jakiejś podwózki.

– A czym wrócimy na górę?

– Na autonogach, bo o taksówce to możemy zapomnieć. Zuza zakpiła z nas i właściwie miała rację. Byliśmy zbyt nachalni z naszą pomocą. Ona musi się najpierw sama z tym zmierzyć, a my weszliśmy w brudnych butach w jej życie, nawet nie pytając, czy nas zaprasza. Zresztą taki spacer niektórym z nas dobrze zrobi na zdrowie. – Sierżant spojrział wymownie na wielki brzuch proboszcza.

Zuza zaparkowała samochód nieopodal szpitala. Spojrzała na zegarek, była przed czasem. Mogła jeszcz w spokoju wypalić papierosa i tak też uczyniła.

Przed gabinetem lekarza stała długa, zakręcona kolejka. Zuza z rezygnacją podążyła na sam jej koniec. I tak miała fart, bo zajęła ostatnie wolne krzeselko. Fakt, rozklekotane, ale było na czym posadzić

tyłek. Nawet się dobrze nie rozsiadła, kiedy zjawił się jakiś lekarz i wywołał ją po nazwisku, budząc ogólne zdumienie i zawiść.

– To ja!

– Proszę za mną.

Ale mam szczęście, pomyślała, podążając za konowalem do jego gabinetu. Był nieduży, mieścił się na końcu korytarza, weszli doń tak szybko, że nie zdążyła odczytać tabliczki na drzwiach. Podała lekarzowi dokumentację, ten spojrzął pod światło na kliszę. Długo jej się przyglądał, po czym kazał Zuzie się rozebrać i usiąść na krześle. Zbadał ją, osłuchał, zajrzał w gardło i na koniec oznajmił, że zmiany są tak duże, że na leczenie jest za późno. Przekazał jej to w takiej formie, jakby oznajmiał, że złapała zwykły katar. Sukinsyn, był gruboskórny niczym nosorożec. Tak czy owak, tak szybko jej się nie pozbędzie.

– Może to pomyłka, nie chce mnie pan ponownie prześwietlić? Wiem, że różne rzeczy się zdarzają.

– Nie ma potrzeby, już wykonano duży obrazek. Drugie zdjęcie obywatelce jedynie zaszkodzi.

– Skoro i tak jestem pod kreską, to czy to ważne? Żądam drugiego rentgena, i to kategorycznie.

– Dobrze, chodźmy więc. – W końcu się zgodził.

Przeszli na radiologię. Zuza widziała na korytarzu wynędzniałych pacjentów, jedni siedzieli, inni ledwie stali, a jeszcze inni leżeli, pewnie zabrakło dla nich łóżek. Jeśli myślała, że ona też tu wyląduje, to ich niedoczekanie. Zdechnie we własnych czterech ścianach. Zdjęcie wykonano i po dwóch godzinach Zuza została ponownie poproszona do gabinetu.

– Tak jak mówiłem, obywatelka ma zaawansowany nowotwór, który jest nieoperacyjny. Przepiszę obywatelce leki, które należy systematycznie zażywać. One złagodzą objawy.

Z szafki wyjął mnóstwo słoiczków z lekarstwami i podał je Zuzie.

– Panie doktorze, czy nie ma już żadnej szansy? Może trzeba gdzieś zapłacić? Nie jestem biedna. – Z torebki wyjęła grubą kopertę i położyła ją na biurku. Gdy lekarz zerknął do niej, jego twarz wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia. Energicznym ruchem dłoni odsunął kopertę od siebie.

– Nie ma szansy. Na tę chorobę nie ma remedium.

– Sukinsynu, pewnie za mało? Więcej ci nie dam. Trudno, zdechnę i tak, tyle że może z miesiąc wcześniej.

Wstała z krzesła, kopertę na powrót schowała do torebki i sięgnęła po klisze.

Lekarz posłał jej cyniczny uśmiech.

– To własność służby zdrowia.

– To ją sobie w dupę wsadź – warknęła i wyszła z gabinetu. Na koniec trzaskając drzwiami.

Na korytarzu tłum gęstniał. Zuza była tym widokiem wstrząśnięta, nawet nie przypuszczała, że nowotwory są taką plagą. Czy było jej różnie? Na pewno nie.

– Przepraszam – zaczął ją jakiś mężczyzna. – Jak pani załatwiła, że wpuszczono panią bez kolejki? Ja tu czekam od szóstej rano, a przede mną jeszcze dwadzieścia osób. Komu trzeba dać w łapę?

– Nie wiem, tu może wszystkim? Ja nikomu nie dałam, nie chcieli, bo miałam za mało. Wywołało mnie bez żadnych znajomości, pewnie mieli załatwić kogoś innego o tym samym nazwisku i ten się nie zjawił. Może już umarł?

– Pani to ma szczęście.

– Cholerne. Aż skaczą do góry z radości.

Wróciła do samochodu i zaczęła ze złością tłuc dłońmi w kierownicę. Kurwa mać, źle to rozegrała. Trzeba było wziąć więcej pieniędzy, to nie Płock, że wystarczy równowartość jednej pensji, tu warszawka, która lubi się bawić, a to słono kosztuje. Trudno, już tego nie odkręci, widocznie tak los chciał.

Ruszyła w drogę powrotną.

Był już wieczór, gdy zaparkowała fiata na podwórzu. Akurat pan Tadzio, sąsiad z trzeciego piętra, pakował dubeltówkę do swojej lądy.

– Na polowanie? – spytała retorycznie Zuza. – Będę trzymała kciuki za te zajęce, może któremuś z nich uda się przeżyć.

– Pani Zuza, tym razem zamierzam upolować większego zwierza.

– Zastrzeli pan pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego? Świetny pomysł, będę pana w sądzie bronić, ale musi się pan pospieszyć, żebyśmy zdążyła. Najlepiej będzie go ustrzelić jeszcze dziś.

Spojrzał na nią z niepokojem.

– Nie rozumiem. Wyjeżdża pani gdzie? Wyprowadza się z Płocka?

O, jest jeden, co jeszcze nie wie, przemknęło jej przez myśl.

– Owszem, i to dość daleko.

Na cmentarz, dopowiedziała w duchu.

– Widzę, że wreszcie dali pani ten upragniony paszport. Nawet ta władza po jakimś czasie mięknie.

– To paszport od kogoś innego – rzekła z przekąsem. – Kto inny puścił do mnie oko.

Pan Tadzio się zdumiał.

– Dyplomatyczny? No proszę, proszę. Świetne wiadomości! Cieszę się razem z panią.

Zuza zrobiła tajemniczą minę i poszła w stronę kamienicy. Przed wejściem stał Piosik. Był bardzo zdenerwowany.

– Wystaję na panią już z godzinę. Ktoś się tam przyplątał. Przyjechał czarną wołgą. To chyba ten typ, co kiedyś pani z nim gadała.

Zuzie serce mocniej zbiło, adrenalina wystrzeliła w organizmie niczym ruska rakietka w kosmos.

– Biegnę do siebie zostawić bagaż i zaraz będę. Czekać tu na mnie.

Wbiegła po schodach na górę, po drodze minęła Tomaszka, który stał na półpiętrze i ćmił papierocha.

– Masz szczęście, że się spieszę, bobym ci tego gluta wcisnęła w gardło! – krzyknęła i pobięła dalej.

Borys na jej widok zaczął się nerwowo kręcić po przedpokoju.

– Wybacz, kochany, ale nie mam czasu. Najwyżej zlejesz się na podłogę.

Zostawiła siatkę i wybiegła z mieszkania.

W kilka minut byli na miejscu. Już z daleka zobaczyła wołgę, zerknęła na numery rejestracyjne, zgadzały się, teraz była pewna, że to ten sam samochód. Weszli w bramę, w oknach na piętrze świeciło się światło.

– Schowajmy się gdzieś, żeby nas nie zobaczył – szeptała do Piosika. – Wejdziemy tam, jak on sobie pójdzie.

– Ma pani szlugi? Aż mnie skręca w bęlcunie z tego głodu.

– Ty je jesz czy palisz? Zdecyduj się w końcu. – Zaśmiała się, choć tak naprawdę jako stara palaczka dobrze знаła to uczucie. Z premedytacją poczęstowała go ekstra mocnym. Nie był zadowolony, nie każde płuca sobie z nimi radziły, jego szczególnie słabo. Stali w miejscu i patrzyli jak zahipnotyzowani w okna, drepzcząc dla rozgrzewki. Wreszcie światło zgasło, przywarli plecami do muru i zamarli w oczekiwaniu. Zaskrzypiały drzwi i Zuza w blasku księżycy natychmiast rozpoznała sylwetkę tajemniczego nieznanego. Minął ich w bliskiej odległości, wsiadł do wołgi i odjechał. Natychmiast jak samochód ruszył, Zuza z Piosikiem pobiegli do oficyny. Drzwi do mieszkania były zamknięte, ale to dla oprycha, w odróżnieniu od Nowaka, nie stanowiło żadnego problemu. Za pomocą wytrychu migiem poradził sobie z zamkiem. Zuza zapaliła latarkę i wolno, krok po kroku, sprawdzali mieszkanie. Nic się w nim nie zmieniło od jej ostatniej tu bytności. Na koniec zajrzeli do łazienki. Zuza czuła podenerwowanie, bo dobrze pamiętała, co tam znalazła wcześniej, i dlatego puściła Piosika przodem.

Stanął w progu jak wryty.

– O kurwa! – krzyknął.

Spojrzała mu przez ramię. W wannie leżała jakaś kobieta. Tym razem blondynka. Co tu się, do cholery, dzieje? Seryjny zabójca? Podeszła bliżej i nachyliła się, żeby się lepiej przyjrzeć denatce. Tak jak poprzednia ta też była przeraźliwie sina i tak jak poprzednio ktoś wytoczył z niej krew. Mogła mieć trzydzieści lat, może kilka więcej. Znaków szczególnych na jej ciele Zuza nie zauważyła. Zwróciła szczególną uwagę na jej dłonie, delikatne, wypielęgnowane. Ona nigdy tak o swoje nie dbała i już nie zadba.

– Pani mecenas, spierdalamy stąd, bo ktoś zasuwa od bramy. – Piosik szarpnął ją za ramię.

To ją natychmiast otrzeźwiło. Wybiegli z mieszkania i schowali się na klatce schodowej piętro wyżej. Zdążyli w ostatnim momencie, bo ktoś wszedł do kamienicy i zaczął wchodzić na górę. W półmroku dojrzeni dwóch postawnych mężczyzn. Tamci weszli do mieszkania.

– Co robimy? – szepnął Piosik.

– Czekamy. Zobaczymy, co zrobią ze zwłokami. Masz tu jakiś pojazd? Może motor albo motorower?

– Nie, ale mogę skroić komuś rower. Widziałem jeden na podwórzu przymocowany łańcuchem do drzewa.

– A nadążysz tym czymś za autem?

– Czemu pani pyta? Nie rozumiem. Chyba nie chce pani, żebym za nim zapierdalał?

– Ja nie dam rady, a trzeba ustalić, co oni robią z trupami. Zapłacę ci za to ekstra.

Mimo półmroku Zuza zobaczyła, że Piosik zbladł.

– Z trupami? Kurwa mać, co tu się dzieje? Ja mam dzieci.

– Piosik, co ty pierdolisz? Jakie dzieci? Zapomniałeś, że jestem twoim adwokatem i wiem o tobie wszystko?

– Mam chrześnicę i chrześniaka, to tak jak prawdziwe.

– Katolik się znalazł. Koń by się uśmieł.

Zaskrzypiały drzwi, więc natychmiast zamilkli.

Znów pojawili się ci sami mężczyźni, nieśli długi pakunek. Po cichu, powoli Zuza z Piosikiem skradali się za nimi. Nieznajomi wrzucili trupa do żuka i ruszyli ulicą Grodzką w stronę Starego Rynku. Piosik migiem poradził sobie z kłódką od łańcucha i odczepił rower. Zaklął coś szpetnie pod nosem, ale nie protestował, tylko posłusznie wsiadł na niego i pojechał za autem.

Żuk skręcił w lewo, pewnie następnie pojedzie Małachowskiego, pomyślała Zuza. Była prawie przekonana, że trup skończy w Wiśle, bo to było najprostsze rozwiązanie. Piosik cały czas dzielnie za nim nadążał, widziała, jak mu na kocich łbach głowa skakała. W końcu zniknęli jej z pola widzenia, więc poszła do siebie.

Kiedy wchodziła do przedpokoju, Borys tylko czekał, by przemknąć jej między nogami i tyle go widziała. Pewnie wróci dopiero nad ranem i głośnym szczekaniem obudzi pół kamienicy. Znów zjawi się dzielnicowy i będzie starał się ją pouczyć. Tym razem chyba nie zdzierży i skurczybyka spuści ze schodów. Tak kiedyś zrobiła z komornikiem, który ją ściagał za zaległą składkę za ubezpieczenie samochodu i wyciągnął właściwe wnioski, bo już więcej się nie pokazał. Kowalski śmiał się z tego i podejrzewał, że skręcił kark i dlatego już nie wrócił.

– Zuzaaa! Zuuuza! Miiilicja! Miiilicja!

Co się dzieje? Zuza zajrzała do Zgagi. Od razu zorientowała się, w czym rzecz. Jedna łapa ptaka utknęła między prętami klatki. Jak ona to zrobiła? Gdyby to się wydarzyło po słynnej imprezie integracyjnej, kiedy Zgaga się załapała, toby jej to nie zdziwiło. Uwolniła papugę z pułapki, a ta w podzięcie walnęła ją dziobem prosto w lewą dłoń.

– A ty suko! – ryknęła na nią Zuza. – Taka to twoja wdzięczność?

– Suuuka! Suuuka! Zuuuza to zduiira! – Ptaszysko rozdarło się na całe mieszkanie.

Tego już było za wiele. Zuza zarzuciła koc na klatkę i pobiegła do kuchni opatrzeć ranę. Na szczęście tym razem nie była głęboka i nie wymagała szycia. Do cholery, czemu trzyma to wredne ptaszysko? Powinna była jej już dawno łeb ukręcić. Sama siebie nie rozumiała. Przecież bez niej jej życie byłoby dużo

łatwiejsze i przyjemniejsze. Za to, co teraz jej zrobiła, powinna otworzyć okno i wypuścić ją, za karę obdarować wolnością. Ciekawe, jak długo by się nią cieszyła? Okoliczne koty pewnie by się nią troskliwie zajęły, i to szybko, tylko by pióra fruwały, a dziób wreszcie by się zamknął, i to na dobre.

Nagle coś potwornie gruchnęło o ścianę. Uderzenie było tak silne, że spadł portret dziadka. To sprawka sublokatora. Od jakiegoś czasu stawał się coraz bardziej agresywny w stosunku do swojej niewiedzonej żony. Rzucił nią o ścianę, wyzywał od najgorszych. Zuza za Borkowską potrafiła się wstawić i zadzwonić po milicję, ale los tej baby był jej zupełnie obojętny. Za dużo jej dopieklą.

Powiesiła na powrót obraz i z obandażowaną dłonią oraz butelką koniaku wróciła do salonu.

Miała sporo do przemyślenia. Nowa sytuacja wymagała zupełnie innego podejścia do życia. Wyjęła z torebki kilkanaście buteleczek z najprzeróżniejszymi tabletkami i kartkę z rozpiską dawkowania. Ustawiła je równo obok siebie, a naprzeciw nich postawiła trunek. Brać te świństwa czy nie brać? Oto jest pytanie. Czym ma się leczyć? Rozum nakazywał walczyć o ciało, dusza była po stronie stocka. Jaką podjąć decyzję, kiedy jedno i drugie jest bardzo chore? Trzeba to jakoś pogodzić, więc wzięła lekarstwa i popiła je koniakiem. Tym samym wilk był syty i owca cała. Tak jej się w każdym razie wydawało. Zerknęła na zegar, dopiero dziewiąta, za wcześnie, żeby iść spać. Zapaliła ekstra mocnego i głęboko się nim zaciągnęła. Pół roku to mało czasu, więc musi go należycie wykorzystać. Od dziś wcześniej niż o dwunastęj nie będzie się kłaść do łóżka, bo sen to zmarnowany czas, wstawać też będzie wcześniej. Spojrzała na bibliotekę, wielu z tych książek jeszcze nie przeczytała i teraz nadszedł czas na to, żeby to zmienić. Musi też postanowić, komu je dać, taki księgozbiór nie powinien przepaść, a nie daj Boże skończyć na haku w czyjejs toalecie, co przy ogólnym braku srajtaśmy nie było czystą abstrakcją. Musi porozmawiać o tym z kierowniczką miejskiej biblioteki. Pewnie nie odmówi ich przyjęcia. Dałaby książki Nowakowi, ale znając jego babę, to by jej nie zdziwiło, gdyby nimi rozpałała w piecu, choćby tylko dlatego, że są od niej. Jeszcze był Kowalski, ale nie wiedziała, czyby mu okładki pasowały do wystroju domu. Gdyby nie, to na pewno zbutwiałyby w jego piwnicy.

Podeszła do regału i sięgnęła po pierwszą z brzegu. Dżuma, o nie, tylko nie ta, od razu nasuwa się za dużo złych skojarzeń. Wzięła następną.

Zuza zbudziła się punkt szósta rano. Czuliła się źle, bolała ją głowa. Dziwne, bo wieczorem nie poszalała z koniakiem. Zrzuciła to na stres związany z chorobą. Krzątając się po salonie, usłyszała jakiś chrobot dochodzący zza drzwi. To Borys, sukinsyn wrócił z nocnego łajdactwa. Wpuściła go, położył się na swoim legowisku i od razu zasnął. Wyjrzała przez okno. Na stajenkach otwarte woliery, w powietrzu unosiły się stada gołębi, bombardując podwórze gradem świeżutkich, jeszcze ciepłych odchodów. To jest prawdziwe przekleństwo mieszkania w kamienicy i nie ma jak z tym walczyć, bo to proletariat hoduje gołębie, a z nim w tym zasranym PRL-u nikt nie wygra. Zobaczyła Garwacką, sąsiadkę z parteru, szła przez podwórze, uginając się pod ciężarem dywanu. W ręce dzierżyła trzepaczkę. Zuza wiedziała, że za chwilę rozpęta się prawdziwe piekło, bo czyniony przez nią hałas postawi na nogi całą kamienicę. Z hukiem otworzą się okna, a z jeszcze większym usta brutalnie zbudzonych sąsiadów i pyskówkom lokatorów nie będzie końca. Nie zamierzała znów tego wysłuchiwać, poszła do kuchni zaparzyć sobie miętę. Po drodze wrzuciła Zgadze garść słonecznika, okazując jej dobre serce, bo papuga nie powinna nic dostać za wczorajsze zachowanie, powinna za karę co najmniej dzień siedzieć o suchym dziobie. Może wtedy by się czegoś nauczyła? Patrzyła na arę i zastanawiała się, kto ją przyczarni po jej śmierci. Kto wytrzyma z tym pierzastym potworem? W tej chwili nikt taki nie przychodził jej do głowy.

Kiedy opuszczała mieszkanie, zegar na ścianie w salonie wybijał godzinę ósmą. Przed kamienicą czekał na nią Piosik.

– Co ty tu robisz z samego rana? – zdziwiła się, bo każdy, kto ją choć ciut znał, wiedział, że lubi po spać i jeśli nie ma w sądzie rozprawy, to nie wyłania się z domu wcześniej niż o dziesiątej.

– Pani mecenas, nie chciałem pani nachodzić w hacie. Wiem, że pani tego nie lubi. Wczoraj wieczorem myślałem, że mi nogi z dupy wypadną, tak za tymi sukinsynami pedałowalem.

– Chyba ich nie zgubiłeś? – zaniepokoiła się.

– Nie, ale jeszcze dziś ledwo łążę. Byłem chyba lepszy od Szurkowskiego czy tego, jak mu tam, Hanusika.

– No to mów, gdzie wywieźli ciało? Pewnie nad Wisłę i plum do wody? Mam rację?

– Nie, pojechali na Górki.

– Gdzie? Co ty pierdolisz? Na Górki! – zdumiała się. – A po cholere tam?

– Nie mam pojęcia, pani mecenas. Wylądowali truposzczyka i wtargali go do tej kamienicy, co stoi przy kościele, tej z boku. Dalej za nimi nie lażłem, bo bałem się, że mnie w końcu zobaczą, a życie mi jeszcze miłe.

– I co było potem?

– Wyszli po chwili, wsiadli do żuka i odjechali, ale już za nimi nie jechałem.

– A po ich odjeździe nie zajrzałeś tam?

– Zajrzałem, ale wszystko było zamknięte. Tam ludzie mieszkają i wszyscy spali. Wydaje mi się, że tamci zeszli do piwnicy, ale ja już nie schodziłem, bo bez latarki to strach było się w tę ciemność zapuszczać.

– Dobrze się spisałeś, pogadaj z kumplami, obserwujcie dalej tę kamienicę przy Grodzkiej i tak jak teraz, jeśli coś się będzie działo, to dajcie mi pilnie cynk. Za wszystko zapłacę, a tą piwnicą to ja się zajmę.

Piosik zerknął na Zużę z niepokojem.

– Nie radziłbym tak samej. Lepiej niech pani pogada z tym pani znajomym, sierżantem. On pewnie ma spluwę, tak będzie bezpieczniej.

– Ty też kiedyś obdarowałaś mnie spluwą, ale wcale nie było bezpieczniej – rzekła z drwiną w głosie. Dobrze pamiętała trefne parabellum. Gdyby nie Nowak, miałyby przez nie spore kłopoty.

– Pani mecenas, jak bum cyk cyk nie wiedziałem, że to gównno jest skażone. Chciałem dobrze, słowo.

– Wiem, wiem, już nie wracajmy do tego. Masz tu paczkę giewontów i zmiataj.

Wcisnęła mu papierosy w dłoń i poszła w stronę baru mlecznego. Tyle razy już się zaklinała, że więcej nie przekroczy jego progu, ale wciąż ulegała wieloletniemu przyzwyczajeniu.

Dziś znów nie była oryginalna i zamówiła jajecznicę, ale czy znając tamtejszy jadłospis, można byłoby oryginalnym?

Zaraz po śniadaniu udała się do kancelarii, ale zamiast do swojego pokoju skierowała się do toalety, a powodem były nagle silne torsje. Kiedy opuściła łazienkę, aplikantka przeraziła się jej wyglądem.

– Pani Zużo, co się dzieje? Może trzeba lekarza?

– Właśnie od niego wracam – odparła z przekąsem Zuża. – Tak to jest, jak się dostaniesz w ich łapy. Czego się dowiedziałaś na temat kamienicy przy Grodzkiej? Czyje to mieszkanie? I co ze sprawą Gutkowskiej? Czy znalazłaś coś na jej ginekologa? Zanim się z nim spotkam, muszę coś mieć, bo inaczej gadać ze mną nie będzie. Dziwię się kobietom, że do niego chodzą. To dla mnie wielka zagadka. Pewnie robi tanie skrobanki i o nic nie pyta, bo tylko to tłumaczy ich zachowanie. Wiem, że miał jakieś problemy finansowe, może tu trzeba pokopać? Jakies przekręty z podatkami byłyby mile widziane.

– Nic pani nie mówiła, żebyś szukała na niego haków – zdziwiła się Jolka.

– Jeśli nie mówiłam, to powinnaś się domyślić!

Zuża cały czas trzymała się za brzuch, który wciąż rwał ją niemiłosiernie.

– Byłam w kwaterunku u tego babsztyla – relacjonowała aplikantka. – Najpierw nie chciała ze mną rozmawiać, ale jak się powołałam na panią, zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni i dosłownie miód zaczął ciec z jej ust. Mieszkanie jest przydzielone jakiemuś Sawczyńskiemu z Warszawy. Ponoć jest tu w delegacji. Przed nim chwilowo mieszkał tam niejaki Parciński.

– Od kiedy takim klientom przydziela się mieszkania kwaterunkowe? Ludzie są zapisani na liście od kilkunasu lat, a on przyjeżdża w delegację i od razu ma. Hm.

- Też jestem zdziwiona, ale ponoć miał rekomendacje.
- Od kogo, jeśli można spytać? Jestem bardzo ciekawa.
- Tego mi nie powiedziała, ale dała mi do zrozumienia, że od bezpieki albo z partii.
- No proszę, robi się interesująco. Wiesz co, zanim pójdziesz szukać haków na tego konowała, najpierw pilnie zaparz mi ziółka.
- Nie wiem, czy są. Jak nie ma, to wyskoczę do Herbapolu i kupię.
- W pokoju Kowalskiego, w szafce pod oknem, jest ich więcej niż w Herbapolu, bo tam teraz to tylko puste półki. On jest lekomanem i ma naprawdę niezłego pierdolca na punkcie swojego zdrowia. Zaparz wszystkie prócz tych na prostatę, takiego mixa. Któreś z nich powinno pomóc.
- Coś pani zaszkodziło?
- Tak jakby, idź już lepiej – rzekła Zuza wymijająco i sięgnęła po papiery.

Kiedy została sama, wyjęła koniak i kieliszek. Podniosła butelkę, ale się rozmyśliła. Na powrót schowała ją do szuflady. Spojrzała na portret Ambrożego. Uśmiechał się. Nie wiedziała, czemu się cieszy, wszak widać było, że raczycho zaczyna pokazywać pazury. Sięgnęła po ekstra mocne. Zapaliła, ale od razu przygasiła papierosa, bo poczuła się jeszcze gorzej. Może to tylko strucie, oby.

Mostówką w dół skarpy jechał gazik wojskowy, skręcił pod most i się zatrzymał. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn ubranych w mundury polowe. Rozejrzeli się wokół siebie i nie widząc nikogo, poszli do pojazdu od tyłu. Znow się rozejrzeli, po czym z auta wyciągnęli bezwładnego mężczyznę. Był nieprzytomny lub, co gorsza, martwy. Chwycili go pod pachy i za nogi, rozbujali i niczym worek kartofli cisnęli w okoliczne zarośla. Ponownie się rozejrzeli, po czym wsiedli do gazika i odjechali.

Kiedy po samochodzie nie było już śladu, z nadbrzeżnych wiklin wynurzył się pan Zdzisio. Wracał z ryb i przez przypadek był wszystkiego świadkiem. Podszedł ostrożnie do miejsca, gdzie wrzucono nieszczęśnika. Zajrzał w krzaki, a po chwili śpiesznie się z nich wycofał. Chwycił na powrót wędkę i szybkim krokiem podążył w stronę schodów prowadzących na Górki.

Zuza popijała ziółka, kiedy pan Zdzisio wpadł do jej pokoju niczym bomba. Zamknął starannie drzwi za sobą i podszedł do biurka. Nachylił się do ucha Zuzy zdumionej jego niecodziennym zachowaniem.

- Znalazłem Marcinkowskiego, okropnie pobity, ale dycha – szepnął.
- Marcinkowskiego? – Nie kryła zdumienia. Do tej pory wydawał jej się nietykalny. – W końcu dostał to, na co zasłużył – odparła. – Karma wróciła. Amen.
- Widziałem, jak go przywieźli, to byli wojskowi. Chyba to jakieś ich wewnętrzne porachunki, no bo on to komisarz, bądź co bądź jest największą szychą. Co pani zamierza z tym zrobić?
- O co mu chodzi? Spojrzała na niego pytająco. Marcinkowski to nie jej zmartwienie.
- Nie rozumiem. A co ja mam do tego?
- No, on tak leży rzucony niczym pies na zdechnięcie. Trzeba mu jakoś pomóc, inaczej wyzionie tam ducha.
- Pan dobrze wie, że to kawał skurwysyna. Niech mu jego koleśie pomogą. Czemu akurat ja?
- Ale właśnie jego koleśie tak go urządzili.
- Czego pan ode mnie oczekuje? Uważa pan, że powinnam mu pomóc? – Podniosła głos. – On zabił mojego kuzyna, i to z zimną krwią. To potwór, a nie człowiek.
- Ale pani też kilka razy bardzo pomogła. Sama mi pani o tym opowiadała. – Pan Zdzisio nie ustępował.
- To sprawa milicji, nie moja. – Nie kryła rozdrażnienia, że jej to teraz wytknął. – Niech pan już lepiej idzie. Mam mnóstwo roboty.

Pan Zdzisio wyszedł, a Zuza otworzyła akta sprawy Dominiaka, łomiarza. Za pomocą tego jakże prostego narzędzia zgasił światło życia kolegi, z którym wspólnie opróżniał trzecią butelkę wina o wdzi-

ęcej nazwie „Wino”. Pod koniec libacji coś poszło nie tak i łom poszedł w ruch. Według kapitana Mariańskiego pokłócili się o temperaturę alkoholu, był za ciepły. I jak tu bronić takiego smakosza?

Zuza nie mogła się skupić na lekturze, bo myślami była nad Wisłą. W pewnym momencie cisnęła z rozmachem papiery na biurko, złapała torebkę i wybiegła z pokoju.

Fiata zaparkowała nieopodal basenu i z duszą na ramieniu zaczęła przeszukiwać chaszczę rosnące blisko mostu. To gdzieś tu powinna znaleźć Marcinkowskiego lub jego zwłoki. Liczyła się z tym, że może już jego dusza smaży się w piekle. Choć od zawsze była raczej sceptyczna w kwestii wiary, to miała nadzieję, że chociaż piekło istnieje, no bo gdzie miały się podziać te wszystkie szuje? Chyba dla nich nie było lepszego miejsca.

Cała już była podrapana przez gałęzie, i nic. Chciała odpuścić i wtedy się na niego natknęła, wciąż dychał. Pan Zdzisio nic nie ubarwił, z pułkownikiem było bardzo kiepsko. Ktoś mocno się napracował nad zmianą wyglądu jego twarzy, ale na tym nie poprzestał. Lewa dłoń Marcinkowskiego wyglądała równie makabrycznie. Ofierze obcięto dwa palce, z pozostałych wyrwano paznokcie. Oprawca musiał mieć sporą złość do niego. Od razu pomyślała o Leszku, ale zaraz ten domysł porzuciła. To z nią miał rachunki do wyrównania, a nie z pułkownikiem.

Stała nad rannym i wahała się, co czynić.

– I co ja mam z tobą, sukinsynu, zrobić? – szeptała. – Zostawienie cię tu na śmierć byłoby nieludzkie. Do szpitala cię nie zawiozę, bo tam cię twoi kumple dorwą i poprawią to, co spaprali.

Marcinkowski nie reagował na jej słowa, coś mamrotał pod nosem, nie było z nim żadnego kontaktu. Zuza nie miała innego wyjścia, musiała zabrać go do domu. Sprowadzi doktora Kalickiego i niech on zdecyduje, co dalej począć. Zda się na niego, ona nie jest lekarzem.

Z trudem zaciągnęła pobitego do auta. Położyła go na tylnym siedzeniu i przykryła kocem. O późniejszym wyniesieniu go z fiata i wniesieniu na drugie piętro nawet nie próbowała myśleć. Sama temu nie podoła. Może się ktoś nawinie i pomoże?

Samochód zatrzymała na Zduńskiej, tuż przy wejściu do kamienicy. Dwóch obszczymurków opierało się o mur i ćmiło papierochy. Dobrze się złożyło, tacy nie zorientują się, kogo przywiozła, jaką lokalną szychę będą targać na drugie piętro.

– Dam paczkę papierosów, ale musicie mi pomóc! – skrzyknęła ich.

– Jasne, pani mecenas. Już się robi. Dla pani wszystko.

Chwycili Marcinkowskiego i wnieśli go na górę. Trochę się przy tym zasapali, bo z pułkownika był kawał chłopca.

Zuza kazała położyć rannego na kanapie w salonie i zaraz zadzwoniła do doktora Kalickiego. Ponieważ rozmowa mogła być podsłuchiwana, była oszczędna w słowach. Obiecał zjawić się za godzinę i równo o szesnastej zadzwonił do jej drzwi. Mimo wielu szpetnych ran od razu rozpoznał Marcinkowskiego.

Był kompletnie zaskoczony. Spojrzał na Zuzę pytająco. Oczekiwał jakichś wyjaśnień, no bo jakkolwiek na to patrzeć, to była dziwna sytuacja.

– Wiem, wiem, to rodzi mnóstwo pytań, ale nie mogłam pozwolić, żeby umarł. To byłoby z mojej strony nieludzkie. Uprzedzam następane pytanie, jego ludzie tak go urządzili.

– Wie pani, ile on ma na sumieniu? Powinien jak pies zdechnąć pod płotem. Zasłużył na to.

– Ja to wszystko wiem, ale mimo to trzeba mu pomóc. Czy mogę na pana liczyć?

Kalicki niespokojnie przerzucał wzrok z pułkownika na Zuzę i z powrotem. Wahał się.

– Zgadzam się, ale tylko ze względu na naszą długoletnią znajomość. Niech pani idzie po miski z wodą, najpierw trzeba go obmyć.

Dwie godziny opatrywał Marcinkowskiego, pozszywał rany, nastawił złamaną kość przedramienia i ją usztywnił, a na koniec podał antybiotyk i środki przeciwbólowe. Pułkownik wciąż był nieprzytomny, co bardzo niepokoiło Kalickiego.

– Może się nie wylizać, nie jest już najmłodszy. Co w ogóle chce z nim pani zrobić? Chyba nie zamierza go tu kurować? Ma pani własne problemy. A jak pani samopoczucie? Przez tego sukinsyna zupełnie zapomniałem o to zapytać.

– Kiepsko, ale przez tę sytuację i ja w ogóle o tym zapomniałam.

– To adrenalina, ale ona nie będzie działać wiecznie. Trzeba się liczyć z nawrotem dolegliwości, i to niebawem.

– Dziękuję za te ciepłe słowa dodające mi otuchy – rzuciła z ironią.

– Przepraszam, ale jako lekarz muszę panią przygotować na pewne sprawy.

– Wiem, po słowa otuchy powinnam się udać do proboszcza. Zajrzy pan tu jutro?

– Oczywiście, ale raczej niech pani nie robi sobie nadziei. Według mnie nie dociągnie do niedzieli, choć mogą się mylić. Swoją drogą wolałbym, żeby przeżył, żeby kiedyś naród postawił go przed sądem, żeby odpowiedział za swoje zbrodnie.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

Zaraz po jego wyjściu Zuza zadzwoniła do Nowaka.

– Ruszaj dupę i przyjdź.

– A co? Żle się czujesz? – zaniepokoił się.

– Czuję się świetnie – odparła z nutą rozdrażnienia w głosie. – Przyjdź! To ważne.

Odłożyła słuchawkę. Zaczynała ją drażnić ciągle wypytywanie o stan jej zdrowia. Nie była do tego przyzwyczajona.

Podeszła do kanapy, spojrzała na Marcinkowskiego, szukała podobieństwa do siebie. Tylko to fizyczne wchodziło w grę, bo byli zupełnie inni, zawsze tkwili na przeciwnych biegunach i gdyby nie ich identyczne znamiona, nigdy by nie uwierzyła, że są rodziną.

Borys zaczął nagle wylizywać rany pułkownika, chwyciła go za obrożę i odciągnęła.

– Sukinsynu, nie rób tego, bo się od niego czymś zarazisz i zdechniesz – zrugwała go.

– Preecz z koomuną! Suuukinsynu! Suuuukinsynu! – wydarła się Zgaga, przypominając o sobie. Dopiero dorodna marchew zatkała jej dziób.

Zuza rozsiadła się w fotelu i wreszcie w spokoju mogła pomyśleć, zastanowić się nad tym, co dalej robić. Z jednej strony jej choroba, z drugiej niespodziewany i bardzo uciążliwy gość w domu, a poza tym kilka rozgrzebanych spraw w pracy. Może to i dobrze, że tego tyle, to wszystko pozwoli jej choć na chwilę zapomnieć o racychu, ułatwi dotrwanie do końca. Jedno już postanowiła – nie pozwoli, żeby choroba zrobiła z niej gnijące w łóżku warzywo. Nie będzie to gównu decydować o jej ostatnich chwilach. W sejfie leżał pistolet i zamierzała w odpowiednim momencie zrobić z niego użytek. Na pewno nie w ten sposób jak Mariański, ona tego dokona perfekcyjnie.

Zjawił się sierzant. Na widok Marcinkowskiego na chwilę odebrało mu mowę. Przyglądał mu się uważnie i tylko kręcił głową.

Zuza natychmiast odpowiednio zareagowała.

– Żle się czujesz? – zakpiła. – Coś ci dolega? Może podać jakieś proszki? Mam ich teraz bez liku, w najróżniejszych kolorach.

– A co on tu robi? – wydukał.

– A co ci, kurwa, na oczy padło? Jak to co? Leży. Znalazłam go nad Wisłą. Byłam na rybach i patrzy, coś leży w krzakach. Podchodzę i widzę, a to ten chuj.

Skłamała, bo nie chciała pana Zdzisia wciągać w sprawę.

– Tym razem złowiłaś konkretną sztukę. Ciekawe, kto go tak urządził.

– Jego kolesie, czymś się musiał im bardzo narazić. Nie ukrywam, że to mnie bardzo intryguje.

– Mnie nie. Ja wolę się trzymać z daleka od polityki. O ile pamiętam, to ty też kiedyś wyznawałaś tę zasadę.

– Nie ja. Ile razy mam to prostować? – zaprotestowała energicznie. – Ambroży Lewandowski, ale kto słucha rodziców? Trzeba się samemu sparzyć. Nikt nie może się dowiedzieć, że on tu jest, bo przyjdą i dokończą robotę.

– Ale czy on przeżyje? Kiepsko wygląda.

– Jeśli nie przeżyje, to po cichu pozbędę się zwłok i będzie po temacie.

– A ty jak się czujesz? – Spojrzał na nią z troską.

– Dobrze, dobrze i jeszcze raz dobrze. Przestańcie się wciąż o to pytać, to mnie wkurwia.

– Przepraszam – bąknął, zaskoczony wybuchem Zuzy. – Jak zamierzasz to rozegrać? Masz za dobre serce i, jak widzę, każdego przygarniesz, nawet takiego sukinsyna, ale przecież są tu sublokatorzy, że nie wspomnę o Geńce.

– Jej dam urlop, a oni są teraz zajęci sobą, i to tak, że wczoraj mi się jedna ściana w pokoju zarysowała, a z drugiej spadł obraz. Liczę, że może w końcu się pozabijają, a wtedy pozbędę się tego ich małego skurwysynka, Tomaszka. Osobiście zawiozę go do sierocińca i przypilnuję, żeby tam został.

– Ty, on nie oddycha! – krzyknął nagle sierżant.

Zuza natychmiast chwyciła lusterko i pochyliła się nad rannym.

– Kurwa mać, on za żadne skarby nie może teraz zejść. Trzeba mu zrobić masaż serca i sztuczne oddychanie. Ty masz zżarte płuca i znowu wszystko na mojej głowie. Rób masaż, a ja trudno, poświęcę się i zrobię mu usta-usta. Koniecznie muszę się dowiedzieć, czemu go chcieli zabić. Czuję podświadomie, że to jest dla mnie bardzo ważne, a intuicja mnie nigdy nie zawiodła.

Rozpoczęli szaleńczą walkę o życie Marcinkowskiego. Już po kilku minutach Nowak opadł z sił, był sinoblady, pot zalewał mu oczy, Zuzie zaś brakło powietrza, a mimo ich starań stan pułkownika nic się nie zmienił. Nie poddawali się, wykrzesali z siebie jeszcze trochę siły i kontynuowali reanimację.

– Oddycha! – obwieścił nagle sierżant.

Na szczęście. Zuza odetchnęła z ulgą.

– Czuję, że po tym porobią mi się afy w ustach. Teraz idę umyć zęby.

W łazience nakryła Tomaszka, jak jej szczoteczką do zębów czyścił sobie podeszwy trampek.

– Co, góvienko się przykleiło? A może guma do żucia?! – ryknęła na niego i chwyciła go za grzywę.

– Pani puści, bo boli!

– Zaraz, zaraz sukinsynku. Najpierw wszystko sprawdzimy.

Zerknęła na trampki, powąchała podeszwy. Tak jak przypuszczała, gówniarz wdepnął w psią kupę.

– Zanim cię puszcze, umyjesz ząbki, i to dokładnie. Mycie po łebkach prowadzi do próchnicy.

– Ale tam jest gówno! – krzyknął w panice.

Szeroko się uśmiechnęła.

– Wiem, co tam jest, węch mam jeszcze dobry. Myj, gnojku, i to już, bo nie ręczę za siebie!

Tomaszek zaczął się jej wrywać, więc jedną ręką chwyciła go stalowym uściskiem za kark, a drugą złapała za szczoteczkę. Szarpał się, krzyczał, ale nikt tego nie usłyszał przez grube ściany. Odbłyło się precyzyjne mycie uzębienia chłopaka. Ząb po zębnie, nawet trzonowe poznały Zuzy szczoteczkę. Wreszcie puściła swoją ofiarę i Tomaszek z płaczem wybiegł z łazienki.

– Co tam się działo? – spytał Nowak na widok Zuzy ze szczoteczką w dłoni.

– Szkolenie penitencjarne, nic takiego. Nie warto o tym gadać. – Machnęła lekceważąco ręką i wyrzuciła szczoteczkę do śmietniczki. – A co z nim?

– Stabilnie, ale może nocy nie przeżyć. Powinnaś go zawieźć do szpitala.

– Wtedy to na pewno nocy nie przeżyje. Teraz wszystko zależy od niego, tu na Bogu bym nie polegała, bo jeśli istnieje, to Marcinkowski ma u niego przechlapane.

Spojrzała na zegarek.

– Zupełnie zapomniałam. Muszę wziąć leki.

– I słusznie, dbaj o siebie.

– Przystań mi tu wciąż o tym pierdolić. Po dzisiejszym dniu widzę, że muszę teraz żyć na pełnych obrotach, że adrenalina mi służy. W tej sytuacji najgorsze jest nicnierobienie, pozwalanie na to, żeby owaładnęły mną złe myśli. To szybciej zabija niż choroba.

Nowak dawno już poszedł, Zuza nałapała sobie koniaku i wypila. Jednak na drugi kieliszek nie miała ochoty. Najwyraźniej jej raczycho nie lubiło alkoholu, durna choroba. Pełna obaw zapaliła ekstra mocnego, zaciągnęła się kilka razy i odetchnęła z ulgą, dobre i to.

Noc była spokojna. Zuza wyspana, jeszcze w koszuli nocnej zajrzała do Marcinkowskiego, oddychał. Borysa uwolniła z kuchni, gdzie przymusowo nocował, i wypuściła go z mieszkania. Ostatnio zaraz wracał, bo ponoć kilka dni temu właściciele okolicznych suczek obrzucili go kamieniami. Tak opowiadał jej pan Tadzio. Chcieli psa wykastrować za pomocą sekatora ogrodowego, ale im się w ostatnim momencie wymknął, a przy okazji ugryzł w rękę głównego prowadzącego, kierownika ze spółdzielni inwalidów. Dobrze sukinsynowi, nie cierpiała tego starego ormowca.

Zmieniła kropiówkę i poczekała na Borysa. Dopiero wtedy mogła opuścić mieszkanie. W barze mlecznym awaria, pękła rura wodociągowa i lokal był zamknięty. W najbliższej piekarni Zuza kupiła margarynę i dwie bułki, ostatnie i okropnie powgniatane, pewnie obmacane przez klientów, a w delikatesach udało jej się wyrwać spod lady gulasz angielski. Śniadanie postanowiła zjeść w kancelarii. Po drodze kupiła jeszcze „Trybunę Mazowiecką”.

Poprosiła Jolę o herbatę i zasiadła do jedzenia. Już pierwszy kęs stanął jej kością w gardle, a to przez tytuł artykułu na pierwszej stronie: Agenci imperializmu amerykańskiego zamordowali plockiego komisarza, pułkownika Marcinkowskiego. Zerknęła na tekst poniżej i z dalszej jego części dowiedziała się, że dwaj członkowie Solidarności z zimną krwią zadźgali pułkownika. Zaatakowali go znienacka. Później, żeby ukryć ślady swojej okrutnej zbrodni, wrzucili trupa do Wisły. Na szczęście wszystko widział przypadkowy przechodzień, niejaki Rosołek. Zuza znała to nazwisko, ten typ od lat kablował milicji. Już nieraz dostał łomot, ale, jak widać, za słaby. W końcu się doigra i ktoś mu łeb ukręci. Tym razem jednak wciągnięto go w grubszą sprawę, zabójstwo to już nie były przelewki. Życie Rosołka nie było teraz warte funta kłaków, bo nie ma lepszego świadka jak martwy świadek. Złożył zeznania, więc już ich nie odwoła ani nie pogubi się w sądzie. Ciąg dalszy tekstu zawierał nazwiska zabójców, z których jeden nawet przyznał się do winy. Jakie mieli na niego haki, że to zrobił? Dziwiła się, bo przecież za coś takiego jest czapa. Gazetę schowała do torebki, pokaże ją Marcinkowskiemu, jeśli mu się polepszy. Przy okazji wyjęła lekarstwo i od razu je zażyła. Cholera, do tej pory jedynym lekarstwem, które brała, był stock. Ale się wszystko popierdoliło.

Przyszedł Kowalski, wetknął głowę do jej pokoju.

– Jak się czujesz?

Chwyciła pierwsze lepsze akta i cisnęła je w jego kierunku. Nie trafiła, bo współnik zdążył się cofnąć i zamknąć drzwi.

– Nie można spytać? – krzyknął z holu.

– Nie!

Koło południa zjawił się Nowak. Nawet nie pozwoliła mu zdjąć płaszcza, złapała swój i wyszli z kancelarii. Najpierw wpadli na chwilę do jej mieszkania. Marcinkowski wciąż był nieprzytomny. Zuza zmieniła mu kropiówkę i poszła z sierżantem do kościoła na Górkach, a właściwie do kamienicy do niego przylegającej. Oczywiście musieli zajrzeć do piwnic, a w dzień wydawało się to bezpieczniejsze.

Mieli pecha, bo w świątyni odbywała się msza żałobna i kręciło się sporo ludzi.

– Chodź, poczekamy przy Władku – zaproponowała Zuza i skierowała się w stronę monumentu upamiętniającego Władysława Broniewskiego. Usiedli na schodkach i zapalili. Nowak natychmiast dostał ataku kaszlu, bo przy swojej gruźlicy nie powinien sięgać po papierosy i z reguły tego nie robił, ale raz

na jakiś czas ulegał pokusie. W końcu modły się zakończyły i kościół, tak jak i teren wokół niego się wydłubiły. Mogli działać. Ostrożnie zerknęli do kamienicy, ale nie zauważyli żywej duszy. Bez trudu znaleźli schody prowadzące do piwnicy, lecz kiedy zeszli na dół, zaraz natknęli się na przeszkodę w postaci solidnych drzwi. Były zamknięte na zamek i na solidny stalowy skobel, na którym wisiła równie masywna klódka. Zuza spojrzała wyczekująco na swojego towarzysza. Ten wyjął z kieszeni pęk wytrychów i zaczął majstrować przy zamknięciu. Trzeba przyznać, że poszło mu to zręcznie, migiem była otwarta klódka, następnie zamek, a w chwilę potem i drzwi. Zuza zapaliła latarkę i krok po kroku zapuścili się w ciemne lochy. Korytarz nie był długi i kończył się następnymi drzwiami, ale te były zamknięte jedynie na klamkę. Po ich otwarciu cofnęli się raptownie, a to przez smród. Obydwoje dobrze go znali – to był odór gnijących ciał. Założyli chusteczki na nosy i dopiero wtedy odważyli się wejść do środka. Znaleźli się w sporej piwnicy. Był tu nawet doprowadzony prąd, ze stropu na samym kablu zwisała żarówka. Na futrynie był włącznik. Sierżant zapalił światło.

– Makabra – szepnęła Zuza. – Co za popapraniec. Leszek to przy nim grzeczny przedszkolak.

Pomieszczenie o średniowiecznym sklepieniu miało wymiary pięć na pięć metrów. O jego ściany były oparte trumny, wszystkie pozbawione wiek, ale za to większość z nich z zawartością, z ciałami nagich kobiet. Dwie z nich Zuza poznała od razu, wcześniej widziała je w mieszkaniu przy Grodzkiej. Podeszła bliżej do pierwszej. Teraz zobaczyła długie cięcie na jej podbrzuszu.

– Widzisz to? – szepnęła do sierżanta. – Ktoś je chyba wypycha jak jakieś pierdolone eksponaty biologiczne.

– Myślisz, że to ten twój znajomy?

– Jaki mój znajomy? – zdziwiła się. – Ciebie to już zupełnie popierdoliło? Nie znam go, nie wiem, jak się nazywa ani gdzie mieszka.

– Spokojnie, tak mi się tylko powiedziało.

– No to uważaj, co gadasz. Coś mi tu w tym wszystkim nie pasuje. Takie czubki działają w pojedynkę, a on ma grupę pomagierów. Bardzo dziwna sprawa. Spójrz na te kobiety, czy któreś nie znajesz. Trzeba pilnie ustalić tożsamość choć jednej z nich, bo wtedy może uda nam się to powstrzymać. Zrób to szybko, bo mnie już mdli od tego smrodu.

Sierżant obszedł trumny i znacząco pokręcił głową, a zatem mieli zagwozdkę. Tak czy owak nie było sensu tu dłużej przebywać, bo nic więcej nie zdziała. Nie czekając na Nowaka, który się coś guzdrał, Zuza ruszyła pędem do wyjścia. Wybiegła na dwór i od razu skierowała się do najbliższej śmietniczki, czule ją przytuliła i pozbyła się zawartości żołądka. Sierżant stanął z boku i obserwował ją z troską. Przyjaciółka była śmiertelnie blada i bardzo mizerna na twarzy. W duchu pewnie się zastanawiał, co było prawdziwą przyczyną tych torsji. Czy na pewno smród nieboszczyków, czy może to sprawka raczego?

Wytarła usta kawałkiem ligniny. Głęboko odetchnęła.

– No, już mi lepiej. Masz może jakieś drosy albo gumę do żucia, albo nie, zapalę ekstra mocnego.

Zaciągnęła się nim kilka razy, po czym go wyrzuciła.

– Niesmaczny. Chyba jakiś trefny – rzekła ze złością.

– Co robimy? – spytał Nowak.

– Nic. Jeśli to zgłosimy, to go tylko spłoszymy. Tym kobietom już nikt nie pomoże. Ich historie są zakończone. Idę do kancelarii, a ty mógłbyś popytać na komisariacie o jakieś zaginione kobiety w naszej okolicy. Nie sądzę, żeby je tu zwozili z daleka. Powinniśmy obserwować mieszkanie przy Grodzkiej, i to na okrągło. W innej sytuacji to też zleciłabym Jolce, ale nie chcę jej narażać. Gdzie bym znalazła drugą tak pracowitą aplikantkę?

– Tylko dlatego?

– Wątpisz? Czyżbyś podejrzewał mnie o dobre serce? – zadrwiła. – Zabierajmy się stąd.

Mariański zapukał do drzwi.

– Proszę.

Wszedł do gabinetu. Z trwogą spojrzął na fotel dentystyczny, z jeszcze większą na stomatologa ubranego w długi biały fartuch. Nawet uśmiech na twarzy tamtego nic a nic nie zneutralizował jego niepokoju.

– Proszę usiąść!

Kapitan z duszą na ramieniu zajął miejsce w fotelu i silnie ścisnął jego poręczę. Lekarz nachylił się nad nim.

– Proszę otworzyć usta.

– Koniecznie? Będzie boleć? – wydukał Mariański.

– Jak nie zobaczę, co jest do roboty, to nie odpowiem na to pytanie. Usta!

Dentysta jakimś metalowym przyrządem opukał mu zęby.

– Dwa korzenie jedynek do usunięcia. To pewnie pozostałość po tej próbie samobójstwa? – spytał, z trudem hamując ogarniającą go wesołość.

Podszedł do szklanej szafki i wyjął z niej dużą strzykawkę. Pacjent w napięciu obserwował jego poczynania.

– Co robicie? Co to jest?

– Nie wiecie, jak się to nazywa? – zakpił stomatolog. – To strzykawka. Dam zastrzyk i nie będzie boleć.

– Zastrzyk? Nie zgadzam się! Nie chcę zastrzyku!

Stomatolog podszedł do kapitana i się nad nim pochylił. Mariańskiemu ze strachu pot spływał z czoła, z paniką w oczach obserwował igłę.

– Usta! Szerzej!

Dentysta wbił się w dziąsło, a wtedy kapitan z całej siły zacisnął szczęki, gniotąc nimi strzykawkę.

– Co pan, do cholery, robi?! – krzyknął stomatolog. Cały fartuch miał we krwi Mariańskiego, bo poruchotane szkło pokaleczyło kapitanowi wargi i dziąsła. – Pani Zosiu, natychmiast do mnie!

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka postury Ursusa z Quo vadis Sienkiewicza.

– Pani mi pomoże, mamy niesfornego pacjenta.

Podeszła do fotela od tyłu i niespodziewanie założyła kapitanowi nelsona. Szamotał się, wił niczym piskorz, ale bez skutku, za żadne skarby nie był w stanie się uwolnić. Dentysta w tym czasie usunął resztki szkła i krew, po czym wepchnął mu w usta pół rolki ligniny, tamując gigantyczny ślinotok.

– Teraz będzie najlepsze – rzekł, sięgając po kleszce i dłuto.

Twarz Mariańskiego stała się trupio biała, ręce mu się zaczęły trząść jak w febrze, pani Zosia silnie zacisnęła nelsona, a stomatolog wcisnął mu w usta stalowy rozwierak, żeby przypadkiem w bolesnym uniesieniu nie odgryzł mu palca, i z szyderczym uśmiechem wbił dłuto prosto w dziąsło. Rozległo się przeraźliwe wycie, gdyby nie pani Zosia, pacjent wyskoczyłby z fotela, i to pod sam sufit. Jednak stalowy uścisk pielęgniarki zdziałał cuda.

Dentysta na chwilę przerwał, pozostawiając narzędzie w dziąśle, i spojrzął na kapitana.

– Boli? – Uśmiechnął się szeroko.

Mariański coś zabelkotał, na więcej nie pozwalały rozwierak i lignina. W jego oczach trudno było nie zauważyć nienawiści, ale lekarz udał, że tego nie dostrzega.

– Mówiłem, że nie będzie bolało – rzekł i ponownie nachylił się nad dwoma dorodnymi korzeniami.

Dłuto odsunęło dziąsła i zrobiło miejsce dla kleszczy. Kiedy kapitan ujrzał narzędzie zbliżające się do jego ust, ze strachu ziskał się pod siebie, później poczuł niewyobrazalny ból, a na koniec stracił przytomność.

Zuza, wchodząc do kancelarii, zdumiała się – w holu kłębił się tłum ludzi.

– Co to, do cholery? Kowalski jeszcze nie pozbył się tej przedpłaty na malucha? – zwróciła się do Jolki.

– Nie, pani mecenas, oni chcą się zobaczyć z panią.

– Ze mną? No, tego jeszcze nie grali. Dnia mi nie starczy, żeby ich przyjąć. Umów ich jakoś na inne dni. Może na dziś to nie, coś źle się czuję. Możesz mi zaparzyć ziółka?

Aplikantka spojrzała na nią z niepokojem.

– Te, co ostatnio, czy jakieś inne?

– Mogą być te. Wtedy poczułam się po nich lepiej.

Wyjęła stocka, ale zaraz na powrót go schowała. Cholera, co się dzieje? Nie tak to sobie zaplanowała, miało być na jej warunkach. Może się tylko czymś struła, ale czym, skoro ostatnio coraz mniej je, bo straciła apetyt.

Słyszała przez drzwi, jak aplikantka spiera się z klientami. Nareszcie w holu ucichło.

Jolka zadrżała do Zuzy.

– Pani mecenas, jeden pan się uparł i chce się z panią pilnie zobaczyć.

– Dobra, dawaj go, ale tylko jego. Jak moje ziółka?

– Już przynoszę.

Do pokoju wszedł niewysoki, korpulentny mężczyzna w wieku na oko pięćdziesięciu lat. Fryzura w nieładzie, garniturek przykusy, buty brudne. Obstawiała, że to kolega z jej branży, ale zamiejscowy, no bo w Płocku znała wszystkich.

– Proszę usiąść. – Wskazała krzesło. – Co pana mecenasa do mnie sprowadza?

Na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– Znamy się? – wydukał. – Nie przypominam sobie.

– Nie, ale papugę wyczuję na odległość. Być może po smrodzie pierza.

– Nazywam się Jodelka, Franciszek Jodelka, i reprezentuję klienta, który chce pani złożyć pewną propozycję.

Zużę to zaintrygowało.

– Ciekawe. Napije się pan? Mam bardzo dobry koniak.

– Z przyjemnością, lampeczki nie odmówię.

Wyjęła stocka.

– A pani nie? – spytał, widząc jeden kieliszek.

– Zaraz mam sprawę w sądzie – skłamała na poczekaniu. – A jak brzmi nazwisko pana klienta, bo mi to chyba umknęło?

– Nie wymieniałem jego nazwiska, klient woli być anonimowy.

– Dobrze chociaż, że pan się przedstawił, bo dwa anonimy to byłoby już za dużo – zakpiła. – Mów pan w końcu, o co chodzi.

– W pani posiadaniu są pewne dokumenty i mój klient jest nimi zainteresowany.

No tak, teraz było jasne. Już wszyscy wiedzą, że się wykańcza i trzeba rzucić się na schedę, a w pierwszej kolejności przejąć archiwum Wiśniewskiego.

– Wiem, ile za nie pani zapłaciła, mój klient da dwa razy tyle.

– Widzę, że to była dobra inwestycja, być może najlepsza – zaśmiała się – ale z kolei tą propozycją ja nie jestem zainteresowana.

– Mój klient jest gotów podwoić tę nową stawkę. Zanim pani odpowie, proszę się dobrze zastanowić.

– Nie i jeszcze raz nie! Pieniądze nigdy mnie zbyt nie interesowały, a tym bardziej w mojej obecnej sytuacji. Na tym zakończyliśmy nasze negocjacje. Proszę przekazać panu anonimowi, że w odpo-

wiednim czasie te dokumenty zobaczą światło dzienne i że ci ludzie odpowiedzą za swoje przekręty, a niektórzy za zbrodnie.

– Mój klient uważa tak samo i zobowiązuje się, że je ujawni.

Zuza, słysząc to, parsknęła głośnym śmiechem.

– Kurwa mać, mam raka kości, a nie raka mózgu. Koniec rozmów, żegnam, panie Świerk! – Podniosła głos.

– Jodelka – poprawił ją.

– Jodelka czy Świerk, co za różnica, jeden i drugi to iglak. Koniec pertraktacji.

– Mój klient jest osobą z szerokimi koneksjami, nie to, żebym pani groził, ale może źle odebrać tę odmowę.

– I co? Zabije mnie? Skróci moje cierpienia? Tego mam się bać? Proszę zabrać swoje śmierzzące dupsko z mojego krzesła i wynosić się stąd.

Adwokat podniósł się i wyszedł bez słowa pożegnania.

– Kurwa mać, co za palant – mruknęła pod nosem, sięgając po ekstra mocnego, ale znów organizm się zbuntował i po trzech sztachnięciach była zmuszona zgasić papierosa.

Jolka przyniosła ziółka i „Tygodnik Płocki”. Twarz Zuzy wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia.

– Co ty mi tu wciskasz? Tu prawie nic nie ma o Płocku, a co mnie obchodzi jakiś Gąbin czy Sierpc?

– Przepraszam, nie wiedziałam. – Aplikantka chwyciła gazetę.

– Zostaw, skoro jest, to ją przejrzyj. Czego się dowiedziałas o ginekologu Gutkowskiej?

– O, sporo. Bodajże rok temu jedna pacjentka mu zesłała podczas skrobanki. Ponoć to był jego błąd.

– Bardzo dobrze. – Zuzie aż zabyłszy oczy. – Każdy lekarzyk ma swój cmentarzyk. Mów dalej.

– Było dochodzenie, ale je umorzono.

– Nie dziwię się. To tajemnica poliszyneła, że on zagląda w kroki żonom prawie wszystkich prokuratorów. Masz dane rodziny jego ofiary? Trzeba z nimi pogadać.

– Niestety nie.

– Nie przejmuj się. Porozmawiam z doktorem Kalickim, on od lat tropi nieudolnych i nieuczciwych medyków. Myślę, że zna sprawę.

– Zapomniałabym, pani mecenas, w holu czeka pani sprzątaczką, ponoć pani ją tu wezwała.

– O tak. Świetnie, wpuść ją i zamknij dokładnie drzwi za nią.

Weszła Geńka. Była zaskoczona tym wezwaniem, bo do tej pory wszystko uzgadniały w Zuzy mieszkaniu. Przyszła z duszą na ramieniu, ponieważ wiele wskazywało na to, że zostanie zwolniona.

– Siadaj!

Usiadła na krawędzi krzesła.

– Zwalnia mnie pani? – wyrzuciła z siebie. Omal się nie rozplakała.

– Czemu tak sądzisz?

– No bo ja tu jestem chyba pierwszy raz – wyszeptala drżącym głosem. – Dała mi pani niespodziewany urlop. Jest pani ze mnie niezadowolona? Staram się...

– Dość! – Zuza weszła jej w słowo. – Przestań mi tu pierdolić takie rzeczy. Nie zwalniam cię, mało tego, mam dla ciebie pewną propozycję.

– Co proszę? – zdumiała się Geńka.

– Głucha jesteś czy co? Chcę ci dać dodatkowy zarobek, ale nie ma nic za darmo.

– Pani Zuzo, pani wie, że ja potrzebuję pieniędzy. To przez córkę, głupia chce iść na studia. A na co jej to? Uparła się i co ja mogę zrobić? A to kosztuje. Muszę na to zarobić. Wezmę każdą robotę.

– W moim mieszkaniu jest ranny człowiek – zaczęła Zuza, uważnie przyglądając się sprzątaczkce. – Trzeba się nim opiekować.

– A kto to? Chyba nie z Solidarności? Takiego nie dotknę, nie ma mowy. To wróg władzy ludowej na usługach imperialistów.

– Co ty za głupoty pierdolisz? Ale uspokoję cię, to prawdziwy sukinsyn, i to czerwony jak bolszewicka flaga. Powinien ci pasować.

– Kto to?

– Komisarz Marcinkowski.

Geńka wyglądała, jakby w nią piorun strzelił.

– Przecież go zatłukli ci zbóje, ci z Solidarności. Wszyscy o tym mówią.

– Widzisz, jak ta twoja władza was oszukuje. No więc? Zgadzasz się?

– Pani Zuzo, to będzie dla mnie wielki zaszczyt.

– Tylko gęba w kubel. Nikomu ani mru-mru.

– A sąsiadce z dołu nie mogę nic powiedzieć? – Geńka nie kryła zawodu.

– Nikomu, a przede wszystkim sąsiadce z dołu. Jeśli tylko komus coś piśniesz, to wylatujesz z roboty, i to na zбитy pysk. Zrozumiano?

– Tak jest, pani Zuzo, będę milczeć jak grób.

– Dobra, bądź u mnie w domu za godzinę. Wtedy wszystko ci wytłumaczę i pokażę, jak zmieniać kropiółki.

– Bardzo pani dziękuję.

Geńka wyszła. Zuzo została sama, zamyśliła się. Teraz naszy ją wątpliwości, czy dobrze uczyniła. Czy mogła sprzątacze tak zaufać? Ale tak naprawdę to nie miała wyboru. Trudno, musiała zaryzykować. Czula się coraz gorzej i nie wyobrażała sobie opiekowania się rannym, a jak pomyślała o myciu genitaliów temu sukinsynowi, natychmiast poczuła dodatkowe mdłości.

Kowalski zajął do niej niespodziewanie.

– Jak się czu... – Urwał, widząc jej minę i wykonał szybką woltę: – Co u ciebie?

– W porządku. Czemu sprzedałeś przedpłatę? Mogłeś mi wcześniej powiedzieć, może ja bym ją od ciebie odkupiła.

Spojrzał na nią jakoś dziwnie. No tak, po co to umierającemu? Przecież nawet przy wyjątkowym szczęściu nie dożyje dnia odbioru samochodu.

– Zapomniałem o tobie, przepraszam – bąknął speszony i wycofał się do swojego pokoju.

Zuzo była z siebie zadowolona. Znów udało jej się wprowadzić Kowalskiego w zakłopotanie, a o to przy jego wyszczekaniu było niezmiernie trudno.

– I znów punkt dla mnie – mruknęła od nosem.

Podeszła do ściany i spojrzała na portrety jej poprzedników. Było miejsce na jeszcze jeden, jej własny, ale wiedziała, że nie ma na to szans, że jej śmierć to przerwie. Kancelaria przestanie istnieć. Meble zostaną sprzedane, portrety pewnie skończą na śmietniku, a pamięć o Lewandowskich na śmietniku historii płockiej adwokatury. Smutne, ale takie jest życie.

Spojrzała na zegarek, pora do domu.

Z duszą na ramieniu przekraczała próg mieszkania, bo różnych rzeczy mogła się spodziewać, ale zaraz odetchnęła z ulgą. Wszystko było w porządku. Marcinkowski wciąż dychał. Borys wprawdzie dorwał się do chlebownika i zżarł zapas pieczywa, ale to była mała strata, bo chleb był czerstwy. I tak miała się go pozbyć. Zgaga siedziała na drążku napuszona, a na jej widok otworzyła lewe oko, po czym wydarła się:

– Zuuuuza! Zuuuuza! Kuuuurwa maaać!

Lewandowska spojrzała na zegarek, zaraz powinna się zjawić Geńka. Ktoś zapukał, to pewnie ona.

Niespodzianka, w progu stał proboszcz. Kogo jak kogo, ale jego się dziś nie spodziewała. Myślała, że jest obrażony za kurs do prostytutki, ale widocznie się myliła. Czyżby mu się to spodobało?

– Mogę wejść?

Wolała, żeby nie widział pułkownika, ale nie mogła go nie wpuścić.

– Jasne. Pewnie się nawet jakaś buteleczka znajdzie. Ja ostatnio coś nie mogę pić. Znow się czymś cholernie strułam.

Widziała po jego minie, że tego nie kupił.

Natychmiast zobaczył mężczyzną leżącego na kanapie i kropłówkę na stojaku.

– Kto to? Z naszej parafii?

– Nie, on jest z parafii mieszczącej się róg Nowego Światu i Alei Jerozolimskich. Taki czerwony duchowny – odparła drwiąco. – Nie poznaje ksiądz plockiego biskupa z ramienia partii?

Nachylił się nad rannym i szybko się przeżegnał.

– O mój Boże! Szatan wstąpił w twoje progi! On przecież nie żyje!

– Widocznie komuś robi konkurencję i zmartwychwstał – zakpiła.

– Proszę, nie bluźnij. Skąd on się wziął u ciebie?

– Byłam na grzybach i go znalazłam, taki dorodny muchomor sromotnikowy. Ponoć to jego koleś go tak urządzili.

– Skąd ty to wiesz? Pewnie miał sporo wrogów, każdy mógł go tak zmasakrować.

– Ktoś widział, jak go przywieźli wojskowi, ale ten ktoś woli być anonimowy.

– Wcale mu się nie dziwię. Co zamierzasz z nim zrobić? Przecież nie będziesz go tu trzymać?

– A dlaczego nie? Mam psa erotomana, papugę niepoprawną politycznie, to mogę mieć też komucha zabójcę. Takie małe prywatne zoo u Zuzy Lewandowskiej.

– Widzę, że cię poczucie humoru nie opuszcza, i dobrze, ale uważaj, bo jak go znajdą u ciebie, to i tobie może się coś złego przydarzyć. To są zbóje i ty o tym doskonale wiesz.

– Proszę księdza, a co mi teraz mogą zrobić? Już jest za późno na takie zagrywki. Będę mieć prośbę. Musimy lepiej ukryć archiwum Wiśniewskiego. Sępy już się zwiędziały, że śmierdzi ode mnie padliną, i zaczynają nade mną krążyć niczym nad zdechłym osłem.

– Boże, przestań tak mówić. Wszystko w rękę Pana, cuda się zdarzają, trzeba wierzyć.

– To prawda, ostatnio widzę to, i to często. Koniak zamieniono mi w jakieś obrzydliwe świństwo nie do picia, z papierosami też jest coś nie tak, bo nie da się ich palić. To kurewskie raczycho bez skrupułów zabrało mi wszystkie moje przyjemności i przez to jestem na nie bardzo wkurwiona.

– No widzisz, Bóg nie chce, żebyś się truła. To dla twojego zdrowia.

– Tak, umrę zdrowsza – odparła z sarkazmem w głosie. – A właściwie, co księdza sprowadza? Jeśli szuka kogoś do swojej kapeli, to źle trafił, no chyba że zagram na kosie kostuchy.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie gniewam się na ciebie, a nawet rozumiem, że sobie z nas za drwiłaś. Gdybyś poczuła potrzebę pogadania, to moje drzwi są zawsze dla ciebie otwarte.

– Dziękuję, ale radzę sobie. Tyle się ostatnio dzieje, że nie mam czasu dużo o tym myśleć – skłamała, bo przecież raczycho nawet w nocy nie dawało jej spokoju, a bezsenność stała się jej nowym dużym utrapieniem.

– Bądź dobrej myśli. – Spojrzał na zegarek. – Muszę się zbierać, bo jacyś parafianie mają przyjść w sprawie pogrzebu.

– A kto księdzu zapłaci za mój? Zastanawiał się ksiądz nad tym? A może już z góry to ureguluję? – zarzuciła.

– No wiesz! – zachnął się i wyszedł.

Zapadł zmrok, z gostynińskiego szpitala wyszła młoda kobieta i ruszyła ulicą w stronę dworca autobusowego. Nagle tuż przy niej, przy krawężniku zatrzymała się szara nysa i uchyliła się w niej szyba od strony kierowcy.

– Przepraszam, pogubiłem się, jadę do Płocka, gdzie mam skręcić?

– Pojedź pan jesz...

Nie skończyła tłumaczyć, kiedy kierowca wyskoczył z auta i siłą wciągnął kobietę do środka. W chwili potem nysa odjechała.

Grabina, miejscowość letniskowa pod Płockiem, ulubione miejsce letniego wypoczynku mieszkańców. Teraz, jesienią, a na dodatek w stanie wojennym, była zupełnie wyludniona. Do jednego z ośrodków wypoczynkowych zajechała nysa. Kierowca otworzył bramę i wjechał na teren obiektu. Zaparkował przy drewnianym domku kempingowym o numerze trzyznaście. Otworzył drzwi auta i wyciągnął z niego nieprzytomną kobietę. Zaniósł ją do domku. W środku było prawie pusto. Jedyne prycza, stół, polewane wiadro, miska i dwa krzesła. Przy łóżku do ściany był przymocowany stalowy łańcuch, którym mężczyzna przykuł kobietę za nogę. Zgasił światło i opuścił domek, starannie zamykając drzwi za sobą.

Zuza wstała wcześniej rano i ze zdumieniem zobaczyła Geńkę kręcącą się po mieszkaniu.

– Dzień dobry, już zmieniłam ten worek – wskazała na kropłówkę – i przebrałam chorego. Wrzuciłam wszystko do pralki, ale łazienka jest od godziny zajęta.

– Niemożliwe. – Zuza się zdziwiła, bo pospółstwo, jak to pospółstwo, z natury żyło w brudzie. – Zaraz się zorientuję, co tam się dzieje.

Założyła szlafrok i poszła do łazienki.

Chwyliła za klamkę. Faktycznie zamknięte. Zabębniła w drzwi pięścią i też bez rezultatu.

– Jest tam kto?

Brak odpowiedzi. Zapała się mocno i naparła na nie. Haczyk puścił i wejście do łazienki stało otworem. Oczywiście nie było tu nikogo. Od razu pomyślała o Tomaszku, następny jego głupi figiel. Ten mały sukinynek w końcu się doigra.

W barze mlecznym natknęła się na doktora Kalickiego. Dziś i on wstąpił tu na śniadanko, bo gospościa się nagle rozchorowała, struła się tortem podczas wizyty u rodziny.

– Jak tam pani ranny? – spytał półszepem. – Zajrzę koło południa, jak będę wracał z przychodni na Miodowej.

– Jeszcze ducha nie wyzionął. Świetnie, że pana widzę, bo chciałabym zapytać o pewnego konowała, a konkretnie o ginekologa.

– Proszę nie wymieniać jego nazwiska, spróbuję zgadnąć – zareagował natychmiast.

– A zatem, kogo mam na myśli?

Spojrzała na niego wyczekująco, ale wiedziała, że od razu poda jej właściwe nazwisko.

– Chodzi o doktora Skibę. Mam rację?

– Brawo, widzę, że ma sporo na sumieniu. Jestem bardzo ciekawa jego grzeszków.

– Skrobie co tylko się rusza, a robi to w skandalicznych warunkach, urągających podstawowym wymogom sanitarnym. Dlatego też zdarzają mu się zgony pacjentek, i to dość często.

– A co na to sanepid?

– Dał łapówkę, komu trzeba, i na wszystko przymknęli oczy. Zresztą zna pani kierownika, ma przezwisko „głęboka kieszeń”.

– Szukam haków na tego Skibę. Czegoś, co skłoniłoby go do chwili szczerości. Potrzebuję informacji o jego pacjentce.

– Będzie ciężko, on jest obstawiony ze wszystkich stron, ale – mrugnął do niej porozumiewawczo – kiedy byłem u niego ostatni raz z jakąś skargą, zauważyłem, że kartoteki pacjentek trzyma w niezamkniętej na klucz szafie, co mnie niezmiernie zdziwiło.

Twarz Zuzy się rozpromieniła.

- Czy przyjmuje w tym samym miejscu, co kilka lat temu, w tej norze przy ulicy Bielskiej?
- Dokładnie tak. Tam po korytarzu szczury biegają, i to w biały dzień.
- Bardzo mi pan pomógł.
- A jak pani samopoczucie?
- Sięgnęła do torebki po buteleczki z lekarstwami i postawiła je na stole.
- Sporo tego – zauważył i jedną z nich wziął do ręki. Zerknął na etykietę.
- Nie znam tego środka. Pewnie zagraniczny. Czemu pani nie położyli w szpitalu? Może trzeba by naświetlić, a może zoperować?
- I tak bym się nie zgodziła, zresztą powiedzieli, że za późno – odparła, z trudem hamując drżenie głosu.
- Przykro mi.
- Zuza rozłożyła przed sobą „Trybunę Mazowiecką”, tym samym ucinając rozmowę, nie chciała kontynuować dysputy na temat jej stanu zdrowia.

Ulica Tumska znów była rozkopana. Pewnie szukają działaczy Solidarności, zaśmiała się w duchu, pokonując wertepy. To już trzeci raz w ciągu dwóch lat rozpruwano nawierzchnię głównego miejskiego deptaka. Za pierwszym wymieniono rury kanalizacyjne, za drugim wodociągowe, a teraz to sama nie wiedziała co. To była taka planowa gospodarka socjalistyczna. Przy sklepie filatelistycznym spotkała Piosika.

- Co tam nowego? – spytała.
- Właściwie nic, tylko raz na podwórze zajechała szara nysa.
- Masz jej numer rejestracyjny? Miała jakieś napisy na drzwiach?
- Nie. Nie zapisałem. Wsiadł z niej jakiś chuj ze sporym pakunkiem i włożył do kamienicy. Wrócił po chwili i odjechał.
- Na przyszłość zapisz numer. Od dziś Nowak pomoże tobie i twoim kumplom.
- Piosik skrzywił się ostentacyjnie. Najwyraźniej nie spodobał mu się ten pomysł.
- Pies? Chłopaki będą na niego krzywo patrzeć. Nie ma pani nikogo innego? Może ta panienka? Fajna jest.
- Piosik, kurwa mać, co ty sobie myślisz? Od niej wara, bo wam jaja pourywał. – Zdenerwowała się.
- Ona jest prawnikiem, to dla ciebie za wysokie progi.
- Nie no, pani mecenas nie zna się na żartach. – Szybko się wycofał.
- Być może. Tak czy owak pilnujcie tego miejsca non stop. Obiecuję, że pomyślę o kimś innym. Nie chcę konfliktów, tylko tego mi teraz potrzeba. Wracając do faceta, jak duży to był pakunek?
- Bo ja wiem. Gdzieś taki. – Piosik zaczął wymachiwać rękoma.
- Przestań już machać tymi gałęziami, bo mi jeszcze oko wydubiesz – zrugowała go. – Czy mogło to być ciało?
- Nie, to było mniejsze.
- Dobra. Następnym razem jak się zjawi, to zapisz ten cholerny numer.
- Ale jak?
- Kurwa mać, nie wiesz jak? Weź kawałek tynku, tego to tu wszędzie pełno, i napisz nim na ścianie. Teraz idę do biura, masz jeszcze to.
- Wcisnęła mu w dłoń paczkę papierosów i się oddaliła.

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego

Wywiadowca Kacperk donosi, że obywatel proboszcz sfary, obywatel Kowalski adwokat i obywatel Nowak były milicjant byli razem wspulnie u nijakiej kórwy Talarskiej na Rybakach na prostytutctwie. Kiedy obywatele skączyli Kacperk chciał przepytać Wandę Talarsko, ale nie muwiła tylko dała mu syfa. Roskazaliżmy posbyć sie tego syfa.

Zuza w drodze do kancelarii skręciła na lody do Hortexu. Usiadła przy witrynie i przez szybę obserwowała plac budowy. Trzech robotników stało opartych o szpadle i zawzięcie dyskutowało, dwóch innych siedziało na pryzmie ziemi i żłopało piwo. Po etykietce poznała browar sierpecki. Operator koparki wbił szufelę w wykop i zasnął w swojej kabinie oparty o kierownicę. Tak się pracuje w komunizmie. Dokład te sukinsyny będą rządzić, dotąd będzie źle, ale ona już nie doczeka lepszych czasów. Zauważyła pana Tadzia, sąsiada z trzeciego piętra. Zobaczyła ze zdumieniem, że wszedł do kamienicy, w której mieściło się jej biuro. On nigdy tu do niej zaglądał. Coś się musiało wydarzyć, pewnie w jej mieszkaniu. Szybko dokończyła lody i wyszła.

W kancelarii awantura. Sąsiad klócił się z Jolką. Chciał się koniecznie widzieć z panią Lewandowską i nie przyjmował do wiadomości, że jej nie ma. Na jej widok natychmiast się uspokoił.

– Pani Zuzo, ja tylko na chwilę. Mam sprawę.

– Proszę wejść. – Wpuściła gościa przodem. – Co się stało, panie Tadziu? – spytała, jak tylko zamknęła drzwi. – Wiem, że Zgaga ostatnio jest bardziej hałaśliwa i przepraszam za to.

– To nie to.

– Może chodzi o Borysa? Mam nadzieję, że nikomu jajek nie odgryzł.

– Pani Zuzo, tu chodzi o mnie. Jestem już na emeryturze, i to od miesiąca.

– No to świetnie. Nie mógł się pan tego doczekać.

– Hmm. – Mężczyzna zafrasował się nieco. – Myślałem, że będzie zupełnie inaczej, niż jest. Nuda mnie zabija. Może zna pani kogoś, kto by mnie zatrudnił. Mogę robić wszystko, byle nie siedzieć w domu, bo tam zwariuję.

Kurwa mać, facet mi dosłownie spadł z nieba, pomyślała.

– Mam fuchę na tydzień, może dłużej. Co pan na to? Od razu zaznaczam, że może być niebezpiecznie.

– Biorę w ciemno. – Aż klasnął w dłonie. – Jak będzie trzeba, to palnę z dubeltówki.

– Zna pan Piosika?

– To ten menel, co czasem do pani przychodzi?

– W rzeczy samej. Napije się pan koniaku?

Z szuflady biurka wyjęła stocka i kieliszki.

– Kapitanie, melduję, że obywatelka Lewandowska coś kombinuje z jakimś Piosikiem i lekarzem o nazwisku Kalicki.

Kapral Opara wyprężył pierś przed Mariańskim. Ten tylko coś niewyraźnie zabelkotał i z grymasem bólu na twarzy pośpiesznie się oddalił.

– Co mu jest? – zdziwił się jego podkomendny.

– Wczoraj pozbył się dwóch zębów, ponoć podczas zabiegu trzy pielęgniarki go trzymały i ledwie dały radę. Lepiej mu dziś w drogę nie wchodzić – wyjaśnił ze śmiechem oficer dyżurny.

Zaskrzypiały zawiasy otwieranej bramy, po chwili przed domek numer trzydzieści w ośrodku wypoczynkowym w Grabinie ponownie zajechała szara nysa. Wysiadł z niej wysoki młody mężczyzna o włosach jasnoblonde.

Wyładował z pojazdu jakieś zakupy, po czym wszedł do domku.

Spojrzał na kobietę siedzącą na łóżku.

– Kim pan jest?! – krzyknęła, – Czego pan ode mnie chce?

Podszedł bliżej i nachylił się nad nią. Odruchowo się cofnęła. Uśmiechnął się.

– Spokojnie – szepnął – już niedługo cię uwolnię. Będziesz wolna jak ptak. Podziękujesz mi.
– Czemu mnie tu trzymasz? Co ja ci zrobiłam? – Kobieta zaczęła szlochać. – Ja przecież ciebie w ogóle nie znam.

– Nie szkodzi, poznasz mnie, i to dobrze. Mamy sporo czasu – rzekł, a w jego głosie zabrzmiała niepokojąca nuta.

Kobieta zaczęła się szarpać na łańcuchu.

– Wypuść mnie! Wypuść! – krzyczała.

Mina mężczyzny zmieniła się raptownie. Patrzył na swoją ofiarę z nieskrywaną wściekłością.

– Zamknij się, do cholery! Ty zdziro jedna! Nie prowokuj mnie, żebym ci już teraz rozpruł brzuch, to nie pora! – ryknął i dalejze okładać ją pięściami. Bił, nie patrząc gdzie, na oślep. Twarz nieszczęsnicy spływała krwią. Opamiętał się dopiero wtedy, kiedy kobieta osunęła się na podłogę i przestała ruszać. Ukląkł, sprawdził, czy żyje, po czym opuścił domek, starannie zamykając drzwi za sobą.

Zuza wracała do domu, kiedy nagle okrążyła ją gromadka dzieciaków, wykrzykujących:

– Ty masz raka! Ty umrzesz! Zakopią cię! Pójdiesz do piachu!

Stała zdumiona. W oddali, przy skrócie w ulicę Kozią, dojrzała Tomaszka. Co chwila wychylał się zza węgła i patrzył w jej kierunku.

Ty cholerny gnojku, skąd to wiesz? Zanim zdechnę, to najpierw ci nogi z dupy powyrywam. Masz to u mnie jak w banku.

Przeagoniła smarkaczy i poszła przed siebie. Mijając dom z numerem 12 na Grodzkiej, zobaczyła, jak Piosik dyskutuje z panem Tadzkiem. W pierwszej chwili chciała się zatrzymać, ale w końcu odpuściła, niech się sami dogadają.

Marcinkowski wciąż był nieprzytomny, doktor Kalicki twierdził, że w roli roślinki może tak żyć i kilka miesięcy, by w końcu zwiędnąć na amen. Gdyby faktycznie sprawdziły się jego słowa, to ona nigdy się nie dowie, czemu go skatowano, czym aż tak naraził się swoim koleśiom.

Zuza zwolniła Geńkę i poszła do kuchni zrobić kleik, gdyż wciąż nie mogła dojść do ładu ze swoim układem pokarmowym. Tęsknym spojrzeniem zerknęła na pakiety ekstra mocnych leżące na regale i na kilka butelek stocka dumnie prezentujących się w barku. Nagle przypomniało jej się, że ma zadzwonić do swojego klienta, byłego wojskowego i podpytać o przepis na bombę. To dotyczyło tego Wieczorka z Łącka. Miała to zrobić już wcześniej, kiedy przyszedł do niej po poradę, ale wtedy zupełnie wyleciało jej to z głowy. Ostatnio z powodu choroby zdarzało jej się to nader często. Wykreśliła numer wyszukany w notatniku. Klient odebrał natychmiast, poznała go po charakterystycznym głosie zbliżonym w brzmieniu do głosu Piotra Fronczewskiego, co było rzadkością.

– Zuza Lewandowska z tej strony, potrzebuję pańskiej pomocy.

– Ależ, pani mecenas, czym mogę służyć?

– O ile dobrze pamiętam, to jest pan minerem czy jak to się nazywa. Nie jestem biegła w tych nawozach.

– Saperem, ale to w sumie to samo. A czego potrzeba? Miny, bomby? – zażartował.

– Niech mnie pan nie kusi, bo niejednego sukkinsyna bym wysadziła w powietrze. Koleżanka prosiła mnie, żebym się przyjrzała pewnemu gościowi. Jej pacjentka twierdzi, że on buduje bombę. Trochę popytałam o niego i nic niepokojącego nie wykryłam. Owszem, ma nierówno pod sufitem i masowo kupuje nawozy sztuczne. Pewnie bawi się w ogrodnika, bo raczej z marchewki czy buraków bomby nie konstruuje.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Jest pan tam? Halo?

– Jestem, jestem. Jakie nawozy skupuje?

– Nie mam pojęcia, nie znam się na ogrodnictwie, a czy to ważne?

– Owszem, i to bardzo. Jeśli zaopatruje się w to, co myślę, to może faktycznie coś konstruuje. Jest jeszcze jedna kwestia: czy odpowiednio dobrze składniki. Tu potrzeba wiedzy specjalistycznej. Co ten facet robi na co dzień?

– Jest chemikiem. O cholera! – Nagle dotarło do niej, że sprawa, którą traktowała per noga, może okazać się priorytetowa. – Dużo tego potrzeba, żeby rozwalić budynek sejmu? Czy to w ogóle możliwe?

– Musiałbym obejrzeć obiekt i zrobić obliczenia, ale tak na oko to z tony nawozów można zrobić naprawdę duże bum.

– Czyli wysadzić sejm? – drążyła dalej.

– No, wydaje mi się, że nie jest to wykluczone, ale głowy nie dam – odparł z wahaniem.

– A konkretnie o jakim nawozie mówimy? – dopytywała.

– Choćby saletra potasowa. To jest główny składnik. Nadmienila pani, że jakieś nawozy kupuje. Czy wśród nich jest saletra?

– Nie mam pojęcia. Jego sąsiadka coś wspominała, ale nie wiem, czy wymieniała konkretne nazwy. Pojadę tam jutro i się zorientuję.

– Proszę na siebie uważać, może lepiej zawiadomić milicję? To byłoby rozsądniejsze.

– Wykluczone! Jeśli faktycznie coś konstruuje, to na widok milicjanta spanikuje i wysadzi w powietrze siebie i wszystkich dookoła. W tamtym domu mieszka sporo ludzi, nie chcę ich mieć na sumieniu. Powęszę na miejscu i zobaczymy, co z tego wyniknie. Może naprawdę jedynie zabawia się w ogrodnika? W każdym razie taką żywię nadzieję. Dziękuję za informacje. Odliczę to od rachunku.

Odłożyła słuchawkę i sięgnęła po papierosa. Trzy razy udało jej się zaciągnąć i miała dość. Z wściekłością zgniotła go w popielniczkę. Zgarnęła ze stołu lekarstwa i poszła do łazienki. Otworzyła sedes z zamiarem pozbycia się wszystkiego, odkręciła zakrętkę pierwszej buteleczki i zawałała się. Przypomniało jej się to, co powiedział doktor Kalicki. Ponoć jeśli ich nie zażyje, to będzie jak opętana wódką z bólu, a tego nie chce, bo nie jest nań zbyt odporna. Usłyszała Tomaszka, schowała medykamenty i zaczęła się na tego skurwysynka. Wszedł do łazienki i od razu był w jej łapach.

– Mam cię ancymonku! Teraz się porachujemy.

– Pani puści, bo ojcu powiem – wyseplenił, próbując się wyszarpać.

– A mów, komu chcesz. Będziesz mieć sporo do opowiadania, ale najpierw musisz stąd wyjść. Czy ktoś kiedyś wsadził ci głowę do kibla? Pewnie nie, dziś będzie ten pierwszy raz, a ponieważ notorycznie nie spuszcza cie wody, to przy odrobinie szczęścia może się załapiesz na jakieś frykasy.

– A pani zaraz umrze.

– Jeszcze nie zaraz. Być może ty będziesz pierwszy. Tak czy owak zdążę się z tobą rozliczyć.

Pociągnęła Tomaszka w stronę miski klozetowej i podniosła deskę. Chłopak walczył, wił się jak pi-skorz, ale wszystko na nic, bo Zuza trzymała go w stalowym uścisku. Puściła go, kiedy zobaczyła, że znów zmoczył się ze strachu. Wiedziała, że teraz przez jakiś czas będzie spokój.

Pewnie nie odmówi sobie przyjemności nasikania na mój grób, pomyślała, opuszczając łazienkę. Ale na to nie miała już wpływu i na szczęście tego też już nie będzie widzieć.

Wieczorem zajrzał do niej doktor Kalicki, przyniósł nowe kroplówki i przy okazji zbadął Marcinkowskiego. Niestety, nie zauważył żadnej poprawy w jego stanie. Wychodząc, rozejrzał się po mieszkaniu.

– A gdzie pani pies?

– Zamknięty w sypialni, a czemu pan pyta? – Zdziwiła się, bo lekarz nigdy się nim nie interesował.

– Właśnie wracam od jednej pani mecenas. Pilne wezwanie. Wchodzę do jej mieszkania, a tu spody kołdry widać psi ogon. Szczepili się. Czy pani to sobie wyobraża? Zoofilia. Pierwszy raz miałem z czymś takim do czynienia. A pytam o psa, bo był jak wykapany pani Borys.

– Pewnie jego syn. Widać, że przerósł swojego ojca. Powiada pan, że adwokatka? Ciekawe, bo w Ploc-ku nie ma ich dużo. Nie pytam o nazwisko, no bo to tajemnica lekarska, tak jak tajemnicą lekarską jest moja choroba – rzekła z przekąsem.

Kalicki się zmieszał.

– W tak małej społeczności trudno ją zachować, bo wszyscy wszystkich znają. Późno już, idę do domu, zajrzę tu jutro przed południem.

Ledwie drzwi się zamknęły za lekarzem, a Zuza chwyciła płaszcz, do kieszeni wcisnęła latarkę i opuściła mieszkanie. Na ulicy czekał na nią Nowak.

– Już myślałem, że zapomniałaś – powiedział z wyrzutem.

– Mogłeś wejść na górę, a nie czekać tu na zimnie. Kalicki oglądał Marcinkowskiego, dopiero przed chwilą wyszedł.

– Widziałem go. Chodźmy już, bo jeszcze dziś muszę posiedzieć z najmłodszym przy lekcjach.

– A to taki tuman? Pewnie wrodził się w tatusia – zadrwiła. – Ze mną nikt ich nie odrabiał.

– Ba, nie każdy jest tak zdolny jak Zuza Lewandowska – zakpił sierżant.

– Otóż to.

Kilka minut zajęło im dojście na miejsce. Na domu wisiała skorodowana tabliczka z siódemką.

Zuza już kiedyś tu zaglądała, ale do mieszkania w kamienicy frontowej.

– Gabinet mieści się w oficynie – tłumaczyła. – Musimy zachowywać się bardzo cicho, bo wiem, że w podwórzu ktoś trzyma wilka. Kiedyś złapał się z Borysem. Jak się psisko rozszczeka, to będzie problem.

– Czemu mi to wszystko mówisz? – zdziwił się. – Przecież byłem milicjantem i znam na pamięć te szemrane miejsca. Tu w bramie kiedyś potraktowano mnie kosą, na szczęście ostrze zatrzymało się na żebrze, inaczej byśmy tu dziś nie rozmawiali.

– Wiem, pamiętam. Ten, co cię tak urządził, nazywał się Franek Doliniarz. Miałam go bronić, ale powiesił się w areszcie albo, co bardziej prawdopodobne, jego powiesili. – Spojrzała wymownie na Nowaka.

– Nie miałem z tym nic wspólnego – rzekł z pretensją, że go o coś takiego w ogóle podejrzewa.

– Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Idziemy, szkoda czasu na takie gadki.

W podwórzu było cicho jak makiem zasiał. Tylko w nielicznych oknach się świeciło. Zuza kłęła w duchu, że założyła włoskie kozaki, bo ich obcasyszki ślizgały się niebezpiecznie po bruku, grożąc lada moment wywrotką, a na dodatek głośno stukwały. Każde uderzenie prawie doprowadzało ją do palpacji serca.

Zatrzymali się przy drzwiach wejściowych prowadzących do gabinetu doktora Skiby.

– Wykaż się. Tylko nie tak jak na Grodzkiej – zakpiła.

Sierżant chwilę dłużył przy zamku i drzwi stały otworem.

– Dawno nie miałem do czynienia z tak gównianym zabezpieczeniem.

– Na nasze szczęście sukinsyn oszczędza na wszystkim.

Weszli do środka. Zuza rozglądała się po gabinecie, pamiętała, że Kalicki wspomniał o szafie. Była jedna, stała przy oknie. Faktycznie, nie miała zamka. Zuza otworzyła ją i wewnątrz oświetliła latarką, a tam sterta papierowych teczek i długie drewniane pudełko z mnóstwem tekturowych fiszek. Wyjęła kartotekę i zaczęła ją przeglądać. Nowak w tym czasie przez okno obserwował podwórkę.

– Szybciej, szybciej – co i raz ją poganiał.

– Kurwa mać, przestań mnie popędzać. Jeszcze chwilę. Tu jest prawdziwy burdel. Aż strach pomyśleć, jak czyste musi mieć narzędzia. W życiu bym do niego nie przyszła w roli pacjentki.

Jeszcze tylko kilkanaście kartotek. Gdzieś przecież ona musi być.

Koniec, wszystkie przejrzała, ale dokumentacji Gutkowskiej nie było.

– Spadamy stąd, widzę tego wilka, jak lazi po podwórzu. Jeśli nas wyczuje, to narobi rabanu. Wiadocznie Skiba gdzieś jeszcze trzyma dokumenty.

Zuza nic na to nie rzekła, tylko zaczęła uważnie przyglądać się ścianom.

– Może ma sejf?

– Nie ma czasu, chodź, bo jak nas tu nakryją, to będzie niezła chryja.

– Spokojnie, emerytury mundurowej ci nie zabiorą, a mnie już mogą natrukać i to jest jedyna zaleta mojej choroby.

Jej uwagę zwrócił portret wiszący nad biurkiem. Pewnie to przodek tej gwiazdy ginekologii, pomyślała. Co za paskudny dziad, dobre miejsce na skrytkę, każdego wystraszy. Zajrzała pod niego i rzuciła Nowakowi triumfujące spojrzenie. Zdjęła obraz i ich oczom ukazała się nieduża skrytka wykuta w ścianie. Zuza wygarnęła z niej wszystkie papiery i położyła je na biurku. Od razu w ręce wpadła jej szara papierowa teczka z wykaligrafowanym nazwiskiem „Gutkowska Natasza”.

– O kurwa! – zakłęła pod nosem. – Ja pierdołę!

– Co tam masz? – Sierżant odszedł od okna i zajrzał jej przez ramię. – Grubsza sprawa. Nie do wiary, ale płodna – skomentował na gorąco.

– Co rok prorok – zakpiła Zuza. – Co tu się, kurwa, w tym Płocku dzieje? I to akurat wtedy, kiedy zostało mi tak mało czasu.

– Może odpuść którąś ze spraw? Oszczędzaj się, bo nie możesz tak dużo pracować.

– Nie ma mowy, to mi nie pozwala myśleć o chorobie. Może zdążę to wszystko ogarnąć. Często się zastanawiam, kto zaopiekuje się Zgagą. Może ty ją weźmiesz? U ciebie byłoby jej dobrze. Zna cię od dawna.

– Jej może tak, ale nikomu więcej. Baba by mi w ogóle żyć nie dała. Teraz mam nieciekawie, a wtedy miałbym piekło na ziemi. Musisz znaleźć kogoś innego. Mogę wziąć Borysa, chłopaki go lubią, ale co ja gadam – zreflektował się. – Przepraszam...

– Nie masz za co, takie jest życie. – Pokiwała smętnie głową.

Zanim schowała papiery z powrotem do skrytki, zerknęła na nazwiska na okładkach teczek. Sporo znanych, w tym koleżanka po fachu. Od razu pomyślała o tej, o której opowiadał jej doktor Kalicki. Czyżby to była ona? Pewnie sprawdziła, czy nie zaszła z psem w ciążę, byłyby fajne bobasy. Z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Skąd u niej tak skrajne emocje?

– Nie ma już tego psa, ktoś go zawołał. No chodź. – Nowak znów zaczęła ją popędzać.

– Idę, idę, nie marudź.

Portret powiesiła na powrót na swoim miejscu i opuścili gabinet. Niezauważeni przez nikogo, wymknęli się na ulicę.

Zuza wyjęła papierosa i zapaliła.

– Widzę, że ci lepiej – zauważył sierżant.

– To nie to, po prostu zapomniałam lyknać te świństwa. Czuję, że lada dzień skończą w kiblu. Dowiedz się, czy Gutkowscy mają jakąś działkę.

– Myślisz, że zabijają noworodki i tam je zakopują?

– Nie wiem, ale coś muszą z nimi robić. Może gdzieś je porzucają? Sama już nie wiem, co myśleć. Masz jeszcze tego kumpla w Komendzie Głównej Milicji?

– Jeszcze mam, ale niebawem wybiera się na emeryturę. Zdaje się, że w styczniu, o ile mnie pamięć nie myli.

– Popytaj go, może zetknął się z podrzucaniem dzieci.

– A jeśli nic nie znajdziemy?

– To poszukamy zwłok.

– A czy ty wiesz, z kim zadzieras? Ten cały Gutkowski ma mocne plecy w Warszawie, ponoć przez żonę.

– A co, jest kochanką Jaruzelskiego? – Zaśmiała się. – Jeśli tak, to ma bardzo kiepski gust.

– Nie, jest czyjąś córką.

– Pierdolisz jak potłuczony, każda baba jest czyjąś córką. Czyją konkretnie? Sądząc po jej imieniu, to może jakiegoś kacapa? Breźniewa, a może Stalina?

– Myślisz, że to ruska? Wprawdzie słyszałem taką plotkę, że to córka jakiegoś generała KGB. Zaznaczam, to tylko plotka.

– Ale wali po głowie jak ruska wódka – zadrwiła. – No bo kto w tym kraju śmie ruszyć córkę takiego gieroja? Czy znajdzie się taki szaleniec? Wątpię.

– Zuza Lewandowska.

– Jeśli okaże się, że ten babsztył ma prywatny cmentarzyk, to tak. Trudno, najwyższej będę mieć darmową wycieczkę na Sybir. Wiesz, przez tę chorobę jest mi coraz łatwiej podejmować ryzykowne decyzje.

– Zawsze to robiłaś. Nie pamiętam, żebyś się kiedyś zawahała. Idę do domu. Późno już, a oprócz lekcji z młodszym miałem umocować karnisz u chłopaków. Urządzili prywatkę i ktoś go zwalił.

– Pilnuj ich na tych prywatkach, bo inaczej niebawem dziadkiem zostaniesz. Zauważyłam niedawno twojego starszego, jak się z jakąś cizią obściskował na ławeczce na Tumach.

– Widział cię?

– Był w takiej miłosnej ekstazie, że nie dostrzegłby przejeżdżającego obok czołgu. Dzień później przy tej samej ławce zobaczyłam opakowanie po erosie, ale ja nic nie sugeruję. – Puściła do niego oko.

Wieczorek kręcił się nerwowo po korytarzu urzędu gminy w Łącku i czekał na naczelnika. Wreszcie go ujrzał i natychmiast do niego podszedł.

– Mariusz, obiecałeś mi te nawozy. To już chyba pół roku minęło, jak czekam. Ja nie mam tyle czasu.

– Nie wiesz, że wojna? Skąd mam ci je wziąć? W ogóle nie ma dostaw, a jak coś przyjdzie, to chłopci wiedzą już tydzień wcześniej i warują dzień i noc przed geesem. Worek to bym ci jeszcze odłożył, ale ty chcesz tonę. A na co ci tyle? Przecież ty ziemi nie masz. Chcesz spekulować? Jak cię złapią, to i ja za to beknę.

– Spokojnie, to na własny użytek, kupiłem sporo ziemi za Duninowem. Zapłacę ci, i to niemało. Przecież mnie znasz. Nigdy nie byłem chytry.

– Właśnie dlatego, że cię znam, radzę ci, tam idź po nawozy. Pewnie przysługuje ci jakiś przydział, a jak ci zabraknie, to daj mi znać.

– Nie ma szansy. Naczelnik z Duninowa to kawał chuja, pokłóciłem się z nim. Powiedział mi, że dopóki on tam rządzi, nie dostanę nawet kilograma.

– Przyjdź za tydzień, może będzie jakaś dostawa ekstra, ale nic nie obiecuję.

– Przyjdę. Jesteś fajny chłop, szkoda, że nie jesteśmy szwagrami.

– Moja siostra jest innego zdania – mruknął pod nosem naczelnik i wszedł do swojego gabinetu.

Zaraz kazał sekretarce połączyć go z jego odpowiednikiem w Duninowie.

– Staszek, tu Mariusz, był u mnie niejaki Wieczorek. Ponoć nabył w waszej gminie jakieś hektary. Chce kupić nawozy, a ty się temu sprzeciwiasz. Podobno doszło między wami do jakiejś sprzeczki.

– Nie rozumiem. Nie znam żadnego Wieczorka. To chyba jakaś pomyłka.

– To przepraszam, widocznie coś mi się pokręciło. Cześć.

Odłożył słuchawkę. Co moja siostra w nim widziała? Chyba tego nigdy nie zrozumiem.

– Pani Zosiu! – zawołał sekretarkę. – Jeśli znów się tu kiedyś pokaże Wieczorek, to mnie dla niego nie ma. Mam już tego pokręconego natręta powyżej uszu. Słyszała pani, żeby kupić jakąś ziemię?

– On? – Kobieta parsknęła śmiechem. – Ma tyle ziemi, co w doniczkach. Każdy wie, że to czubek. Mówią, że od nauki mu się w głowie pokręciło.

– Pani Zuza, wracam z dyżuru na Grodzkiej. Nikt podejrzany się nie kręcił przy oficynie poza elementem, który tam mieszka – zameldował pan Tadzio. Spotkali się na schodach ich kamienicy.

– A jak się panu współpracuje z Piosikiem?

– Lepiej nie mówić. – Machnął teatralnie dłonią. – Łajza, ale wpatrzony w panią jak w obraz. Ma pani u niego wielki szacunek. Stanowczo za dużo pije. Kiedy go zmieniałem, był już niezłe wstawiony. Ten jego kompan, który dziś przyszedł, też niedużo lepszy, jechało od niego jak z gorzelnii.

– Ode mnie też nieraz tak jedzie – zauważyła.

– Owszem, ale pani pije z klasą. Ja nigdy nie widziałem pani pijanej, a mieszkam tu blisko czterdzieści lat.

– Już nie piję. – Zaśmiała się gorzko.

– No tak, słyszałem. Będzie dobrze. Mój szwagier też miał raka i profesor z Łodzi mu go wypalił. Spytam o adres.

– Mnie też wypali, tyle że nie profesor, ale kostucha – mruknęła pod nosem. – Panie Tadzio, chciałabym przejrzeć dokumenty, które zdeponowałam u pana. Ostatnio mi pamięć szwankuje, pewnie od lekarstw, i zapomniałam, na kogo te kwity. Muszę coś z nimi zrobić.

– Ja nawet do tego nie zaglądałem, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Mogę je zaraz pani podrzucić.

– Może później, teraz mam ważne spotkanie.

W kancelarii na Zuzę czekali Nowak z Teresą. Rozsiadła się w swoim fotelu, z szuflady wyjęła stocka i trzy kieliszki, rozlała. Podniosła swój.

– Pijmy, moi drodzy, bo czas nas goni!

Goście spojrzeli znacząco po sobie, ale sięgnęli po kieliszki.

– Ostatnio tak się złożyło, że mam od groma spraw do załatwienia i chciałabym choć jedną zakończyć, mam tu na myśli tego Wieczorka. Wiem, że potrafi zbudować bombę, ale pytanie brzmi, czy faktycznie ją zbuduje. Jest popierdolony, to fakt, ale żeby targnąć się na życie kilkuset osób, to mało, tu trzeba być popierdolonym do kwadratu. Musimy pojechać do Łącka i wejść do jego mieszkania. Jeśli to wszystko prawda, to niech Mariański się nim zajmie, debil się trochę dowartościuje, a ja odhaczę sprawę. Kapitan ogłosi zwycięstwo i w świetle kamer przekáže delikwenta do czubków. No chyba że władza będzie potrzebowała efektownego sukcesu, wtedy zadynda na bank.

Wypili, Zuza nawet się nie skrzywiła. Sierżant spojrzął na nią zaniepokojony.

– Znow nie wzięłaś lekarstw?

– Chyba trucizny, bo bez nich mi lepiej. – Zaśmiała się sztucznie. – Jedźmy do Wieczorka, i to teraz, nie czekajmy.

– Niech tak będzie. – Nowak podniósł się z krzesła, Teresa chwilę po nim.

Aplikantka zajrzała do pokoju.

– Może coś podać? Herbatę zaparzyć?

– Nie ma potrzeby, akurat wychodzimy – odrzekła Zuza, zarzucając płaszcz na siebie.

Pojechali jej fiatem. Tuż za Radziwiem złapali gumę. Nowak jako jedyny mężczyzna w tym gronie zabrał się do zmiany koła. Otworzył bagażnik i długo w nim grzebał, coś pomrukując pod nosem.

– Gdzie jest ten cholerny lewarek? – spytał w końcu.

Zuza zrobiła zdziwioną minę.

– Nie ma? Może pan Tadzio zapomniał go włożyć, jak mi auto ostatnio sprzątał. A koło jest?

– Jest, ale jak mam podnieść samochód, żeby je zmienić?

– Zaraz coś wymyślę – odparła, wpatrując się w nadjeżdżającą szarą nysę. Machnęła na nią ręką i pojazd się zatrzymał. Za kierownicą siedział młody mężczyzna o blond włosach. Uchylił szybę i uśmiechnął się do Zuzy.

– Co się stało? Mogę wam w czymś pomóc?

– Tak. Potrzebny nam lewarek. Może nam pan go pożyczyć?

– Ależ oczywiście.

Kierowca wysiadł z auta, otworzył boczne drzwi i nachylił się do środka. W chwilę potem trzymał lewarek w ręce. Podszedł do fiata i podał go sierzantowi.

– Proszę uważać, żeby się nie ubrudzić, bo pochlapany krwią. – Na widok zdziwionej miny Nowaka zaraz dodał: – Żartowałem. Dokąd jedziecie? W Górach stoi radiowóz i kontrolują samochody, jak macie coś trefnego, to lepiej zawróćcie.

Zuza zauważyła u mężczyzny obcy akcent. Zaciągał charakterystycznie dla mieszkańców wschodniej Polski.

– Co pan ma na myśli?

– No wie pani, ulotki, a może opozycjonistę w bagażniku. – Mrugnął do niej znacząco.

– Nie bawię się w takie rzeczy, mam dość swoich problemów – odparła sucho. Mężczyzna, pomimo że im pomógł, nie wzbudził w niej sympatii. W jego oczach zobaczyła coś, co nakazywało czujność. To podpowiadała jej intuicja. Może to tajniak, a może, co gorsza, ormowiec. Od takich lepiej trzymać się z daleka.

Sierzant zmienił koło i oddał lewarek nieznanemu. Ten wrzucił go do nysy, usiadł za kierownicą, pomachał im na pożegnanie i odjechał.

– Dziwny gość – rzekł Nowak, patrząc za oddalającym się pojazdem.

– Owszem. Jego twarz wydaje mi się znajoma, ale za cholere nie mogę jej nigdzie przyczepić i to mnie niepokoi. Dobra, szkoda czasu na próżne gadki, koło zmienione, to jedziemy dalej.

Faktycznie w Górach stał radiowóz, ale ich nie zatrzymał. Milicjanci pastwili się nad jakimś taksówkarzem w jasnej ładzie. Widzieli, jak szarpali za przednie koło auta, pewnie szukając luzów, potrzebowali pretekstu do zgarnięcia łapówki. Tak to od dawna działało.

Minęli skręt do Grabiny i w chwilę potem dojechali do Łącka. Samochód zostawili przy szosie i resztę drogi pokonali piechotą, żeby Wieczorka, jeśli faktycznie coś konstruuje, złapać na gorącym uczynku, bo zaskoczenie to połowa sukcesu, tak w każdym razie mówi stare powiedzenie. Przed pałacykiem znów krzątała się sąsiadka, tak jak poprzednio wieszala pranie. Na widok Zuzy machnęła do niej ręką.

– To znów pani? Ma pani pecha, nie ma go, i to od paru dni.

– A nie wie pani, dokąd się udał?

– A myśli pani, że on by to powiedział? Był tu taki jeden, przyjechał po niego, załadowali cały samochód i pojechali.

– A co wywieźli? Widziała pani może?

Kobieta skrzywiła się i wzruszyła ramionami.

– A bo ja wiem? Worki jak po nawozach, ale co w nich było to cholera wie. Lepiej niech nie wraca, bo dziwak i dzieciaki się go boją. Teraz jest przynajmniej spokój.

– Możemy się tu pokręcić? Zajrzeć do niego przez okno?

– A co? Pewnie nie chce przyjąć tego spadku z Ameryki? Oj, on zawsze miał coś z głową. A nie można tego jakoś na mnie przepisać? Podzielę się.

– Pomyślę o tym – odparła Zuza, spoglądając znacząco na współtowarzyszy. Teraz najważniejszą sprawą było wejście do mieszkania Wieczorka, i to za wszelką cenę, nawet tak bzdurnej obietnicy. – A ten kolega, zna pani jego nazwisko?

– Co pani? Taki sam dziwak jak i tamten. Był tu u niego kilka dni, nocował, a później obaj się wynieśli.

– A jakim samochodem się poruszają?

– Takim dostawczym. Pamiętam, że był szary. Dzieciaki pewnie wiedzą, bo one się znają na autach, ale one są u wuja w Gąbinie i wrócą jutro.

Kobieta akurat skończyła wieszanie bielizny, wzięła miednicę i ruszyła do siebie. Zuza bez chwili wahania podążyła za nią do pałacyku. Tyle że zatrzymała się przy pierwszych drzwiach, tamta zaś poszła dalej. Sierżant migiem poradził sobie z zamkiem i wślizgnęli się do środka. W mieszkaniu zastali okropny bałagan, książki porzucane po podłodze, wśród nich podręczniki naukowe, puszki po konserwach rybnych, brudne ubrania, wszędzie mnóstwo gazet, począwszy od „Trybuny Ludu” po „Tygodnik Powszechny”. Zauważyli, że z niektórych wycięto jakieś artykuły. Znalazły się w kuchni, leżały na stole. Wszystkie traktowały o sejmie i posłach. W kilku był rozrysowany schemat budynku. Zuza z Nowakiem spojrzeli po sobie. W tym szaleństwie jest metoda, już na pierwszy rzut oka było to widać.

– Im naprawdę odpieprzyło – szepnęła Lewandowska, wpatrując się w szkic. – Chcą ten burdel wysadzić w powietrze. Nigdy w życiu nie miałam takiego dylematu. Serce moje jest z nimi, a rozum każe to powstrzymać.

Schyliła się i podniosła z podłogi pusty worek po nawozach.

– Saletra potasowa – przeliterowała.

– Co teraz? Masz jakiś plan? Może zawiadomić milicję? – spytał sierżant.

– Nie, musimy sami ich dorwać. Jeśli milicja to uczyni, jak nic dostaną czapę, tego bym sobie nie darowała. Nie zasłużyli na to, w tych syfiastych czasach mają odwagę coś zrobić, a to rzadkość. Fakt, że nie tędy droga, bo przy okazji zginie sporo niewinnych ludzi. Jedźmy do stadniny, może jego była dziewczyna na coś nas nakieruje. O ile mi wiadomo, w sejmie nic się ostatnio nie dzieje, a to daje nam trochę czasu.

Opuścili mieszkanie i ruszyli do stadniny. Mieli sporo szczęścia, bo była dziewczyna Wieczorka akurat dosiadała konia. Pewnie to ten, co wtedy, Piorun, pomyślała Zuza, patrząc z podziwem na ogiera. Dobrze pamiętała opowieść o jego sukcesach na torach wyścigowych. Robiły spore wrażenie.

Kobieta na widok tylu osób była wyraźnie spłoszona. Zsunęła się z siodła, zdjęła jeździecki toczek, rozpuszczając burzę włosów.

– Nic nie wiem o Janku. Nie widziałam go! – uprzedziła pytanie, a zatem coś wiedziała. Wniosek nawiązał się sam.

– Nie wciskaj mi tu kitu, kochana. – Zuza od razu przeszła do ataku. – Muszę z nim porozmawiać. Nie wiem, co ci naopowiadał, ale jeśli dokona tego, co planuje, to będzie wisiół. Tego dla niego chcesz? Jedno duże bum nie rozwiąże wszystkiego. Zginą zwykli pracownicy, osierocą wiele dzieci. Nie będzie postrzegany jako bohater, ale jako bandyta. Jego intencje zejną na dalszy plan, a po chwili wszyscy o nich zapomną.

– Powtarzam: nic nie wiem. Chciałabym pomóc, ale nie widziałam go od miesiąca. – Tamta dalej szła w zaparte.

Zuza wyjęła z torebki i podała jej wizytówkę.

– Gdybyś sobie coś przypomniała, lub zmieniła zdanie. Nie wiem, czy wiesz, ale mogą cię oskarżyć o współudział, a wtedy twoje dzieci nieprędko zobaczą mamę, a może w ogóle, bo komuchy w zemście są nieobliczalni. – Idziemy – rzuciła do swoich towarzyszy. – Nic tu po nas.

Ledwie wsiedli do samochodu Nowak nie omieszkał wyrazić swojego niezadowolenia.

– Powinnaś być twardsza. Ona wie, gdzie ten Wieczorek przebywa. Nie poznaję cię, kiedyś byś nie odpuściła tak szybko.

– Widocznie się zmieniłam. Pewnie raczycho zżera mi mózg – odparła drwiąco.

Sierżant zamilkł, jedynie spojrzął wymownie na Teresę, jakby chciał powiedzieć: „To chyba trafna uwaga”.

– Ona ma rację. Nic na siłę – poparła ją koleżanka. – Jestem psychiatrą i sama bym tego nie rozegrała lepiej.

Ruszyli do Płocka, po drodze minęli szarą nysę, tę samą, której kierowca poratował ich lewakiem. Też ich zauważył, pomachał do nich ręką. Zuza wysadziła pasażerów w centrum miasta i pojechała do

siebie. Kiedy wjechała na podwórze, jej oczom ukazał się widok mrozący krew w żyłach. Tomuś stał otoczony wianuszkami kolegów, w dłoni trzymał za ogon małego kociaka i robił z niego helikopter. Widząc Lewandowską, wypuścił go i pierzchnął w popłochu do domu. Zwierzak nabrał drugiej prędkości kosmicznej i z impetem zderzył się ze ścianą garażu pana Tadzia. Przeraził się i zapiszczał, po czym osunął się na ziemię i znieruchomiał. Zuza wyskoczyła z auta i podbiegła do malucha, nachyliła się nad nim. Jeszcze żył. Nie przepadała za kotami, ale zwier to zwier, a Tomaszek to kawał gnoja. Nic nie pomoże mu ucieczka i tak wcześniej czy później dostanie się w jej łapy. Teraz należało ratować kociaka. Wsadziła go do kartonowego pudła, które od dawna nie wiadomo po co wozila w bagażniku, i pojechała na Piękną do przychodni. Wsiadając z samochodu, zobaczyła Kowalskiego, jak wchodził do swojej willi. Za nim niczym Turczynka za Turkiem szła jakaś lala. No tak, wrócił do starych zwyczajów, on nigdy się nie ustatkuje. W przychodni trafiła na jakiegoś nowego weterynarza. Młody, jeszcze nieopierzony, nie wzbudził jej zaufania. Bez słowa postawiła przed nim pudełko i usiadła na krześle.

– Co z nim? – spytał.

– Gdybym to wiedziała, tobym tu nie przyszła – warknęła.

Nic na to nie rzekł, jedynie zarumienił się i zaczął badać kocię. Widziała, że mu się ręce trzęsą, i do brze, niech się boi, będzie się starał. Nie trwało to długo.

– Ma złamaną lewą przednią łapę, proponuję go uspić.

– Co proszę?

Sądziła, że się przesłyszała.

– Trzeba go uspić, bo się zwierzak męczy.

– To czemu ludzi się nie usypia, kiedy łamią sobie kulasa? Co?

– Ale to zwierzę, nijak złożyć mu złamaną kość. Jak coś źle pójdzie, to będzie kulą.

– A kulawy to nie ma prawa żyć? A co z jego bebechami? Nie ma innych obrażeń?

Spojrzał na nią badawczo, sprawdzał, czy mówi na serio.

– Nie wiem, mogę mu dać antybiotyki i trzeba obserwować.

– No a łapa?

– Spróbuję złożyć.

– No to, kochasiu, bierz się do roboty. Dla mnie czas to pieniądz.

Rozsiadła się wygodnie na krześle. Z chęcią by zapaliła, ale nie odważyła się. Bała się, że zwymiotuje konowalowi na biurko.

Blisko godzinę zeszło tamtemu przy zabiegu. Weterynarz dwoił się i troił, a na koniec gęsto tłumaczył, że gdyby coś poszło nie tak, to nie jego wina. Zuza zapakowała na powrót kocię do pudełka, zapłaciła i pojechała do domu. Tym razem na podwórku nie natrafiła na Tomaszka ani jego kolegów, którzy mu wcześniej wiernie kibicowali, i ich szczęście. Szkoda, bo na gorąco by się z nimi rozliczyła.

Weszła do mieszkania, Borys natychmiast wyczuł osobnika z gatunku, który trzeba choćby dla zasady tępić, i próbował dobrać się do pudełka. Dopiero ostra reakcja Zuzy powstrzymała jego zapędy. Zgaga zaś wyczuła śmiertelnego wroga i zaczęła szaleć w klatce, wykrzykując:

– Zaaabić chuuuuja! Zaaabić chuuuuja!

Do tego wszystkiego brakowało tylko reakcji Marcinkowskiego, ale on leżał bezwładnie jak kłoda drewna i wyłącznie po ubywającej zawartości worka z kropłówką można było domniemywać, że jeszcze żyje. Geńka, zobaczywszy kota, jedynie z dezaprobatą pokręciła głową.

Zuza zaniósła go do kuchni, to będzie jego nowy i, co najważniejsze, bezpieczny dom, bo Borys, od czasu kiedy zjadł pół kilo szynki z puszki, tak zwanego polskiego hama, miał tu zakaz wstępu. Wyjęła zwierzaka z pudełka i zrobiła mu na stole posłanie ze starego koca. Był jakiś apatyczny, ale to może po antybiotyku, tak to sobie tłumaczyła. Dała mu mleka i poszła do pracy.

W kancelarii czekała na nią kobieta. Nieznajoma, a zatem nowy klient. Tylko czy może brać następną sprawę? Powinna zakończyć te, co prowadzi. Na nich się skupić. Chociaż jej wysłucha, postanowiła.

Zawsze może ją odesłać do Kowalskiego, on wszystko przyjmie. Panienki kosztują, i to im facet starszy, tym więcej, a kolega miał już na karku sporo wiosen.

Zaprosiła kobietę do gabinetu, usiadła za biurkiem i dopiero teraz się uważniej jej przyjrzała. Oszaconowała ją na czterdzieści, może czterdzieści pięć lat. Szczupła, włosy ciemne z przeblaskami siwych, twarz ładna, dłonie niezniszczzone, a zatem pracowała w biurze albo była na utrzymaniu męża. Ubiór schludny, ale skromny. To nie były szpanerskie ciuchy z pewexu.

– Co panią sprowadza?

– Mojego męża aresztowano, a jest niewinny. – Rozpląkała się.

– Proszę się uspokoić. O co go oskarżają?

– Że zabił jakiegoś pułkownika. Tamten nazywał się Marcinkowski.

W Zużę jakby piorun strzelił. Teraz już wiedziała, że tej sprawy nie może odpuścić, że tej klientki nie może spławić, bo pośrednio czuła się za to wszystko odpowiedzialna. Nikt nie może siedzieć za zabójstwo człowieka, który żyje, mało tego, leży u niej na kanapie. Fakt, nieprzytomny, ale wciąż jest nadzieja, że wyzdrowieje i będzie mógł zaświadczyć, że zamknięto nie tych, co trzeba. Wyjęła notatnik i długopis.

– Jak się pani nazywa?

– Maria Weselnik, a mój mąż ma na imię Janek.

Mariański siedział przy biurku i pisał: krzyk, krzyk, krzyk, krzyk, żądać, żądać, żądać, żądać. To już drugi zeszyt szesnastokartkowy, ręka go od tego pisania bolała.

– Ta stara kurwa, mruczał pod nosem, jednocześnie zastanawiając się, czy kurwa pisze się przez o kreskowane czy u zwykłe. W końcu się w tym wszystkim tak pogubił, że zamiast „żądać” zaczął pisać: kórwa, kórwa, kórwa, kórwa, kórwa...

Ktoś zapukał do drzwi. Kapitan z ulgą odłożył zeszyt.

– Wejść! – zabelkotał bezzębnymi dźwiękami.

To kapral Opara. Dumnie wyprężył pierś przed zwierzchnikiem.

– Melduję, że obywatelka Lewandowska była w Łącku.

– A po cholere?

– Nie wiem, obywatelu kapitanie.

– A co, kurwa, wiecie? Wysyłamy was, żebyście mieli oczy na wszystko, a wy gównowo wiecie.

Opara spuścił głowę.

– Gadała z jakąś praczką – bąknął. – Możemy ją na tę okoliczność wezwać i przesłuchać.

– Pojebało was? To ma być dyskretnie. Przebierzcie się za jakiegoś grzybiarza i porozmawiajcie z nią. Muszę wam mówić, co macie robić??

– Nie, kapitanie!

– Odmeldować się!

Kapral wyszedł, a kapitan, choć z niechęcią, na powrót sięgnął po zeszyt.

Olecki, czyli Butapren, razem z Wieczorkiem rozładowywali żuka. Worki z nawozami składali w szopie na tyłach leśniczówki.

– A o co chodzi z tymi workami? – usłyszeli tak nagle, że Wieczorek wypuścił worek z ręki. Ten spadł na ziemię i pękł, przez co rozsypała się jego zawartość.

– Ale nas wystraszyłaś. – Olecki nie krył niezadowolenia i pochylił się, żeby zebrać nawóz.

Kobieta zsiadła z Pioruna i uwiązała go do pobliskiej sosny. Podeszła do mężczyzny i zerknęła na przemę.

– Co chcecie z tym zrobić? Mówiliście mi, że szykujecie to na ruską bazę, a nie na gmach sejmu. Nie możecie ot tak sobie wysadzić tyłu naszych.

– Skąd to wiesz? – obruszył się Wieczorek. – To wstrętne komuchy, wysłamy ich do diabła.

– Czyli to prawda? A przy okazji chcecie zabić wielu niewinnych. To jest czyste szaleństwo. Nie możecie tego zrobić. Poniechajcie tego zamiaru, proszę was.

– A co? Zabronisz nam? – Olecki ruszył w stronę kobiety.

Wieczorek chwycił go za ramię i odciągnął.

– Spokojnie, Anka nas nie wyda. Ręczę za nią.

Butapren nie wyglądał na przekonanego, ale odpuścił i powrócił do zbierania nawozu.

Jego kolega pociągnął kobietę za rękę do leśniczówki.

– Chodź, wyjaśnię ci wszystko. Wiem, że przyznasz nam rację.

Wnętrze domku kempingowego tonęło w mroku. Nagle zabłysło światło. Wrócił porywacz. W rękach trzymał siatki z zakupami. Spojrzał w stronę łóżka, kobieta leżała na podłodze i nie dawała oznak życia. Zaniepokojony, szybko odłożył prowiant i nachylił się nad swoją ofiarą. Wtedy ona nagle ożyła i dźgnęła mężczyznę kawalkiem szkła prosto w czoło.

Zasyczał z bólu i podbiegł do lustra.

– Cholera, przez tę kurwę będę miał bliznę.

Obejrzał ranę, ale była powierzchowna, wystarczył plaster. Wrócił do porwanej.

– Słuchaj, zdziro, jeśli myślisz, że mnie sprowokujesz, żebym cię teraz zabił, to nie łudź się. Przyjdzie na to czas, ale na pewno nie teraz. Każda z was wyglądała niecierpliwie tej chwili, ale to ja ustalam zasady, a nie wy.

– Zabiłeś inne? Kim były te kobiety? Też porwałes je z ulicy? – zapytała drżącym głosem.

– Ja ich nie zabiłem, ja je tylko wyzwoliłem i z tobą będzie podobnie. Była już nauczycielka, lekarka, sprzedawczyni, a teraz ty. Wierz mi, ładnie je oporządziłem. – Roześmiał się diabolicznie. – Rozprułem je jak prosiaczki i wypatroszyłem.

– Boże! – krzyknęła.

– Wołas Boga? Myślisz, że nie ma co robić, tylko wysłuchiwać twojego biadolonia? Nie pomyślałaś, że to ja jestem bogiem lub jego wysłannikiem? Zobacz, jaką mam władzę nad wami i nikt mi w tym nie przeszkodzi. Jestem panem twojego życia, ode mnie zależy, czy i jak długo pożyjesz. Zwykły człowiek nie ma takiej władzy nad innymi, tylko wybrańczy.

– Jesteś nienormalny – wydukała.

– Ja? Ja nie jem mięsa ludzkiego. To ty masz nie po kolei w głowie.

– Mięsa ludzkiego? – Kobieta zbladła jak kartka papieru. – Czym mnie karmiłeś?

Nagle złapały ją silne torsje, a mężczyzna zaniósł się głośnym śmiechem.

Geńka wpadła do kancelarii i nim się aplikantka zorientowała, wtargnęła do gabinetu.

– Ten pan się obudził i chce pilnie z panią rozmawiać. Proszę iść do domu.

Zuza poderwała się z fotela, chwyciła swoje rzeczy i wybiegła, a sprzątaczką ruszyła za nią, starając się dotrzymać jej kroku.

W mieszkaniu panował wielki rejdach, to za sprawą Borysa, który wściekle ujadł w kuchni. Teraz nie to było ważne, Zuza pochyliła się nad Marcinkowskim, ale gdy znów stracił przytomność, nie kryła zawodu. Spojrzała na Geńkę.

– Nic więcej ci nie powiedział? Powtórz wszystko słowo w słowo.

– Zawołaj Zuzę. Muszę jej coś powiedzieć.

– I tyle?

– Nic więcej.

– Borys, co się tam wyczynia?

Zuza zajrzała do kuchni. Psisko starało się wskoczyć na lodówkę i dosięgnąć z niej kociaka. Ten siedział przytulony do ściany i syczał niczym wąż.

– Znów zostawiłaś kuchnię otwartą. Tyle razy ci mówiłam, żeby tego pilnować – zaczęła ochrzaniać sprzątaczkę. – A gdyby tak dorwał tego kociaka? Co by się stało?

– By go zagryzł – sucho odparła Geńka.

– No to myśl. A najlepiej to popytaj, może ktoś przygarnie tego kotka.

– Mąż mojej sąsiadki wyprawia kocie skóry i robi z nich pasy. Ponoć leczą nerki. Porozmawiam z nim, może go weźmie.

– Kurwa mać, tylko nie to. – Zuza jęknęła. – Nie szukam rzeźnika, ale kogoś dobrego serca. Czy w tym kraju nie ma takich ludzi?

– Pani Zuzo, ale on kulawy.

– No i co z tego? Wiesz co, lepiej już zamilcz. Wracam do pracy, a ty pilnuj pułkownika, gdyby się znów obudził, to zadzwoń lub biegnij w te pędy do mnie.

Wychodząc z domu, spojrzała na zegarek. Przez ten alarm musiała zmienić plany. Udała się do aresztu na spotkanie z nowym klientem, Jankiem Weselnikiem. Po drodze zatrzymywała się kilka razy z powodu silnych bólei, które jednak po kilku minutach przechodziły.

– Dobrze pani wygląda, pani mecenas. – Tymi słowy przywitał ją strażnik.

On też wie o raczychu? – pomyślała. Była wściekła za takie powitanie, ale puściła je mimo uszu.

Nic się tu nie zmieniło od czasu jej ostatniej bytności, pokój widzeń obskurny, brudny i ta żarówka na kablu przy suficie. Wyjęła papierosy, ale to był już jedynie odruch bezwarunkowy, bo od dwóch dni jej organizm wbrew jej woli je odrzucał. Wkurwiało ją to, bo zawsze to ona miała we wszystkim decydujące zdanie, a tym razem ktoś czy coś brutalnie pozbawiło ją tych praw. Już nie mogła palić, picie ograniczyła, co będzie następne? Jedzenie? Już i tak nie wszystko mogła przelknąć.

Wprowadzili Weselnika, okazał się nawet przystojny. Włosy czarne, kręcone niczym u murzynka Bambo z ilustracji w elementarzu, wysoki, barczysty. Twarz inteligentna, nie taka prostacka jak u większości jej klientów.

– Lewandowska, jestem pana adwokatem. Wynajęła mnie pańska żona – przedstawiła się.

– Wiem, Maria mi o pani mówiła. Ponoć jest pani najlepsza.

– Nie ponoć, ale jestem najlepsza i szybko się pan o tym przekona. Tym bardziej że oskarżenie jest absurdalne. Pan nie zabił Marcinkowskiego, pan nie mógł go zabić.

Spojrzał na nią zdziwiony, najwyraźniej zaskoczyła go pewność w jej głosie.

– Wie pani coś więcej w mojej sprawie?

– Owszem. Wiem, że on żyje, i to jest chyba najważniejsza informacja – odparła.

– Naprawdę? Świetna wiadomość. Wypuszczą mnie? – wykrzyknął rozradowany.

– Spokojnie. Nie ma jeszcze z czego się cieszyć. Sprawa jest dość zagmatwana.

– Skoro żyje, to czemu mnie tu wciąż trzymają?

– To nie takie proste, mój panie. On żyje, ale wciąż jest nieprzytomny i nie może zeznać, kto go tak pobił, a więc mamy sytuację patową.

– Słyszałem o jego pogrzebie, o pośmiertnie przyznanych medalach.

– Oni faktycznie myślą, że nie żyje, ale oczywiście ciała nie znaleźli. Nie mam pojęcia, kogo pochowali w jego trumnie. Nie wiedzą, jak jest naprawdę, inaczej dołożyliby wszelkich starań, żeby to, co twierdzą, okazało się prawdą. Musimy uzbroić się w cierpliwość, dopóki Marcinkowskiemu się nie polepszy. Teraz proszę mi powiedzieć, czy na dzień napadu ma pan alibi? Wtedy nie będziemy musieli czekać na wyzdrowienie pułkownika.

– Mam, ale ktoś ponoć skłamał, że zauważył mnie na miejscu zbrodni. Nie wiem, jakim cudem, bo ja tego Marcinkowskiego nigdy nawet nie widziałem na oczy.

– Znam go, to Rosolek, z niego żaden świadek. Od lat bezpieka się nim wysługuje, każdy sędzia o tym wie i łatwo będzie obalić jego zeznania. Jakie to alibi?

Weselnik się zakłopotał. Wyraźnie coś było nie tak z tym alibi. Zuza w mig pojęła, w czym rzecz.

– Rozumiem, że nie chce pan ujawnić nazwiska tej kobiety. W takim razie nie ma wyjścia, musi pan posiedzieć do momentu, aż pułkownik zezna, kto go napadł. Czemu akurat pana w to wrobili? Tylko za przynależność do Solidarności? Trudno mi w to uwierzyć.

– Zajmowałem się kolportażem ulotek, razem z kolegą podrzucaliśmy je do autobusów miejskich i rzucaliśmy na ulice z dachów domów. Nigdy nie znaleźli przy nas nic kompromitującego i to ich wkurzało. Dwa razy nam podrzucili trefne materiały, ale w porę się zorientowaliśmy i szybko się ich pozbyliśmy. Kolegę w końcu dopadli, jak wracał z pracy, i potwornie go skatowali, a mnie wrobili w to zaborstwo.

Zużę nagle oświeciło.

– A kolega nie nazywa się Wieczorek?

– Tak, a skąd pani wie? – zdziwił się Weselnik.

– Słyszałam coś o tym, ale zupełnie przypadkowo. O ile wiem, już wyzdrowiał.

– Nie za bardzo. Po tym coś mu się pomieszało w głowie. Gada, że ich wszystkich wyśle w kosmos. Chwilami aż strach było go słuchać.

– Uważa pan, że może to zrealizować?

– E tam. To przecież nierealne. Słyszałem, że jego matka też ma coś z głową, więc pewnie ten napad przyspieszył mu chorobę. Szkoda, bo był z niego dobry kumpel.

– A nie wie pan, gdzie może się podziewać wtedy, kiedy go nie ma w domu? Ma jakąś działkę z domkiem?

Weselnik spojrział na nią mocno zdziwiony.

– Pani przysłała mnie stąd wyciągnąć czy pytać o Wieczorka?

– Jedno i drugie. Te sprawy są połączone. – Zuza nie dała się zbić z pantalyku. – Być może Wieczorek wie coś, co nas by zainteresowało. Warto go o to spytać.

– Myśli pani?

– Zawsze myślę, nieraz za dużo. – Tu piła do swojej choroby, która zaczynała coraz bardziej dominować nad jej życiem.

– Mówił mi kiedyś o jakiejś starej leśniczówce, ale nie wiem, gdzie to było. Chyba gdzieś niedaleko Łącka, bo on nie jest zbytnio mobilny. Jedynym pojazdem, jaki posiadał, był motorower Komar. Pamiętam, że wciąż przy nim dłuubał, aż w końcu powiedział dość i go sprzedał. Pani mecenas, jak długo jeszcze tu będę tkwił? To nie jest sanatorium, kilka razy musiałem komuś dać po mordzie, inaczej nie opędziłbym się od zboczeńców. Jest tu taki Mariusz Kamiński, mówią na niego Mariuszek. Gwałcą go codziennie, on już na dupie nie może siedzieć, aż żal patrzeć.

– To niech mu pan pomoże.

– Nie ma mowy, raz spróbowałem, to mi zagrozili, że mnie wypatroszą. Za dużo ich, sam nie dam rady. To kiedy wyjdę?

– Jeśli Marcinkowski wydobrzeje, już to mówiłam.

Weselnik zbladł.

– Mówiła pani „kiedy” wydobrzeje, a nie „jeśli”. Czy to znaczy, że coś może pójść nie tak?

– Wciąż jest nieprzytomny, ale żyje i to daje nadzieję. Zawsze ma pan drugie wyjście, wyjawić nazwisko kochanki.

– Nigdy!

– Nigdy w różnych sytuacjach ma różną moc. Kiedy chodzi o czyjeś życie, zaczyna mięknąć niczym wosk nad świecą. Idę już, chce pan papierosy? Mam przy sobie kilka paczek.

– Nie, dziękuję, to trucizna.

– Może i trucizna, ale w tych warunkach i w pańskiej sytuacji to jakoś mało groźnie brzmi – odparła i podniosła się z krzesła.

Opuściła areszt i udała się do Nowoczesnej na obiad. Przy pierwszym stoliku od wejścia siedział z jakimś nieznanym szefem prokuratury. Coś między sobą szeptałi, ale gdy ją zobaczył, uklonił się sztywno. Nic dziwnego, kiedy się ostatnio widzieli, pokłóciła się z nim o bezpodstawny areszt. Przy następnym stoliku siedział mecenas Rostkowski, specjalizujący się w rozwodach bogatych płocczan. Brał krocie za swoje usługi, ale to nie miało odzwierciedlenia w ich jakości. Rozmawiał z Janicką, aptekarką. Cały Płock od kilku tygodni żył jej problemami małżeńskimi. Kolejny stolik zajmował dyrektor szpitala, durny stary pacan znany z tego, że farbuję sobie włosy. Niektórzy mówili, że przed nim wielka kariera, że wyprowadzi się do Warszawy. No i dobrze, krzyż mu na drogę. Im mniej takich szumowin w mieście, tym lepiej. Konsumował pomidorową w towarzystwie ordynatora urologii, Kicińskiego. Pewnie zapychali sobie te tłuste bełcuny za łapówki od pacjentów. Przy samym oknie zobaczyła Ludwickiego. Zdziwiła się, bo on raczej po restauracjach nie chadzał, jego ulubionym miejscem konsumpcji było pro-sektorium, a ulubionym stolikiem stół sekcyjny. Akurat wbił w widelec w kawał krwistego befsztyka, idealne danie przy jego profesji. Rzucił jej zimne, przeciągłe spojrzenie. Nieco dalej ujrzała sekretarza partii Lipińskiego z jakąś wyzywająco wymalowaną cizią, pewnie jego sekretarką; tak byli zajęci sobą, że Zuzy nie zauważyli. Usiadła przy jedynym wolnym stoliku i jeszcze raz spojrzeniem omiotła salę. Same komunistyczne indywidua, towarzystwo z baru mlecznego było jej dużo bliższe niż ta banda zaściankowych prominentów.

Zjawiła się kelnerka.

– Proszę kotleta schabowego.

– Z czym podać? Może z buraczkami, a może z czerwoną kapustą?

– Żadnych dodatków, tylko z ziemniakami. Mam alergię na czerwony kolor.

Porwana kobieta siedziała na łóżku i wpatrywała się w miskę z jedzeniem. Dobrze pamiętała to, co powiedział jej dręczyciel. Kiszki jej grały marsza, ale wstręt do tego jadła wciąż nie pozwalał jej po nie sięgnąć. Trudno, umrze z głodu, ale nigdy więcej nie tknie ludzkiego mięsa. Przez okno dochodziły do niej odgłosy rąbania drzew. Wcześniej myślała, że to ktoś z obsługi, ale szybko się przekonała, że to jedynie jej próżne nadzieje. Porywacz w ten sposób spalał swoją agresję. Początkowo obrał sobie ją za worek treningowy, ale kiedy dwa razy o mało nie wyzionęła ducha, odpuścił. Nagle na zewnątrz zaległa cisza. Kobieta wiedziała, co to znaczy, zaraz tu przyjdzie i będzie się nad nią pastwił psychicznie. Kolejny raz będzie ze szczegółami opowiadał, jak rozpruje jej brzuch, jak wyjmie jelita, a wszystko to zrobi bez znieczulenia, na żywca. Chępił się tym, jak zamordował nauczycielkę. Jak wiła się z bólu, jak krzyczała wniebogłosy, kiedy rozpruwał jej brzuch. Chwalił lekarkę, ta była najwytrzymalsza i w nagrodę męczył ją najdłużej. Groził, że zmusi ją do jedzenia, bo niedożywiona szybciej umrze i nie będzie zabawy. Żałowała, że nie zabiła się tym szklę, którym zraniła swojego dręczyciela, bo sobie skróciłaby cierpienia i jemu nie dała satysfakcji.

Mariański z dwoma zeszytami w ręku wtoczył się do pokoju porucznik Pawłowicz. Akurat jadła kanapkę z mortadellą, a drugą miała przygotowaną na blacie biurka.

Wyciągnęła rękę.

– Pokażcie, co tam nagryzmoliliście.

Przekartkowała pierwszy zeszyt, sięgnęła po drugi i zaraz złapała się za głowę.

– To wy nawet nie wiecie, jak pisze się słowo „kurwa”? Domyślam się, że mnie mieliście na myśli. Jest mi miło, że wciąż o nas myślicie.

Uśmiechnęła się szeroko, ale w jej wzroku czaiło się coś niepokojącego.

– Co robicie dziś wieczorem? – spytała nagle, puszczając oko do kapitana.

– No jak to co? Działania operacyjne, śledzimy taką jedną.

– A może pośledzicie inną?

Odłożyła na wół zjedzoną kanapkę i podniosła się z krzesła.

– Otwórzcie kajet i zaczniecie pisać „kurwa”.

Mariański posłusznie chwycił długopis i zaczął gryzmolić w zeszyt. Pawłowicz nachyliła się nad nim, a jej piersi niczym dwa wielkie balerony wypłynęły spod munduru i osiadły na pulpicie biurka, częściowo na krawędzi zeszytu.

Kapitan zerkał na nie nerwowo i gorączkowo zastanawiał się, co będzie, kiedy ręka z długopisem do nich dojdzie.

– Ładnie pachniecie. Wiecie, ja was nawet lubię – słyszał nad uchem.

– Ja was też – odburknął i dalej pisał. Wszystko mu się od nowa pokićkało, już sam nie wiedział, czy „kurwa” pisze się przez u zwykle czy zamknięte.

– Ja mam na was oko już od dawna – szeptała. – Koleżanka mi powiedziała, że z was prawdziwy kokak, że jesteście jurni, że wam wciąż mało. To tak jak mnie. Dobraliśmy się jak w korcu maku, kochanieńki.

– Ale ja mam żonę – wydukał z nadzieją, że to powstrzyma tę napaloną samicę.

– I co z tego? Macie go z mydła? Chcecie zaliczyć kurs z ortografii czy nie? – odparła podenerwowana jego oporem.

– Chcemy.

– No widzicie, poszliście po rozum do głowy.

Podeszła do drzwi i ku przerażeniu kapitana zamknęła je na klucz, po czym wyjęła go z zamka i wpuściła między piersi.

Zuza, wracając z obiadu, zajrzała do księgarni przy Kolejalnej.

– Dzień dobry, pani mecenas! – przywitała ją kierowniczką. – Słyszałam, że wydaje pani swoją autobiografię.

– A skąd pani to wie? – zdziwiła się, bo raczej tego nie rozgłaszała.

– Był u mnie prezes spółdzielni „Kacze Pióro” i szepnął słówko. Kto jak kto, ale pani ma o czym opowiadać. Pierwsza pójde kupić. A jak się pani czuje?

Kurwa mać, znalazła się następna troskliwa, zakłęła w duchu.

– Żyję. A pani jak się czuje? – spytała zaczepnie.

– Ja? – Tamta się zdziwiła. – Dobrze, ale ja nie mam raka.

– Do widzenia – rzuciła sucho Zuza, po czym odwróciła się na pięcie i opuściła księgarnię.

Doszła do pobliskiego sklepu chemicznego, gdy złapały ją torsje. Nie było wyjścia, zapaskudziła najbliższą śmietniczkę. Dłuższą chwilę dochodziła do siebie. Wchodząc do kancelarii, poprosiła Jolkę o zaparzenie ziółek, tych co zawsze. One dość szybko jej pomogły.

– Co tam masz? – spytała aplikantkę. Już od wejścia widziała, że przebiera nóżkami, przestępuje z nogi na nogę. Tak zawsze czyniła, kiedy udawało jej się zdobyć cenne informacje.

– Gutkowsy mają działkę w Dębowej Górze, po drugiej stronie jeziora w Grabinie. Jest tam kilkanaście działek, ich to druga po lewej stronie.

– Byłaś tam?

– Nie, tak mi to opisał ich sąsiad. Bardzo gadatliwy staruszek.

– Pewnie się ślinił na twój widok. – Zuza się zaśmiała. – Te stare capy na widok młodej, ładnej kobitki zupełnie tracą głowy. No to mamy w perspektywie wyjazd na łono natury.

- Co pani zamierza?
- Wiadomo, trzeba bardzo dokładnie przeszukać ich posiadłość. Jeśli zabijają noworodki, to muszą je gdzieś tam ukrywać.
- Makabra. – Jolką aż wstrząsnęło.
- Owszem, dlatego należy mieć mocne dowody, żeby za to zapłacili. Wtedy im ich koneksje nie pomogą.
- A muszę z panią jechać? – Jolce najwyraźniej nie uśmiechało się wykopywanie zwłok noworodków, czemu trudno było się dziwić.
- A chcesz być taka jak ja? Chcesz być prawdziwą lwicą palestry? Jeśli tak, to musisz być gotowa i na takie sytuacje. Wiesz, ile za każdym razem kosztuje mnie wizyta w prosektorium? Żadna śmietniczka w mieście nie była tyle razy przytulana co tamtejsza. Prawie wyznałam jej miłość. Nie martw się, nie pojedziemy tam same, weźmiemy Nowaka. Zaraz do niego zadzwonię.

Zuza, idąc do domu, zajrzała na Grodzką. W bramie na posterunku tkwił Piosik. Ucieszył się, gdy ją zobaczył, pewnie liczył na papierosy. Od czasu, kiedy choroba zmusiła ją do ograniczenia palenia, była bardzo hojna w rozdawnictwie fajek.

- Bez zmian, nic się nie dzieje – zameldował.
 - A ta szara nysa? Nie pokazała się więcej? – dopytywała.
 - Nie, ale zaczynają się awantury z miejscowymi. Wkurwia ich, że my tak ciągle stoimy. Temu pani sąsiadowi chcieli nawet wpierdolić, ale wyciągnął zza kapoty dubeltówkę i się wystraszyli.
 - Kto najbardziej się rzuca? Wymień nazwisko tego gnoja. Tu każdy z nich jest moim klientem albo Matczaka. Jak nie ja, to on przemówi mu do rozumu.
 - Franek Klimczak. Ma taką wielką bliznę w poprzek ryja.
 - Znam sukinsyna. A wiesz, skąd ją ma?
 - Ponoć napadli go w kryminale. Walczył do upadłego, ale było ich kilku i nie dał im rady.
- Zuza, słysząc to, parsknęła śmiechem.
- Kto ci to naopowiadał? Baba mu przydzwoniła starą, poszczerbioną na krawędziach patelnią, o mało go nie zabiła. Znam dobrze tę historię, bo byłam jej adwokatem. Udało mi się wywalczyć dla niej wyrok w zawiasach. Ale, abstrahując od Klimczaka, to nie możecie spuścić tego mieszkania z oczu, i to nawet na chwilę. Jakby co, dziś jestem w domu. To na razie.

W progu mieszkania stanęła jak wryta. Z przedziurawionego worka kropłówki tryskał płyn, prosto w rozdziawiony pysk Borysa, a Zgaga siedziała na stojaku i krzyczała:

– Aaale draaaka! Aaale draaka!

Może w innej sytuacji byłoby to komiczne, ale nie teraz, kiedy Marcinkowski ledwie dychał i tylko kropłówka dawała nadzieję na jakąkolwiek poprawę. Nim się ptaszysko zorientowało, zostało przyszpilonone do podłogi, a w chwilę potem na powrót wylądowało w swojej klatce.

– Kuuurwa maaać! Kuuurwa maaać! – Nie kryło niezadowolenia.

Zuza wymieniła worek i nachyliła się nad pułkownikiem, żył. Gdzie, do cholery, jest Geńka, miała tu warować od rana do wieczora?

Zjawiała się po kwadransie.

– Przepraszam, ale musiałam iść do apteki, zabrakło ligniny. Miałam szczęście, bo akurat dowieźli.

– Trzeba było do mnie zadzwonić, tobym kupiła. Masz tu siedzieć, i to murem. Papuga dobrała się do kropłówki, Marcinkowski mógł przez to wykopyrtnąć, a wiesz, co to by znaczyło? Dwóch niewinnych ludzi mogłoby zadyndać.

– Ale to ci wywrotowcy z Solidarności, nie żal ich.

– Nie chcę więcej tego słuchać, lepiej nie wkurwiał mnie jeszcze bardziej – warknęła na nią Zuza i poszła do łazienki, tym samym kończąc tę jałową, durną rozmowę.

To był ciężki wieczór. Boleści się nasiliły. Zuza leżała na kanapie pod kocem i jęczała. Klęła dzień, w którym dowiedziała się o racyzmu, to wtedy rozpętało się to piekło. Z dnia na dzień jej organizm odrzucił to, co kochała ponad życie, czyli papierosy i koniak. Coraz częściej myślała o wyrzuceniu lekarstw, o przyspieszeniu tego wszystkiego. Ze wstrętem spoglądała na rząd buteleczek wypełnionych kolorowymi pastylkami. Było ich dużo mniej niż na początku, ale i tak jeszcze sporo. Zadzwoił telefon, z trudem zwołała się z kanapy.

– Ty kurwo, nadchodzi twój koniec! – usłyszała w słuchawce. Rzuciła nią i na powrót wślizgnęła się pod koc. Włączyła telewizor, a tam dziennik telewizyjny, jedno wielkie szambo wylewające się na opozycjonistów i Amerykę. Reagan najwyraźniej stanął im kością w gardło.

Wyłączyła, tego nie dało się dalej słuchać. Poszła do kuchni zmienić kotu opatrunek, długo z nim walczyła, zanim jej się udało, a przy okazji podrapał ją po rękach. Przed pójściem spać musiała to jeszcze odkazić spirytusem.

Zbudziła się wcześniej rano i do razu pobiegła sprawdzić, co z Marcinkowskim. Wszystko było bez zmian. Ubrała się, wzięła Borysa na smycz i wyszła z domu. Na schodach spotkała mleczarza. Wymieniła butelki, pełną od razu zaniosiła do mieszkania, inaczej rozplynęłaby się w powietrzu niczym kamfora. W bramie naprzeciwko zobaczyła jednego z tych obszczymurów, co dzień w dzień od rana do wieczora zalegają przy wejściu do jej kamienicy. Leżał nieruchomo. Podeszła do niego i sprawdziła, czy żyje. Poczowała odór taniej wody kolońskiej. Już nawet po nią sięgali, żeby zaspokoić głód alkoholowy. Dopiero potem poszła dalej. Przed ratuszem stało trzech zomowców. W pierwszej chwili chcieli ją zaczepić, ale kiedy Borys zademonstrował im swoje imponujące uzębienie, poniechali tego zamiaru.

Tym razem odpuściła Tummy, poszła ulicą Grodzką. Przy okazji chciała skontrolować Piosika, bo dziś on miał dyżur. Tak jak przypuszczała, siedział na starej skrzynce po jabłkach, oparty plecami o ścianę i chrapał w najlepsze.

Szarpnęła śpiącego za ramię. Natychmiast poderwał się na nogi i nerwowo rozejrzał. Widząc Zuzę, od razu się uspokoił.

– To pani?

– Kurwa mać, a kogo się spodziewałeś? Ducha Świętego czy co?

– Zmogło mnie...

– Przystań pieprzyć, czuję od ciebie gorzałę. Ona cię zmogła. Jeszcze raz zobaczę, że upiłeś się w robocie, to cię wywalę na pysk. Zrozumiano?

– Spokojnie, pani mecenas. Więcej się to nie powtórzy.

– Oby.

Poszła dalej. Do apteki przy Grobie Nieznanego Żołnierza próbował włamać się jakiś gnojek. Łomem podważał drzwi, pewnie był na głodzie. Na widok Zuzy czmychnął do pobliskiej bramy. Mijając kino Przedwiośnie, zobaczyła połamaną ławkę; komuś wyraźnie przeszkadzała. Spojrzała w okna swojej kancelarii i zdumiała się, bo paliło się w nich światło. Chwyliła kawałek drewna odszczypany od owej ławki i nawet się nie zawahała, tylko żwawo ruszyła w stronę kamienicy. Borysa trzymała krótko, wiedziała, że w razie niebezpieczeństwa może na niego liczyć, przecież miał już jednego funkcjonariusza służby bezpieczeństwa na koncie.

W ciemnej klatce schodowej Zuza powoli, krok za krokiem wspięła się na piętro. Drzwi wejściowe do biura były otwarte, zamek wylamany, ktoś się z nimi obszedł nieelegancko, a wręcz w bardzo brutalny sposób. W środku nikogo nie zastała. Sukinsyn się wyniósł, ale ciekawe, czego szukał. Zajrzała do swojego gabinetu, rzęsiście oświetlonego przez wszystkie lampy, a to, co ujrzała, wstrząsnęło nią do głębi. Wszystkie dokumenty zostały wywalone z szaf, szuflady z biurka leżały na podłodze, portrety zwalono

z haków, włamywacz nawet nie oszczędził koniaku i dwie butelki stocka rozbił o ścianę. Pewnie z wściekłości, że nic nie znalazł. Dureń, ona by je najpierw opróżniła. Zuza od zawsze obawiała się włamań i dlatego najcenniejszych materiałów tu nie trzymała. W końcu od tego miała w domu sejf. Dawniej by zakasała rękawy i wzięła się do porządków, ale teraz miała aplikantkę i to było piękne. Jedyne, co postanowiła zrobić sama, to powiesić na powrót portrety gwiazd kancelarii, w tym oczywiście Ambrozego Lewandowskiego. Kiedy skończyła, usiadła w fotelu i spojrzała na podobiznę ojca. Miał coś marsową minę. Może za to, że ktoś śmiał go sponiewierać, a może że wisiał krzywo? A może poczuł zazdrość o Marcinkowskiego? Tu niepotrzebnie, zawsze będzie go uznawała za ojca. Trudno było jej to odgadnąć. Sięgnęła po jedyną ocalałą butelkę i nalała sobie. Wypiła, o dziwo, znów jej smakowało, ale przecież zapomniała wziąć lekarstwo, stwierdziła. Natychmiast wróciła na ziemię. Z torebki wyjęła buteleczki i wyłożyła pastylki na blat biurka. Patrzyła na nie wręcz z nienawiścią. W końcu przemogła się i je połknęła, a zrobiła to tylko dlatego, że potrzebowała czasu, aby doprowadzić do finału rozbabranego sprawy. Dopiero kiedy je zamknęła, to wtedy wyrzuci całe to cholerstwo do kibla i choć na kilka dni wróci do starych nawyków, tak na zakończenie.

Prowizorycznie zamknęła kancelarię i poszła do domu. Zanim weszła do kamienicy, zajrzała na podwórze, bo od jakiegoś czasu miała kilka prób dostania się do jej stajenki. To posunięcie okazało się strzałem w dziesiątkę. Właśnie ktoś pastwił się nad kłódką. Widziała jego plecy. Z tyłu w pierwszej chwili nie poznała włamywacza, ale zaraz do niej dotarło: to przecież Tomaszek. Najwyraźniej już od dziecka pilnie uczył się fachu. Tak był zaaferowany niszczeniem zamknięcia, że nie zauważył Zuzy. Ta podkraśla się blisko i chwyciła go za kołnierz. Chłopak jak zawsze w takiej sytuacji natychmiast się zmoczył, ale tym razem nie było litości. Zuza jedną ręką mocno trzymała gnojka, a drugą otworzyła stajenkę. Następnie wepchnęła Tomaszka do środka i zatrzasknęła za nim drzwi. Na powrót założyła kłódkę. Akurat nadszedł pan Tadzio. Zdążył być świadkiem całej akcji.

– Świetna robota – pochwalił Zuzę. – Niech pani da klucz, wypuszczę go w południe. Ja mam sporo pracy przy mojej ładzie, więc włączę radio na cały regulator, to nikt wołań tego sukinsynka nie usłyszy. Dostanie nauczkę.

– Niech tak będzie. Słyszałam, że miał pan zatarg z żułami z Grodzkiej.

– Pani sąsiadko. – Pan Tadzio roześmiał się w głos. – Owszem, ale naładowałem soli do dubeltówki i jak do nich wygarnąłem, to ręczę, że po tym co najmniej dwa dni trzymali dupska w miednicy z wodą, żeby choć ciut uśmierzyć ból. Drugi raz nie spróbują, tego jestem pewny.

Z powodu włamania do kancelarii plany dotyczące wyjazdu do Dębowej Góry musiały ulec zmianie. Zuza pojechała jedynie z Nowakiem, bo aplikantka została w biurze i wzięła się do porządkowania papierów. Akurat z tego powodu nie uroniła ani jednej łzy żalu, była wręcz szczęśliwa.

Pojechali pikapem sierżanta. Kiedy mijali skręt do Grabiny, Zuza zauważyła szarą nysę. Kierowcę od razu poznała, to ten mężczyzna, który pożyczył im lewarek. Coś się ostatnio ich ścieżki krzyżowały. Zaraz za jeziorom skręcili w las. Droga była wąska, kręta, ruchliwa, trzeba było jechać wolno i ostrożnie, żeby nie zderzyć się z mijanymi motocyklami WFM czy narowistymi emzetkami, którymi mknęli okoliczni rolnicy. Las się skończył, jeszcze kilkaset metrów pełną drogą i byli u celu. Kilkanaście dacz ogrodzonych wspólnym drucianym plotem, wszystkie porządne, murowane. W niektórych można było mieszkać cały rok, ale na szczęście dla nich jak dotąd nikt tego nie czynił. Brama zamknięta na kłódkę, która bez problemu poddała się zręcznym dłoniom sierżanta. Drugi dom po lewej stronie wyróżniał się gabarytami, był największy. Najpierw obeszli go dookoła, działka nieduża, więc nietrudno będzie ją dokładnie obejrzeć. Ich uwagę zwróciła ziemianka, Zuza słyszała nieraz o ukrywaniu zwłok w takich miejscach, czyżby i tym razem miało się to sprawdzić? Dostępu do środka nie broniła kłódką, ale zamek. Wyglądał na solidny i taki też był. Nowak chyba z pół godziny z nim walczył, zanim go pokonał. Zuza w tym czasie przeszukała ogródek, krok po kroku obeszła całą posiadłość. Nigdzie nie było śladów świeżego kopania. Z wpisów w kartotece ginekologa wynikało, że ostatni poród miał miejsce dwa miesiące temu. Zajrzeli do ziemianki. Balagan w niej panował okrutny, drewniane skrzynki porozrzucane

w nieładzie, wysypujący się z dziurawych worków nawóz, deski, w kącie regalik, a na nim weki. Zuza uważniej im się przyjrzała. Ogórki, kompoty z jabłek, w jednym czerwona masa, pewnie przecier pomidorowy.

Nowak przerzucił skrzynki i nagle usłyszała jego okrzyk triumfu.

– Mamy ich!

Podeszła bliżej i zobaczyła ślady świeżego kopania. Powierzchnia spulchnionej gleby nie była zbyt pokaźna.

Spojrzała na sierżanta. Od razu pomyśleli o noworodku.

– Co robimy? – spytała.

– Nie możemy tego rozkopać, bo zniszczymy ślady, trzeba wezwać milicję, pion kryminalny.

– Czyli Mariańskiego, największego głupca. Znów wszystko spieprzy i Gutkowsy się wywiną.

– Nie ma rady. Zróbmy to jednak dyskretnie.

– Czyli anonim. Uprzejmie donoszę, że w posiadłości towarzysza sekretarza Gutkowskiego jest zakopany trup. Podpisano: towarzysz anonim – żałartowała. – Problem w tym, czy ktoś na to zareaguje? Czy ktoś odważy się wejść na posesję tak wysoko postawionego partyjniaka?

– Muszą zareagować. Wiem, jak to działa. Będą przeproszać i zajrzą do ziemianki. Wtedy zobaczą to, co my, i kompletnie zmienią swoje nastawienie. Rzucą Gutkowskim o ziemię i zakują go w kajdany.

– Obyś miał rację – odparła bez przekonania. – Do daczki chyba nie warto już zaglądać. W sumie mamy to, co chcieliśmy.

Gdy opuścili ziemiankę, Zużę chwyciły silne boleści. Zażyła lekarstwa, przeszło jej po dłuższej chwili, dopiero wtedy mogli wracać. Nowak przyglądał się temu z niepokojem, ale nic nie powiedział. Wszystko pozamykał i pojechali do Płocka. Z budki przy placu Narutowicza sierżant zadzwonił na milicję i zgłosił zabójstwo. Wiedział, że to będzie za mało, więc zadzwonił ponownie, tyle że z budki przy dworcu autobusowym. Teraz należało tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Zuza wróciła do domu. Zgaga nuciła kociakowi Międzynarodówkę, a ten spał jak zabity, leżąc na grzbiecie tuż obok klatki. Najwyraźniej melodia zadziałała na niego niczym kołysanka, odwrotnie niż na Zużę, bo ją drażniła okrutnie. Borys wciąż męczył wielką kość wołową, którą mu rzuciła rano po przyjeździe ze spaceru. Geńka kręciła się po łazience, prała w miednicy jakieś lachy Marcinkowskiego. Zuza chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do kancelarii. Jolka odebrała natychmiast i zameldowała od razu, że usunęła cały bałagan. Chwaliła przy tym Kowalskiego, ponoć jej przy tym wydatnie pomógł. Oznaczało to tylko jedno: trzeba ją przed nim ostrzec. Już jakiś czas temu Zuza zauważyła u kolegi pierwsze symptomy starzenia się, zaczął się oglądać za dużo młodszymi kobietami. Z miejsca przypomniała jej się historia, którą usłyszała od Nowaka. Kowalski trzy lata temu wybrał się z jakąś młodą siksą na urlop do Dębek. Tam na słynnej plaży nudystów, żeby zaimponować partnerce, mecenas opalał się całkiem nago. Problem w tym, że nie wszystkie fragmenty jego ciała kiedykolwiek wcześniej widziały słońce i po całodziennym opalaniu jego członek wyglądał jak kawał surowego, krwistego mięsa. Skończyło się na całonocnym moczeniu penisa w kuble z zimną wodą, a następnego ranka Kowalski był zmuszony co chwila wrzucać do majtek po kilka kostek lodu. Opowiedział o tej przygodzie Nowakowi podczas swoich urodzin, kiedy obaj ostro popili. Później tego bardzo żałował, bo sierżant już następnego dnia rozprowadził ją wszędzie.

Notatka operacyjna kapitana Mariańskiego

W wyniku obserwacji obywatelki Lewandoskiej kapral Opara donosi, że owa obywatelka ma konżachty z elementem Piosikiem i innymi elementami z Grockiej i podwurek. Pro-

wadzi ona chandel wymienialny. Ona daie papierosy, kazaliżmy ustalić co on daie. Kazaliżmy tyż obserwować nijaką porucznik Pawłowicz podejżaną o rozpóste i nieobyczne prowadzenie.

W czwartek koło południa przed daczę Gutkowskich w Dębowej Górze zajęchały dwa radiowozy, a w chwilę potem czarna wołga, z której wyskoczył sam sekretarz. Był wściekły. Jakim prawem chcą kontrolować jego posesję? Ten prokurator, który na to pozwolił, zapłaci za to stanowiskiem. Już on na głowie stanie, żeby zgnoić tamtego i pokazać, kto tu rządzi.

Mariański wysforował się przed innych funkcjonariuszy i podszedł do właściciela daczki.

– Towarzyszu, otwórzcie piwnicę – rozkazał bardzo oficjalnym tonem.

– To się nazywa ziemianka, durniu – poprawił go Gutkowski.

– Może i ziemionka, to nieważne, otwierajcie to. – Kapitan wskazał piwniczkę.

– Już po was, pójdziecie z pałąk na ulicę, przekonacie się. – Sekretarz wciąż mu groził, ale posłusznie otworzył drzwi.

Mariański jako pierwszy wtoczył się do środka, reszta funkcjonariuszy weszła za nim.

– Ciemno – mruknął pod nosem, włączył latarkę, podszedł do sterty skrzynek, odrzucił je i oświetlił świeżo spulchniony grunt. – A co to, towarzyszu Gutkowski? – Wycelował palcem w zrytą ziemię.

– Klepisko, nie widzicie? Padło wam na oczy? Może sobie je pałąk wydlubaliście? – zakpił sekretarz.

Kapitan nie zareagował na zaczepki.

– Opara, weźcie narzędzia i kopnijcie tu! Tylko migiem.

Kapral wbił szpadel i zaczął usuwać ziemię. Nagle przestał, nachylił się nad wykopem i po chwili trzymał w dłoni małą kosteczkę.

– A to zwyrodnialec, zakuć tego skurwysyna! – ryknął kapitan. – Wezwijcie więcej ludzi, trzeba przesukać tę ziemionkę.

Milicjanci rzucili się na Gutkowskiego. Opierał się, coś wykrzykiwał, ale nic nie pomogło. Z kajdanekami na nadgarstkach zaprowadzono go do radiowozu. Przy okazji kilka razy oberwał pałąk po plecach, a raz po jądrach. To musiało go naprawdę zabołeć.

Mariański był bardzo dumny z siebie. Przyszpilenie zabójcy dzieci – to pachniało awansem i, co najważniejsze, zakończeniem korepetycji u porucznik Pawłowicz. Do wczoraj nie wiedział, że istnieją pozycje, jakie mu pokazała ta rozpustnica. Jeszcze dziś bolał go kręgosłup po wczorajszych z nią igraszkach.

Nie minęła godzina i zjawił się sam szef, major Kownacki. Nie miał zadowolonej miny, pewnie dlatego, że to nie jemu przypadł w udziale ten sukces, ale jego podwładnemu, i to temu, którego szczególnie nienawidził.

Przyjechali też technicy i fotograf. Rozpoczęto ekshumację zwłok. Gutkowski przez ten czas siedział w milicyjnej nysie i nadzwyczaj spokojnie przyglądał się całej akcji przez okno. Daczkę przewrócono do góry nogami, wszystko wyrzucono z szaf, przy okazji stłuczono niejedną wazon. Trwało to ponad trzy godziny. Mariański był w swoim żywiole. Co i raz podchodził do radiowozu i pukał palcem w szybę, chcąc dodatkowo zdenerwować aresztanta. Już widział oczyma wyobraźni, jak Gutkowski wije się niczym piskorz pod gradem niewygodnych pytań.

W pewnej chwili jeden z techników złapał kapitana za rękaw i odciągnął go na bok.

– Jest problem. Proszę spojrzeć na szkielet – szepnął mu do ucha.

– Jaki problem? Co wy pierdolicie? Przecież widziałem kości. Nie ociągajcie się, do roboty.

– Owszem, ale proszę iść za mną. Nalegam!

Technik brzmiał tak stanowczo, że Mariański nie oponował, tylko z nim poszedł.

Zeszli do ziemianki, tam na rozłożonym na klepisku prześcieradle leżały kości. Mariański spojrział na nie i gdyby nie chwycił się drzwi, to pewnie leżałby obok nich. Nawet do jego tępego umysłu dotarło, że coś jest nie tak.

– Kurwa mać, jak to jest możliwe? – wydukał, wciąż wpatrzony w szkielet.
– Jak by nie złożyć tych kości do kupy, to w żadnej konfiguracji nie da się z tego stworzyć szkieletu noworodka – tłumaczył mu technik. – Prócz tego widać wyraźny ogon.
– Może to chłopczyk? – Kapitan jeszcze się luził.
– Chłopczyk z kością w chuju – zdenerwował się technik. – Nie ma mowy, ja się pod czymś takim nie podpiszę.

Co robić? Mariański spanikował. Nie za takie rzeczy wywalali z milicji, i to na zbity pysk. Przecież nie pójdzie teraz do radiowozu, żeby bez słowa wyjaśnienia uwolnić sekretarza. Znał dobrze Gutkowskiego, wiedział, że tamten dostanie szału, że za godzinę rozpęta się prawdziwe piekło, że polecą głowy. Zobaczył swojego szefa, kręcił się przy daczce, na pewno jeszcze nic nie wie, inaczej już by tu był i się nad nim wytrząsał. Musi coś wymyślić, gdzie się przyczaić, aż sprawa przyschnie. Ten psychiatra kiedyś mu powiedział, że gdyby się źle poczuł, to zawsze znajdzie się dla niego miejsce w szpitalu. Oby dziś był na dyżurze. Wsiadł do radiowozu, którym tu przyjechał, i kazał kierowcy wieźć się na kogutach do Gostynina. Kaprala Oparę zostawił szefowi na pożarcie, jeśli go wyrzucą, to będzie mała strata, i tak jest bezwartościowy.

Zuza leżała na kanapie i cierpiała. Ból zaatakował jej kości, stawy, w pewnym momencie z trudem dźwignęła się na nogi i przytrzymując się mebli, poszła do kuchni. Musiała zażyć pastylki, żeby nie zwariować. Z zazdrością spojrzała na Marcinkowskiego, jego przynajmniej nic nie bolało. Kiedy wysypiała lekarstwa z buteleczek, przykuśtykał do niej kociak i zaczął ocierać się o jej dłoń.

– Kuternogo, muszę cię jakoś nazwać, ale jak? Może Wrzód? W sumie jesteś dla mnie takim wrzodem na dupie.

Zadzwoił telefon, to Nowak, był tak bardzo podekscytowany, że nie mógł mówić.

– Uspokój się i w końcu wyrzuć to z siebie! Co się stało? – Nie była dziś w nastroju, żeby bawić się w zgadywanki. – No gadaj, do kurwy nędzy!

– Mariański pojechał do Dębowej Góry i kazał grzebać w ziemiance. Dokładnie tam, gdzie mu wskazaliśmy, ale idiota, zanim sprawdził, co wykopią, sponiewierał Gutkowskiego, potem zakuł go w kajdanki jak pospolitego zbira, a i pałki nie pożałował. Wiesz, jak to on. Działa, zanim pomyśli.

– Albo w ogóle nie pomyśli – dodała.

– Owszem, w ziemi były zakopane zwłoki, ale nie niemowlaka, jak się spodziewaliśmy, tylko kota Gutkowskich, który notabene zdechł ze starości, bo miał przeszło dwadzieścia lat.

– No to sprawa się ryła, nie chciaabym być w skórze Mariańskiego. Gutkowski to świr, a szef kaptana nie lepszy. Jak nic poślizgnie się na zdechłym kocie niczym na krowim gównie. Tym razem wywalą go, i to z przytupem, amen.

– Nam też to nie na rękę.

– Czy ja wiem, przynajmniej mamy daczę sprawdzoną, i to dokładnie. Musimy poszukać gdzieś indziej. Jolce zlecę, żeby się jeszcze bardziej postarała. Do cholery, gdzieś muszą upychać te niemowlaki.

– Ale gdzie? Myślisz, że trzymają je w mieszkaniu?

– Może w lodówce? Ciekawe, czy mają w domu zamrażarkę?

– No wiesz? Tym razem sporo przesadziłaś.

– A dlaczego? – zadrwiła. – Pamiętasz sprawę Brągalskich. Zabijali dzieciaki i wrzucali je do beczek z kiszczką. Ile ich tam ukisili?

– Trójkę, ale to była skrajna patologia.

– To też patologia, tyle że czerwona.

Zużę ponownie chwyciły boleści. Z trudem trzymała słuchawkę w dłoni.

– Muszę kończyć.

– Dobrze się czujesz? Po głosie słyhać, że nie bardzo.

– Wydaje ci się – skłamała. – Cześć.

Z ulgą zakończyła połączenie i znów się położyła. Podeszedł do niej Borys i zaczął ją lizać po ręce.

– Kochane psisko, mam nadzieję, że u Nowaka będzie ci dobrze. Pamiętaj tylko, nie zagryź tej jędry, jęgo baby, chłopina nie może mieć zbyt komfortowo, bo się zbieśi.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Akurat teraz, kiedy czuje się tak podle. Z trudem, chwiejąc się na nogach, poszła otworzyć. W progu stał Piosik.

– Znów przyjechał – wyrzucił z siebie.

– Kto przyjechał? O kim mówisz?

– No jak to kto? Ten chuj tą szarą nysą. Pani idzie ze mną.

Skrzywiła się z bólu.

– Jestem chora, nie dam rady.

– Zrobiłem tak jak pani kazała, spisałem numer rejestracyjny.

– Daj mi go.

Piosik się zakłopotał. Podrapał się w tył głowy.

– Inaczej zapisałem, no wie pani, wapnem na ścianie.

– To idź i spisz go na papier. Muszę go mieć.

– A co pani jest? Może trzeba lekarza? Skrzyknę Tadka, pani sąsiada, to da cynk na pogotowie.

– Nic mi nie jest i żaden konował nie jest mi potrzebny – odparła rozdrażniona. – Weź ze stołu ołówek, kartkę papieru i, do cholery, zanotuj ten przeklęty numer rejestracyjny nysy.

Piosik poszedł, a Zuza na powrót się położyła.

Mariański wbiegł do szpitala i z obłędem w oczach szukał doktora Torbickiego. Wreszcie go zobaczył. Tamten stał na korytarzu i rozmawiał z jakimś pacjentem.

– Obywatelu doktorze! Pomocy! – krzyknął kapitan.

Lekarz rozpromienił się na widok milicjanta. Być może znów zatliła się w nim nadzieja na pozyskanie interesującego eksponatu.

– Co się stało, obywatelu Mariański? Żle się czujecie, omamy wróciły?

– Tak, tak, doktorze, wciąż widzę Lewandowską. Nie ma dnia, żeby do mnie nie przysłała, krzyczy na mnie, grozi mi.

– Bardzo ciekawe, dobrze, że się zgłosiliście, bo akurat jedno łóżko się zwolniło. Zatrzymamy was na obserwacji. Co wy na to?

– Zgadząmy się.

– A zatem proszę za mną do gabinetu.

Zuza dopiero grubo po północy poczuła się na tyle dobrze, żeby ubrać się i pójść na Grodzką. Na postunku zastała pana Tadzia, ale zanim ją rozpoznał, dłuższą chwilę celował do niej z dubeltówki.

Po nysie nie było już śladu.

– Czy ma pan numer tego samochodu?

– Niedokładny, ale coś jest. – Podał jej kartkę.

– Jak to niedokładny? Przecież Piosik go zapisał na murze.

– Tak, ale potem przyplątał się jakiś obszcymur, nalał na to i po ptokach, wszystko spłynęło wraz z jego szczyzynami. Tymczasem nysa odjechała.

– Tu brak dwóch cyfr. Takich szarych nys może być nawet kilkadziesiąt. Nie mamy możliwości, żeby to sprawdzić. Wie pan coś więcej o kierowcy? Czy coś przywiózł?

– Tylko z opowieści tego menela. Ponoć przytargał jakiś dywan.

Cholera, to pewnie następna ofiara, pomyślała.

– Musimy włamać się do tego mieszkania – oznajmiła. – Poradzi pan sobie z zamkiem?

Pan Tazio puścił do niej oko.

– Mój ojciec był ślusarzem i niejednego mnie nauczył. Dotąd nie było mi to potrzebne, ale z chęcią sprawdzę, czy nauka nie poszła w las.

– Liczę na to, że nie.

– Ktoś przyjechał! – Sąsiad chwycił Zużę za ramię i pchnął ją w cień bramy. Przywarli plecami do muru.

Ktoś minął ich w bliskiej odległości. Zuza nawet poczuła zapach jego perfum i właśnie po nich poznała nieznanego z wołgi. No tak, trzeba było się go spodziewać. Zawsze zjawiał się, kiedy do mieszkania przywożono nowego nieboszczyka. Po nim przyjeżdżała ekipa i sprzątała, wywoziła sztywniaka do podziemi pod kościołem na Górkach. To wyglądało jak jakiś popieprzony rytuał. Zabłysło światło na piętrze, ale nie na długo. Mężczyzna po chwili opuścił kamienicę i na powrót wsiał do wołgi. Usłyszeli ryk uruchamianego silnika i pojazd odjechał.

– Idziemy!

Zuza poszła pierwsza, za nią posłusznie podreptał pan Tazio. Widać, że bardzo dawno pobierał nauki ślusarskie, bo długo męczył się z zamkiem, ale w końcu go pokonał. Sprawdzili mieszkanie, nigdzie żywego ducha. Na koniec do obejrzenia została łazienka, tu Zuza spodziewała się znaleźć kolejne zwłoki. Nie myliła się, w wannie leżało ciało kobiety. Tym razem jednak twarz ofiary wydała się jej znajoma. Gdzieś ich ścieżki musiały się przeciąć. Stała wpatrzona w nią niczym sroka w gnat, starając sobie ją przypomnieć. Dopiero szarpnięcie za ramię ją otrzeźwiło.

– Musimy stąd iść – szeptał do niej pan Tazio. – Wspominała pani, że zaraz ktoś po denatkę przyjedzie.

No tak, miał rację.

Opuścili mieszkanie, zbiegli na dół i dyskretnie wymknęli się z kamienicy. Ledwie przyczaili się za śmietnikiem, gdy na podwórzu wjechał żuk pod plandeką. Wsiadło z niego czterech mężczyzn i poszli po ciało. Zajęło im to najwyżej kwadrans, wrzucili trupa na pakę i odjechali.

– Co tu się dzieje? – spytał sąsiad. – Nic z tego nie rozumiem.

– Panie Tazio, żebym to ja wiedziała! Też tak jak pan nie mam pojęcia.

– To wojskowi, czyli to grubsza sprawa.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Skąd pan to wie? Zna ich pan?

– Nie, ale poruszają się jak żołnierze, tego się nabiera poprzez ciągłą, wielogodzinną musztrę. Sam byłem w wojsku dobrych kilka lat.

– A to ciekawe. Nigdy mi pan o tym nie opowiadał.

– Byłem w KBW, a konkretnie w ochronie premiera Cyrankiewicza i pani jego serca Niny Andrycz. On uwielbiał szybkie samochody, sam nieraz wyjeżdżał w Warszawę, a wtedy padał na nas śmiertelny strach, żeby ktoś go nie ukatrupił. Poszlibyśmy pod mur, bez dwóch zdań.

– A jaki on był?

– Swojski chłop, nie mogliśmy narzekać, a wpatrzony był w tę swoją Ninę jak w obraz.

– No proszę, chwali go pan, mimo że miał krew na rękach. Mam tu na myśli wydarzenia w Poznaniu.

– Do nas odnosił się dobrze, taka prawda.

Zuza pożegnała się z sąsiadem i wróciła do domu. Całe towarzystwo spało kamiennym snem. Co dziwne, Zgaga od jakiegoś czasu chrapała, i to tak, że klekotała dziobem niczym bocian. Jej przyście zbudziło Borysa, podszedł do drzwi i zaczął w nie skrobać łapą. Zuza go wypuściła.

– Ale nie przynies mi znów wstydu. Dość miałam przez ciebie kłopotów.

Nawet nie wysłuchał do końca, tylko od razu zbiegł na dół.

Marcinkowski nagle się poruszył. Nachyliła się nad nim z nadzieją, że może doszło do przełomu i będzie mogła go wypytać. Coś zaczął nawet mamrotać pod nosem, chyba wymienił jej imię i „odpłynął”. W kuchni brzęknęło tłuczone szkło. No tak, typowa reakcja łańcuchowa. To Wrzód zwałił ze stołu następną szklankę. Przez ten gips na łapie poruszał się bardzo niezdarnie i systematycznie wykaszał całe jej szkło. Wzięła kota na ręce i przeniosła na posłanko.

– Siedź tu i więcej nie psoć, bo ci te łapięta powyrywam, i to na żywca.

W końcu udała się na spoczynek, ale jeszcze przed snem zapaliła w łóżku ekstra mocnego. Organizm jednak nie dał się oszukać i papieros znów jej nie smakował. Z wściekłością go przygasiła.

– Pani mecenas, mam ciekawe informacje – zameldowała aplikantka.

Zuza uniosła wzrok znad papierów i spojrzała na nią z ciekawością.

– Mów, a ja ocenię, czy są ciekawe. Ostatnio karmisz mnie jedynie bezwartościową sieczką.

– Sprawdziłam, kto był wcześniej właścicielem mieszkania przy Grodzkiej dwanaście.

– A jaki to ma związek z naszą sprawą?

– Proszę wysłuchać mnie do końca.

– A mam wybór? – Westchnęła z rezygnacją. – Mów!

– Mieszkanie należało do rodziny Sołczynowów, Rosjan, którzy tu osiedli pod koniec dziewiętnastego wieku. Przed wojną Płock był pod zaborem rosyjskim.

– Jolka, do kurwy nędzy, znam historię mojego miasta. Przejdź do konkretów.

– No tak. – Aplikantka uśmiechnęła się przepraszająco. – Sołczynow był urzędnikiem w magistracie. Miał żonę i dwoje dzieci.

– A co mnie obchodzi jakiś przedwojenny urzędnik? Żle się czuję, a ty mnie tu zanudzasz historią jakiegoś kacapa.

– Może zaparzyć pani ziółek?

– Później. Teraz się streszczaj. Niech mam to już za sobą.

– Żona Sołczynowa zachorowała na chorobę psychiczną. Wykryto u niej schizofrenię, mordowała młode kobiety i ich ciała umieszczala w wannie.

– Co proszę? – Zuza poderwała się z fotela. – Jesteś tego pewna?

– Tak piszą o tym w starych gazetach, sama to wyczytałam, dwa dni siedziałam w archiwum.

– I co się stało z tą wariatką? Powiesili ją?

– Nie zdążyli, bo wybuchła druga wojna światowa, a później Ruskie wbiły nam nóż w plecy.

– Ja to wszystko wiem. Ale o czym mówimy, to przecież nie ona, musiałyby mieć ponad siedemdziesiąt lat. Chyba że ma naśladowcę. Jeśli tak, to skąd zna tę sprawę? Popytaj w archiwum, czy ktoś jeszcze się interesował tą historią. Może w końcu złapiemy jakiś trop.

– Pani Zuzo, czytałam kiedyś, że dzieci schizofreników często dziedziczą chorobę po rodzicach.

– Chcesz powiedzieć, że zabójcą jest syn lub córka Sołczynowa? O ile zdążyłam się zorientować, to ta rodzina nie pasowała do wzorca prawdziwego obywatela Kraju Rad, raczej byli przez nich zniechęceni. Musieliby ukryć swoje pochodzenie, co nie jest niemożliwe, ale mało prawdopodobne. Mało tego, musieliby wrócić do Płocka. Chyba że bardzo poniosła nas wyobraźnia. Zresztą zwróć uwagę na to, że w ten cały proceder jest zaangażowanych sporo ludzi. Tak jakby się to działo za przyzwoleniem władz. Od razu przypomina mi się plotka o Breżniewie, że przetaczają mu krew noworodków, uśmiercając je, żeby utrzymać go przy życiu. Widząc go w telewizji, sama nie wiem, ile w tym prawdy, bo chyba po takim zabiegu wyglądałby młodziej, a on przypomina żywego trupa. A teraz idź, zaparz mi ziółek.

Jolka spojrzała z troską na pryncypałkę.

– Może pojedzie pani do jakiegoś profesora? Mój wujek twierdzi, że w Gdańsku jest jeden taki, co czyni cuda.

– Kiedy mówisz „wujek”, czy masz na myśli tego skurwysyna Ludwickiego?

– Wiem, że się nie lubicie, ale on martwi się o panią.

– Raczej nie może się doczekać mojej wizyty na jego stole sekcyjnym. Na samą myśl o tym pewnie się obliżuje. – Zuza zaśmiała się gorzko. – Nie wiesz, że jest popierdolony? To ma po ojcu, czyli twoim dziadku, ale nie będę cię niepotrzebnie kopać w krocze, bo to nie twoja wina.

Aplikantka spojrzała na nią, wyraźnie zaintrygowana.

– O niczym nie wiem. Niech pani mi zdradzi, o co chodzi z moim dziadkiem.

– Na pewno tego chcesz? Ostrzegam, to nie są fajne sprawy.

– Nalegam.

Zuza wzruszyła ramionami.

– Twoja wola. Twojego dziadka nakryto, jak spółkował z trupem.

Trudno było nie zauważyć, że zrobiło to na Jolce piorunujące wrażenie. Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Nie wierzę! Obrzydliwe, ale czy to prawda? – wydukała w końcu.

– Szczera prawda, a co gorsza, on spółkował z trupem płci męskiej, mało tego, zgwałcił zwłoki proboszcza z katedry i za to poszedł za kraty. Chciał, żeby mój ojciec go bronił, ale on odmówił, a rzadko to czynił. Być może zaważyła na tym wieloletnia przyjaźń z ofiarą. Grali razem w brydża. Wystąpili nawet w jakichś zawodach. U mnie gdzieś w piwnicy leży puchar, który wtenczas zdobyli. Ponoć pokłócili się o niego, ale mój ojciec łupów łatwo nie oddawał i przez ten kawałek metalu nie gadali ze sobą chyba z miesiąc. W końcu ojciec poszedł do niego do konfesjonału podczas niedzielnej mszy, żeby się pogodzić. Trwało to tyle czasu, że później parafianie z rok plotkowali o godzinnej spowiedzi Ambrożego Lewandowskiego. No bo co takiego miał na sumieniu, że mu tyle czasu zeszło?

– Nie wiedziałam. Zawsze mi mówiono, że dziadek popełnił samobójstwo.

– I dobrze ci mówiono, powiesił się w celi, choć niektórzy twierdzą, że ktoś mu pomógł. Tego nie wykluczam, nikt nie lubi nekrofilów, a w kryminalach dzieją się różne rzeczy.

Zuzie zrobiło się jej żal, ale cóż, mleko się już wylało.

– Chciałaś wiedzieć, to ci powiedziałam. Nie jesteś już dzieckiem i poradzisz sobie z demonami przeszłości. Masz ich sporo, ale nie przejmuj się, ja ich mam niedużo mniej, choć o nekrofilu w rodzinie nie słyszałam i pewnie już nie usłyszę, bo jestem jedynym żyjącym potomkiem z rodu Lewandowskich. Po mnie nasza księga życia się zamknie, i to na amen.

– Jeszcze jest pani młoda, może warto postarać się o spadkobiercę?

Na takie dictum Zuza się roześmiała.

– To musiałyby być ciąża ekspresowa niczym u królika, bo chyba zapominasz, że moje dni są policzone. Jak wychodzi z prostego rachunku, zakończenie dziewięciomiesięcznego stanu błogosławionego wypada gdzieś z trzy miesiące po czasie.

– Po jakim czasie? Nie rozumiem.

– Po tym, jak mnie diabli wezmą.

– Boże, pani Zuzo, proszę tak nie mówić. – W oczach aplikantki pojawiły się łzy, po czym wybiegła z pokoju.

– Głupia beksa – warknęła Zuza pod nosem i sięgnęła po stocka. Nalała sobie pół kieliszka i zmusiła się do wypicia. Cholera, lekarstwa też są niedobre, skwitowała i znowu nalała. Tym razem było jeszcze gorzej. Nagle chwyciły ją torsje, ledwo dobiegła do łazienki. Wróciła po kwadransie, trupio blade na twarzy. Ziółka już na nią czekały, wypila je duszkiem. Poczwała się ciut lepiej. Spojrzała z niechęcią na

stertę dokumentów, to wszystko musiała przejrzeć, same bieżące postępowania. Jeszcze poczekają, wzięła się do lektury „Trybuny Mazowieckiej”. Na drugiej stronie jej uwagę przykuł tytuł artykułu – Tajemnicza kradzież z GS Biała. Bodajże dwa lata wcześniej jej klientem był prezes tej spółdzielni. Chodziło wtedy o grube przekręty na węglu. Waga, na której ważono ciężarówkę, wskazywała ciężar niezgodny ze stanem faktycznym, oczywiście na korzyść magazyniera. Jak się okazało, ktoś przyłożył do tego rękę i ten ktoś dzielił się zyskami z prezesem. Tym razem ktoś ukradł nawozy. Natychmiast pomyślała o Wieczorku i jego szalonym planie. Czyżby to była jego robota?

Zadzwoiła do Nowaka.

– Widziałeś artykuł w „Trybunie”?

– Nie, jak poszedłem do kiosku, to już nie było. Co tam takiego ciekawego, że z tym dzwonisz?

– Ktoś ukradł sporo nawozów i akurat tych wybuchowych. Musimy za wszelką cenę znaleźć Wieczorka, zanim zrobi jakąś głupotę. Przyjedź po mnie, to pojedziemy do Łącka i przyciśniemy tę jego byłą miłość. Ona na pewno coś wie. Trzeba z nią na poważnie porozmawiać.

– Dobrze, ale najpierw pójdę na rynek po ziemniaki i kapustę.

W komendzie wojewódzkiej wrzało. Zastępca biegał po korytarzach i krzyczał:

– Gdzie jest Mariański?! Dawać mi tu tego skurwysyna! Własnoręcznie go zapierdolę!

Po mieście krążyły patrole, wszyscy szukali kapitana.

Opara już od godziny był na dywaniku u samego szefa i zaklinał się, że nic nie wie na temat Mariańskiego, a tym bardziej nie zna miejsca jego pobytu.

– Słuchajcie, szeregowy Opara. Przed wami drzwi do kariery w milicji zatrzasnęły się bezpowrotnie, teraz bójcie się, żeby nie otworzyły się te prowadzące do kryminału.

– Jestem kapralem – sprostował.

– Chyba wiem, jaką macie szarżę, szeregowy. Pytam ostatni raz: gdzie ukrywa się szeregowy Mariański?

– Nie wiem. Może znowu sobie strzelił w łeb.

– To byłoby najlepsze rozwiązanie, ale ten fajtapa nawet to spierdolił. Odmaszerować! Aha, gdybyście go zobaczyli, to powiedzcie mu, że emerytura szeregowego jest za mała, żeby żyć, a za duża, żeby umrzeć. A teraz precz z moich oczu, bo nie ręczę za siebie.

Zadzwoił telefon.

– Macie już tego skurwysyna?! Wyrzuciliście go na zbity pysk z milicji?

– Jeszcze nie, towarzyszu Gutkowski, proszę się uspokoić. Na pewno go dorwiemy, to tylko kwestia czasu. Przed nami nikt się nie ukryje, a tym bardziej ten dureń.

– Jak mamy się uspokoić, kiedy ten skurwysyn tak nas poniżył przed wszystkimi? Połowa Płocka śmieje się z nas, że milicja spuściła nam łomot.

– Skąd to wiedzą, skoro kazałem swoim ludziom milczeć?

– Nie wiem, może ten Mariański to rozgłasza.

– Niemożliwe, to dureń, ale lojalny. Nigdy by tego nie zrobił.

– Bronicie go, towarzyszu? Jak mam to rozumieć?

– Nie bronię i obiecuję, że zostanie zdegradowany, a potem go wypierdolę na emeryturę.

– Tylko tyle? Więcej się po was spodziewaliśmy. Nikt nigdy tak nas nie upokorzył.

– To co mamy zrobić, zastrzelić go?

– Macie go aresztować i wsadzić do więzienia. Tego od was oczekuję. Inaczej wy za to bekniecie. Wiecie, jakie ja mam koneksje w Warszawie? Jeden telefon i wypierdalacie na wiejski posterunek, i to w podskokach. Będziecie tam krowom cycki liczyć. Czekać na wiadomość.

Major odłożył słuchawkę na widelki.

Chustką przetarł spocone czoło. Na szybko analizował sytuację. Groźby sekretarza traktował całkowicie poważnie, bo za dobrze znał tego sukinsyna, żeby ludzić się, że tamten odpuści. Trzeba działać, nie pozwoli, żeby Mariański pociągnął go na dno. Wykręcił do prokuratora Sawickiego.

- Cześć, Marian, potrzebuję pomocy. Słyszałeś o Mariańskim?
- No pewnie, wszyscy mają ubaw po pachy. Nie chciałbym być w jego skórce, zadarcie z Gutkowskim to czyste szaleństwo. Chyba bezpieczniej jest wejść do klatki z głodnym tygrysem.
- On żąda, żebym Mariańskiego wsadził do pierdła. Pomóż mi.
- Na jakiej podstawie?
- Spałowano Gutkowskiego, poniżono go.
- Gdyby za to zamykać, to komendy świeciłyby pustkami. - Prokurator się zaśmiał. - Przecież wy najpierw pałujecie, a dopiero później ustalacie, czy doszło do przestępstwa.
- Ale nie pałujemy sekretarza partii. Mariański podniósł rękę na przedstawiciela władz, na prawdziwego komunistę. To jest działalność antypaństwowa, a na to jest paragraf.
- Ty tak na poważnie? Mariański jako element wywrotowy? Kurwa mać, to jest mocno naciągnięte.
- Owszem, ale nie zamierzam za niego nadstawiać karku. Spreparujcie jakiś akt oskarżenia i załatwcie, żeby sędził sędzia Skwarek. On posyła do pudła tych z Solidarności, to i jego pośle.
- Sędzia jest bezstronny, nie wiem, czy go skaże.
- Weź, nie pierdol mi tu takich głupot. Skwarek jest tylko wykonawcą waszych decyzji. Wszyscy o tym wiedzą.
- Zobaczą, co da się zrobić. Muszę kończyć, bo przyprowadzono mi aresztanta.
- Ja ci przyprowadzę następnego, szeregowego Mariańskiego, i to niebawem.

Mariański leżał na łóżku i patrzył w sufit. Na salę wszedł doktor Torbicki i od razu podszedł do kapitana.

- Jak się czujecie, towarzyszu?
- Widzę Lewandowską - zaczął szeptem. - Ona stoi za oknem i mnie śledzi. Boję się.
- Spokojnie, nie damy was skrzywdzić. Nikt tu nie ma dostępu. Poleżycie sobie z miesiącem, to i Lewandowska się wami znudzi.
- Miesiąc? - Kapitanowi aż oczy zabłyśły. On może tu leżeć i dwa, byle nie wracać do pracy.
- Mniej niż tyle czasu to nie ma sensu, trzeba znów dobrać lekarstwa. - Lekarz najwyraźniej źle zrozumiał jego pytanie. - Zaraz pielęgniarka przyniesie wam te zielone pastylki, co ostatnio, a od jutra rozpoczniemy badania i dołożymy jeszcze żółte.
- Dziękuję, obywatelu doktorze, wierzę, że mnie uratujecie.
- Uratujemy, uratujemy. Od tego tu jesteśmy.
- Lekarz poklepał kapitana po ramieniu i wyszedł z sali. Na korytarzu natknął się na siostrę Mariannę.
- Czy ten słój wypełniony formaliną jest jeszcze na oddziale?
- Tak, panie doktorze, u pielęgniarek w dyżurce.
- Przynieście go do mnie, może się przydać.

Olecki stał na przystanku PKS na płockich rogatkach i czekał na autobus. Po dobrym kwadransie nadjechał jelec, popularny ogórek. Mężczyzna wsiadł do środka, kupił u kierowcy bilet, po czym ruszył w głąb pojazdu w poszukiwaniu siedziska. Jedno było wolne i akurat po sąsiedzku z miejscem zajęтым przez Ankę, była dziewczyną Wieczorka.

- Wolne? - spytał pro forma i usadził tylek.
- Czytałam „Trybunę Mazowiecką”, ta kradzież to wasza sprawa? - zaatakowała go.
- Rozejrzał się nerwowo, po czym nachylił się do niej.

– Ciszej – szepnął. – Lepiej niech nikt tego nie słyszy. Tu wszędzie pełno komunistycznych szpicli.
– Obydwa macie już jakąś fobię. Wszędzie widzicie szpicli. Pytam, czy to wasza sprawka.
Kobieta z trudem się hamowała, żeby nie wybuchnąć.
– Może tak, a może nie – odparł, głupio się uśmiechając.
– Co może tak, a może nie? Chyba wiesz, czy to zrobiłeś czy nie. Mów mi zaraz, bo pójdę na milicję i wszystko opowiem.

Zmarszczył brwi, zrobił posępną minę.

– Grozisz mi? – warknął.

– Na razie jedynie pytam. Odpowiesz?

– Spytaj tego twojego Janka.

– To nie mój facet, jedynie się przyjaźnimy i nic więcej.

– Dobra, dobra, widzę, jak na siebie patrzycie, jak on się ślini. – Zarechotał.

– Jesteś obrzydliwy.

Wzburzona poderwała się z miejsca i poszła na przód autobusu. Wolała pokonać trasę na stojąco, aniżeli siedzieć obok Oleckiego.

Obydwoje wysiedli w Łącku. Kobieta poszła w stronę swojego domu. Nie zauważyła, że Butapren poszedł za nią, że ją śledzi. Być może dlatego, że trzymał się od niej w sporej odległości. Dopiero kiedy przechodziła nieopodal zagajnika, podbiegł do niej od tyłu i zupełnie zaskoczona wciągnął w zarośla. Broniła się, ale nie miała szansy w mocowaniu się z bardzo silnym mężczyzną.

– Puść mnie, czego chcesz!? – krzyczała.

– Nie będzie mnie byle szmata szantażować. Nie przeszkodzisz nam! Nie pozwolę na to – wycedził, po czym chwycił ją za gardło i zaczął dusić. Opierała się, za wszelką cenę próbowała uwolnić się ze stalowego uścisku jego dłoni, ale z upływem czasu jej opór słabł. W pewnym momencie ręce Anki opadły, kobieta znieruchomiała. Olecki pośpiesznie wciągnął swoją ofiarę do pobliskiego rowu, zerwał z niej dolne odzienie, żeby wyglądało to na atak zboczeńca, i przykrył ciało gałęziami.

– Teraz, suko, na pewno będziesz milczeć – mruknął pod nosem i rozglądając się czujnie, wyszedł z zagajnika.

Zuza wsiadła do samochodu Nowaka i ruszyli do Łącka. Na stacji benzynowej w Radziwiu sierżant miał znajomości i dzięki temu paliwo zatankowali poza przydziałem kartkowym. Kiedy zamierzali udać się w dalszą drogę, przed dystrybutor podjechała szara nysa. Zuza odruchowo spojrzała na jej rejestrację. Dwie cyfry się zgadzały, były identyczne jak na kartce otrzymanej od pana Tadzia. W jej głowie natychmiast zapaliło się światełko ostrzegawcze.

– Zjedź na bok, poczekamy tu chwilę – szepnęła.

– Czemu szepcesz? – Nowak zaśmiał się. – Jesteśmy tu sami.

– Z przyzwyczajenia, w tym kraju tak jest bezpieczniej, bo nawet ściany mają uszy. Chcę przyjrzeć się kierowcy tego samochodu. To jest szara nysa.

– Zgoda, choć co druga nysa jest szara, a słyszałaś najnowsze wiadomości o Mariańskim?

– Nie. Co z nim? – Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Zniknął, wszyscy go szukają. Normalnie zapadł się pod ziemię. Komendant odgraża się, że go zdegradowuje, a Gutkowski obiecuje, że skończy w kryminale.

– Znając go, jestem gotowa w to uwierzyć. Skoro kapitana nigdzie nie ma, to na pewno gdzieś w lesie dynda na gałęzi lub strzelił sobie w łeb, byle tylko skuteczniej niż poprzednio. Myślę, że za kilka dni wszystko się wyjaśni. Wracając z Łącka, skręcimy na Górki. Trzeba zobaczyć, czy i ostatnia kobieta została tam przewieziona.

– Znów chcesz tam wejść? Nie masz dość?

– O nie, kochanieńki, ty tam wejdiesz. Ja poczekam w samochodzie. Znasz mnie, nie cierpię takich widoków i od razu puszczam pawia.

– Niech tak będzie. A co z Marcinkowskim? Dawno o niego nie pytałem. Co z nim zrobisz? Przecież nie możesz go tak trzymać w nieskończoność.

– Dla mnie termin nieskończoność równa się sześć miesięcy. Stać mnie na zapewnienie mu opieki do tego czasu, a później to już nie będzie mój problem. Łudzę się jednak, że odzyska przytomność. Już raz tak było, ale tylko na chwilę. Doktor Kalicki twierdzi, że tli się jeszcze isierka nadziei, i tego się kurczowo trzymam.

W tym momencie nysa ruszyła spod dystrybutora.

– Cholera, zagadaliśmy się i nie widziałam kierowcy! – Zuza nie kryła rozczarowania. – Trudno, jedyziemy dalej.

Pomknęli w stronę Gór i po chwili dogonili nysę.

– Nie wyprzedzaj go – rzekła. – Zobaczymy, dokąd zdąży.

Długo za nią nie jechali, bo skręciła do Grabiny. Być może to był ten sam kierowca, który pożyczył im lewarek.

W Łącku od razu zajęchali przed budynek administracyjny stadniny. Z trudem zaparkowali pikapa, bo nie było miejsca. Nowak spojrział na rejestrację wołgi i fiata stojących na głównym podjeździe.

– Jest tu milicja, to są nieoznakowane radiowozy z Gostynina.

Zuza poczuła niepokój. Coś się musiało wydarzyć. Z budynku wyszedł jakiś mężczyzna w garniturze i podszedł do nich.

– Obywatele do kogo?

– Do pani Ani z biura. Mamy do niej sprawę – odparła.

Zmierzył ich czujnym spojrzeniem.

– Jaką sprawę? O co konkretnie chodzi?

– Chciałam nauczyć się jeździć konno i myślałam, że mi to jakoś ułatwi – kłamała jak z nut. – Zapłacę oczywiście, nie chcę niczego za darmo. Kiedyś wspominała mi, że są tu prowadzone takie szkolenia.

– Obywatelka Anna Dąbrowska nie żyje, proszę stąd odjechać.

Kurwa mać, Zuza zakłęła w duchu.

– A co się stało? Wypadek?

– Została zamordowana, proszę już odjechać. – Mężczyzna zaczął się niecierpliwić.

Tego się nie spodziewała, sąsiadka wspominała, że Wieczorek wciąż jest w niej zakochany, a tacy raczej nie zabijają. Nie było sensu się opierać, zapakowali się do samochodu i pojechali w stronę Płocka.

– Myślisz, że to robota tego Wieczorka? – spytał sierżant.

– Nie mam pojęcia. Jedno jest pewne: wiedziała za dużo, więc się jej pozbyli. Może po rozmowie ze mną chcieli ich wydać? Tak czy owak, szykują się do zamachu, i to na poważnie. Trzeba pilnie ustalić, gdzie mogli się wynieść. Muszę pójść do aresztu i mocniej przycisnąć tego Weselnika, który jest podejrzany o zabójstwo Marcinkowskiego. Coś wspominał o jakiejś starej leśniczówce. Może mi przybliży jej adres, bo wokół Płocka są tysiące hektarów lasu i pewnie dziesiątki leśniczówek.

Wieczorek miał się po izbie niczym zranione zwierzę. Co chwila wycierał oczy chustką.

– To nie może być prawda. Nie wierzę. Może ci się coś pomyliło? – zwrócił się do Butaprena.

– Nie, w Łącku aż huczy o tym. Słyszałem, że dorwał ją jakiś zboczeniec, ale zanim zamordował, to najpierw ją brutalnie zgwałcił.

– Skurwysyny, to pewnie jakiś komuch! Tylko oni są do tego zdolni! – wykrzyknął.

– Też tak myślę. Oni są bezkarni i dlatego należy im się nasza zemsta. Wysadzimy ich wszystkich, bum, i chuj ich strzeli.

Wieczorkowi pokazały się w oczach jakieś dziwne, szalone ogniki.

– Tak, tak, wysadzimy tych skurwysynów – szeptał. – Pomścimy Ankę. – Spojrzał na Oleckiego. – Kiedy zwieziesz tu te nawozy? Potrzebuję ich.

– Spokojnie, musimy odczekać trochę, aż się sytuacja uspokoi. Ostatnio w Radziwiu często przetrząsają ciężarówkę, czegoś szukają.

– Nawozów?

– Nie sędzę, to jakaś grubsza sprawa. Ponoć szukają zbiegłego milicjanta, i to jakiejsz szychy.

– Dobra, jeszcze poczekamy, a teraz jedź do Płocka na ulicę Kilińskiego. Tam stoi samotna kamienica od strony jednostki wojskowej. Na pierwszym piętrze mieszka Barecki. Powiedz mu, że jesteś ode mnie. On ci coś da i ty to przywieź, tylko ostrożnie, bo może wybuchnąć.

– Co to jest? Chyba nie nitrogliceryna, bo mi jest życie miłe, a drogi dziurawe.

– Spokojnie, to tylko dwie laski dynamitu, bo potrzebujemy zapalnika do naszej bomby. Myślę, że na najbliższe posiedzenie sejmu będziemy gotowi.

Pikap Nowaka zatrzymał się nieopodal pomnika Broniewskiego. Sierżant wcisnął Zuzie w rękę pistolet, po czym uzbrojony w latarkę oraz wytrych opuścił pojazd i udał się w stronę Górek. Zuza czekała w samochodzie, bacznie obserwując otoczenie. W razie gdyby zobaczyła nadjeżdżającą szarą nysę lub czarną wołgę, miała przyjść Nowakowi z odsieczą.

Wrócił po kwadransie, usiadł za kierownicą i głęboko oddychał.

– Co ci jest? Źle się czujesz?

– Nic, ale wietrzę płuca po tym smrodzie. Jest jeszcze gorzej niż ostatnim razem.

– Znalazłeś tę kobietę? Dowieźli ją?

– Widziałem ją, została tylko jedna pusta trumna.

– Czyli jak nie teraz, to możemy go w ogóle nie złapać, bo podejrzewam, że na ostatniej zakończą te swoje krwawe rytuały.

– A masz jakiś pomysł?

– Jeszcze nie. Nie znamy schematu ich działania, nie wiemy, jakimi kryteriami się kierują przy wybieraniu ofiary. Kurwa mać, tak naprawdę to my nic nie wiemy! – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Całe to obserwowanie kamienicy przy Grodzkiej nic nie dało i chyba nie ma sensu tego kontynuować. Może trzeba przenieść się na Górki? Czemu w ogóle nic nie wiemy? Zawsze potrafiłam coś wykombinować, znaleźć rozsądne rozwiązanie, a teraz bez sensu walę łbem w mur. Wszystko przez to cholerne raczycho, siedzi mi w głowie i zatruwa myśli. Koniec z tym, wywalam lekarstwa i zaczynam normalnie żyć.

– Daj spokój, ta sprawa jest inna niż poprzednie. To nie twoja wina. – Nowak starał się ją uspokoić. – Wiem, że coś wymyślisz, ale błagam, bierz leki. One ci pomagają.

– Co ty wiesz? Co mi pomagają? Wiesz, ile schudłam? Dziesięć kilogramów, rzuciłam palenie i koniak. I ty mówisz, że leki mi pomagają? Jak tu żyć, powiedz?

– Normalnie, jak większość ludzi, jak ci bez nałogów.

– Kurwa mać, ty sobie tak żyj, ale mnie nie ustawiaj życia, a w ogóle to nie twoja sprawa. I gówno ci do tego.

Energicznym ruchem ręki otworzyła drzwi, po czym opuściła samochód.

– Idę piechotą – oznajmiła zaskoczonemu sierżantowi i poszła.

Ruszyła schodami w dół nad Wisłę. Usiadła na ławce i zapaliła papierosa. Trzy razy się sztachnęła i zgasiła.

– Poczęstujesz, kochanieńka, fajką?

Wanda Talarska, prostytutka, przysiadła się do niej.

– O, pani mecenas? – Dopiero teraz ją poznała. – Pardon, nie przeszkadzam?

– A coś ty, Wanda, taka kulturalna? – zadrwiła Zuza. – Przeszłaś do wyższej sfery i obsługujesz Francuzów?

– Miałam takiego jednego, gadał, że Francuz, że ma franki, mówił jak zagranicznik, a ja głupia uwierzyłam i dałam mu, zanim zapłacił. Kiedy było już po wszystkim, to żeby mi nie płacić, wypierdolił przez okno, ale Bozia go pokarała, zapomniał, że to piętro, i sukinsyn zламаł kulasa. Wył z bólu, już nie po obcemu, ale jakoś tak swojsko. – Parsknęła śmiechem.

Zuza poczęstowała ją ekstra mocnym.

– Mocne. Nie ma pani słabszych?

– Może marlboro? Przepraszam, ale nie mam – zakpiła.

– No dobra. Mogą być.

Zapaliła, czemu Zuza przyglądała się z zazdrością. Też by tak chciała.

– Był u mnie Piosik – zaczęła prostytutka. – Gadał, że ma oko na pewną chatę. Myślałam, że chce ją wyczyścić, a on, że to co innego, że tajemnica.

– Jestem pod wrażeniem. – Zuza pokręciła głową z podziwem. – Myślałam, że ma problem z trzymaniem języka za zębami.

– I ma. Zrobiłam mu dobrze i wszystko szybko wyśpiewał.

– A to kutas!

– Spokojnie, pani mecenas, dobrze, że tak się stało, bo co nieco wiem. Myślę, że to panią zaciekawia.

– To znaczy? Mów jaśniej. Wiesz coś na temat mieszkania przy Grodzkiej?

– Nie, nawet nie wiem, gdzie to dokładnie jest, miałam na myśli pewnego klienta.

Zuza zerknęła na nią z zainteresowaniem. Czyżby miało dojść do przełomu w jej śledztwie?

– Chyba mi nie powiesz, że opowiedział ci, jak kogoś zamordował?

– Gorzej, twierdził, że puka babki, jedną po drugiej. Na to ja parsknęłam śmiechem, wielu tak pierdoli, a jak przyjdzie co do czego, to jeden numerek i pasują. Śmiech mnie ogarnia, jak widzę ich wiszące miękiszony. Moja gadka go wkurwiła, bo go wpierv nie zrozumiałam. Skurwysyn nagle mnie chwycił i rzucił mną o ścianę. Do dziś kuruję żebra. Zagroził, że będę ostatnia, że jak nastanie czas, to przyjdzie po mnie, a wtedy pożałuję, że go wykpiłam. Dwa razy powtórzył, że będę ostatnia, że zaraznie mnie jak świniaka i spuści ze mnie krew na kaszankę.

Zuza natychmiast powiązała fakty. Nowak mówił jej o jednej wolnej trumnie. Czyżby to był zabójca? Jeśli tak, to wystarczy śledzić Talarską i nakryć tego świra na gorącym uczynku.

– Jak wyglądał? Chcę jego rysopis.

– Przystojny, blondyn, niebieskooki. Nie wyglądał na zabójcę. Początkowo był nawet grzeczny, opowiedział mi jakiś dowcip, ale go nie zrozumiałam. Opowiedział mi następny i też nie skumałam. W końcu tylko machnęła ręką. Dziwne były te jego kawały.

– Może miał jakieś znaki szczególne? Blizny?

– Nie, choć muszę przyznać, że miał bardzo dużego, takie monstrum – odparła prostytutka, nie kryjąc zachwyty.

– To trudno nazwać znakiem szczególnym, no chyba że w burdelu. Zapłacił ci za usługę?

– Owszem, nawet się nie targowałam, ale wszystko się zmieniło, kiedy zaczął mi opowiadać o tych puknięciach. To jakiś świr, normalne chłopcy tak się nie zachowują. Nieraz dostałam po pysku, a to od pijanych czy jakichś raptusów, ale nikt nigdy nie rzucił mną o ścianę.

– Kiedy to było?

– No, dokładnie to nie wiem.

– Kurwa mać, skup się i przypomnij sobie, może tydzień temu, dwa, a może kilka dni?

– To nie było dawno, chyba cztery dni temu.

– Jeśli to ten świr, którego mam na myśli, to musisz uciekać, bo on nie rzuca słów na wiatr. Przyjdzie i cię zabije, tak jak zamordował kilka innych kobiet.

Prostytutka zbladła.

– Boże, myślałam, że on tylko w gębie mocny.

– Nie, on ci powiedział prawdę, puka babki jedną po drugiej.

– A gdzie ja się podzieję? Chyba że pójde do kumpeli, ale nie wiem, co ona na to.

– Spieprzaj stąd, nawet się nie wahaj.

Zuza dzwignęła się z ławki i poszła w stronę amfiteatru. Po drodze spotkała pan Zdzisia, siedł na ryby.

– Co tak późno? – spytała ze zdziwieniem, bo pora była mocno nietypowa.

– Od rana stałem w kolejce po regał, teraz mnie stara zmieniła, to korzystam. A co z tym pułkownikiem, żyje?

– A skąd mam wiedzieć?

– Dobra, dobra, znam panią. – Puścił do niej oko. – Nie zostawiła go pani na pastwę losu.

– Wciąż nieprzytomny, ale nie tracę nadziei.

– Wykurować, żeby później skazać i powiesić. Ma pani rację.

Poszli, każde w swoją stronę. Zuza po wdrapaniu się na Wzgórze Tumskie skierowała kroki do kancelarii. Jolka czekała na nią już w proggu.

– Mam coś – zameldowała, cała podekscytowana.

– Dobra, chodź do mojego gabinetu. Tylko najpierw zaparz mi tych ziółek co ostatnio. Lepiej się po nich czuję.

– Już zaparzone, czekają na biurku.

Zuza pokręciła głową z podziwu. Takiej aplikantki to próżno szukać i ze świecą. Prawdziwy skarb. Szkoda, że aplikantury nie dokończy u niej. Mogłaby przejść kancelarię, mimo że jest spokrewniona z tym chujem Ludwickim. Rozsiała się w fotelu i rzuciła dziewczynie wyczekujące spojrzenie.

– No dawaj mi tu te rewelacje.

– Kolega ze szkoły pracuje w milicji, a konkretnie w Warszawie, a jeszcze konkretniej w wydziale zajmującym się osobami zaginionymi. Tam spływają meldunki z całej Polski.

– A tych z Solidarności, co to wszelki ślad po nich zaginał, też tam zarejestrowali? – zakpiła Zuza.

– Tego nie wiem. – Dziewczyna nie dała się zbić z tropu. – W okolicach Płocka w ciągu ostatniego roku zaginęły cztery kobiety odpowiadające naszym rysopisom.

– Nazwiska!

– Wesołowska, Marciniak, Rogucka i Oskroba.

Zuzie serce zabiło mocniej. Oskroba to nazwisko wymienione podczas jej pierwszej wizyty w mieszkaniu przy Grodzkiej. Rogucka też coś jej mówiło. To pewnie ta ostatnia z denatek. No tak, teraz sobie przypomniała, skąd znała tę twarz. Kiedyś odwiedzała znajomego w gostynińskim szpitalu i kiedy weszła, tamta akurat podłączała mu kroplówkę. Zamieniły kilka słów i tyle. Czemu ją zapamiętała? Pewnie dlatego, że była sympatyczna, co nieczęsto zdarza się personelowi medycznemu.

Jolka podała jej kartkę.

– To jest lista z datami ich zniknięcia.

– Zuza zerknęła na nią i od razu coś przykuło jej uwagę.

– O kurwa mać, zauważyłaś coś dziwnego w tych datach?

– Nie, a co tam jest takiego?

– Znikały według pewnego schematu, i to bardzo dokładnie druga po miesiącu od pierwszej, później po trzech tygodniach, potem po dwóch. Czyli lada dzień porwie kolejną ofiarę.

– O mój Boże, następna zginie!

Na twarzy Zuzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

– Może nie. Tym razem wiemy, kto będzie ofiarą, i to jest nasza szansa, żeby skurwiela dorwać. A co z Gutkowską? Czegoś się dowiedziałaś?

– Pani Zuzo, nie było kiedy. Przygotowywałam materiały do sprawy Michalskich. Miałam też przypomnieć, że rozprawa jest jutro o dwunastę.

– Cholera, zupełnie zapomniałam. Zamierzałam jutro iść do aresztu, żeby zobaczyć się z Weselnikiem, tym, którego oskarżają o zabicie Marcinkowskiego.

– Ja też o czymś zapomniałam. Dzwoniła pani sprzątaczką i kazała powiedzieć, że ktoś się obudził. Nie wiem, o co chodzi. Chciałam dopytać, ale ona odłożyła słuchawkę.

– Dopiero teraz mi to mówisz?! – Zuza poderwała się na nogi, zarzuciła na siebie płaszcz, chwyciła torebkę i wybiegła z pokoju. Zbiegając na dół, źle postawiła nogę i urwała obcas.

Kurwa mać, jak się nie wiedzie, to już na całego, zakłęła w myślach. To były włoskie czółenka, w przeliczeniu na sprawy sądowe kosztowały dwa rozwody, bez orzeczenia o winie. Trudno, teraz to się nie liczy. Z bólem serca oderwała drugi.

Wpadła do mieszkania niczym kula armatnia, z wielkim hukiem. Geńka akurat była nachylona nad Marcinkowskim i coś do niego mówiła. Miał oczy otwarte, ale nie reagował. Dopiero na widok Zuzy jego spojrzenie się zmieniło. Widziała, że chce coś powiedzieć, ale brakuje mu sił. Nachyliła się niżej. Może usłyszy szept.

– Zuza o... – Tyle usłyszała, nim pułkownik ponownie stracił świadomość.

– Cholera jasna! – zakłęła i spojrzała na Geńkę. – Może wcześniej coś powiedział? Każde słowo jest ważne.

– Nie, pani mecenas. Milczał jak grób. Pamiętałam, żeby zapisać. O, proszę, mam kartkę i ołówek. – Wskazała jej podbródkiem.

Wszystko na nic, a na dodatek włoskie buty do wyrzucenia. Marcinkowski zaczynał ją coraz więcej kosztować. Zmieniła buty i poszła na powrót do kancelarii. Po drodze zwolniła Piosika z dyżuru. Nowa sytuacja zmuszała ją do zupełnie innych działań. W jej głowie zagnieździł się istnie szatański plan.

Zaraz po dotarciu na miejsce wezwała do siebie aplikantkę. Spojrzała na jej wzorzystą sukienkę.

– Jak ty, kurwa, wyglądasz? Jak jakaś papuga! Wybierasz się do Grabiny na plażę czy co? Dobra, nieistotne. – Machnęła ręką z rezygnacją. – Co z tymi Gutkowskimi? Czas chyba zamknąć tę sprawę. Odupść szukanie następnej posesji, po tej wpadce w Dębowej Górze będą czujni. Pogmeraj w jej pochodzeniu, rodzinie, popytaj o nią, ale dyskretnie. Nie chcę dodatkowych kłopotów, bo i tak mam ich sporo.

– Tak jest szef... – Jolka urwała w pół słowa i zaraz się poprawiła: – ...pani mecenas.

Opara zapukał do drzwi majora.

– Wejść! – dobiegło z gabinetu.

Milicjant skrycie się przeżegnał i wszedł do środka.

– Czego chcecie, szeregowy? Nie widzicie, że jestem zajęty? – ryknął na niego zwierzchnik.

– Melduję, że znaleźliśmy kapitana Mariańskiego.

– Szeregowego Mariańskiego, kurwa mać, ile razy mam to powtarzać, żeby wbić wam to w ten pusty łeb? Przyprowadzić mi go tu, i to mi giem.

Opara podrapał się, zakłopotany, po głowie.

– Jest problem – wydukał, zerkając nerwowo na majora.

Ten raptownie poderwał się zza biurka. Jego oczy ciskały błyskawice.

– Kurwa mać, jaki znów kłopot, co wy pierdolicie? Utopił się? Powiesił? A może strzelił sobie w łeb, ale tym razem skutecznie? Gadajcie!

– Jest w Gostyninie, u czubków.

– Co?! Jaja sobie jakieś robicie?!

– Nie, obywatelu majorze. Dzwonili do nas ze szpitala, że jest na chorobowym.

– A skąd on się tam znalazł? Że czubek, to każdy wie, ale jest za głupi, że to wymyślić. Pewnie ktoś mu pomógł. Szukajcie zdrajcy, i to już.

Opara był przerażony.

– Ale gdzie?

– Jak to gdzie? Kurwa mać, w komendzie! Wypierdalać mi stąd i przynieść mi na tacy głowę zdrajcy. Szeregowy zbladł.

– Mam mu głowę uciąć? – wyszeptał.

– Dureń! Wynocha stąd, precz z moich oczu!

Ledwie Opara wyszedł, major złapał się za własną głowę w geście rozpacz.

– Z kim mi, kurwa, przyszło pracować?

Mariański leżał na łóżku i tępo patrzył na sufit, ale w jego głowie zachodziły procesy dotąd mu nieznanne, bo dwie kulki się spotkały i Mariański zaczął myśleć. Był z siebie dumny, że udało mu się wszystkim wykiwać.

W tym samym czasie w gabinecie lekarskim doktor Torbicki dyskutował z innym lekarzem na temat zdrowia kapitana.

– Przypadek beznadziejny. W jego umyśle siedzi niejaka Lewandowska. Naszpikujemy go psychotropami, a potem zaordynujemy serię elektrowstrząsów.

– Panie kolego, nie zgadzam się z panem. Jego szuka milicja, ukrył się u nas przed odpowiedzialnością.

– Bzdura – zachnął się Torbicki. – To jest idiota. Wiem, co mówię, bo widziałem jego mózg, jest gładki niczym dupa niemowlaka.

– Skoro pan tak uważa, to proponuję zmienić kolejność. Najpierw zaaplikujemy mu elektrowstrząsę. Zobaczymy, jak je zniesie.

– Byle nie za dużo amperów, bo mi zniszczycie rzadki eksponat.

– To znaczy?

– Wciąż nie tracę nadziei, że ten mózg wzbogaci moje zbiory.

Do pokoju zajrzała pielęgniarka i przerwała im dyskusję nad walorami zawartości głowy kapitana.

– Przyszła jakaś kobieta, milicjantka. Chce odwiedzić pacjenta Mariańskiego. Czy mam ją zaprowadzić?

– A konkretnie czego chce? – spytał Torbicki.

– Mówi, że jest prywatnie.

– Jeśli prywatnie, to ją zaprowadź, ale bądź czujna. Nie oddam go, i to za żadne skarby.

Pawłowicz wtoczyła się na salę, ciężko sapiąc. Ruszyła w stronę łóżka, na którym leżał kapitan.

Ten, widząc ją, wyskoczył z niego niczym z procy, podbiegł do okna, otworzył je szeroko i wdrapał się na parapet.

– Odejdź, bo wyskoczę, jakem Mariański! – krzyknął.

– Ależ, kochanieńki, to ja, twoja kruszyna. Nie poznajesz?

– Poznaj! I dlatego wyskoczę, daję słowo! – wciąż krzyczał. Twarz jego stała się purpurowa, w oczach widać było obłąd.

Zbiegł się personel medyczny, doktor Torbicki i pielęgniarze.

– Towarzyszu Mariański, zejdźcie stamtąd. Nie bądźcie gł... – Lekarz się zaciął. Przecież kapitan jest głupi. – Porozmawiamy, a jak skoczą, to wszystko pójdzie na marne.

– Nigdy, wy nawet nie wiecie, co mi zrobiła. Ona jest nienasycona! – wciąż krzyczał.

Pawłowicz zwróciła się w stronę lekarza. Jej marsowa mina zapowiadała awanturę.

– Co wyście zrobili z moim misiaczkiem? Co wy mu podaliście? On mnie nie poznaje. Inaczej rzuciłby mi się w ramiona. On mnie kocha.

– Nie wątpię w to, ale proszę wyjść – rzekł Torbicki pojednawczo. Spojrzał znacząco na pielęgniarki.
– Proszę wyprowadzić tę obywatelkę.

Chwycili Pawłowicz pod pachy i z trudem wywlekli ją z sali.

Lekarz podszedł bliżej okna.

– Opamiętajcie się, zejdźcie z tego cholernego parapetu, jej już tu nie ma.

Kapitan zerknął w dół i kurczowo chwycił się futryny.

– Dajecie słowo?

– No zobaczcie, usunęliśmy tę kobietę. Ona już wam nie zagraża.

– No nie wiem. – Kapitan zaczął się wahać. – Ona jest przebiegła. Łatwo nie odpuści.

– My jesteśmy jeszcze sprytniejsi. Więcej jej nie wpuścimy na oddział, daję wam słowo.

– No dobra. Wierzę wam, towarzyszu lekarzu.

Kapitan powoli zszedł na podłogę, po czym niespodziewanie chwycił Torbickiego za kłapy fartucha i przyciągnął go do siebie.

– Wiecie, co ona mi robiła?

– Nie, a skąd mam wiedzieć? – wydukał kompletnie zaskoczony lekarz.

Mariański nachylił się nad nim i coś mu szepnął do ucha.

Torbicki zbladł. Spojrzał niedowierzająco na kapitana.

– Serio? – wyszeptał.

– Całkiem, do dziś mnie boli.

– Też bym wszedł na parapet.

Zuza wracała do domu. Była bardzo zmęczona, dosłownie padała z nóg. Co chwila zatrzymywała się i odpoczywała. Wiedziała, że jak dotrze na miejsce, to też nie będzie lekko. Trzeba będzie wyprowadzić Borysa na smyczy za potrzebą, bo inaczej znów pójdzie na łajdactwo, i wyczyścić klatkę Zgagi, bo w tej materii nie mogła liczyć na Geńkę, papuga i sprzątaczkę od zawsze się nie cierpiały. O kota też należy zadbać i jest jeszcze Marcinkowski. Na pewno trzeba mu zmienić kroplówkę, a być może będzie wymagał więcej zainteresowania z jej strony, ale o tym wołała nawet nie myśleć. I wszystko to było na głowie człowieka zmagającego się z raczychem. Skąd miała na to wziąć siły? Tym bardziej że było z nią coraz gorzej. Od kilku dni wymioty stanowiły jej najmniejsze zmartwienie, bo doszły bóle mięśni i stawów. Zuza czuła podświadomie, że weszła w następne stadium choroby.

Na Starym Rynku, przemianowanym przez komunistów na plac Nowotki, gromadka dzieciaków rzucała nożem w stronę pobliskiego drzewa, próbując trafić w jego pień. Kiedyś by ich pogoniła, ale nie dziś. Nie chciało jej się szarpać z tymi gnojkami, bo to za bardzo przypominało jej walkę Don Kichota z wiatrakami – najpierw uciekną w popłochu, a kiedy odejdzie, wrócą. Weszła do swojej kamienicy i zaczęła wdrapywać się na górę. W połowie schodów spotkała Tomaszka. Widząc ją, zrejterował na powrót do siebie. Dobrze, niech się sukinynek boi. A swoją drogą, co ma wisieć, nie utonie, i tak go kiedyś dorwie i rozliczy za helikopter zrobiony z kota.

Ledwie weszła do mieszkania, usłyszała okropny jazgot Zgagi:

– Puuuuś chuuuuju! Puuuuś chuuuuju! Kuuurwa maaać!

Co tu się, do cholery, dzieje? Poszła zobaczyć i zdumiona stanęła w progu pokoju.

Kociak siedział przy klatce wbity pazurami w ogon papugi. Ta próbowała się uwolnić z jego szponów, ale robiła to bardzo nieudolnie.

Jak on się tu dostał? Przecież ma jedną łapę w gipsie.

– Wrzód, puść ją! – ryknęła Zuza i chwyciła napastnika na ręce, tym samym uwalniając arę.

Zgaga natychmiast podfrunęła do góry i usiadła na drążku.

– Kooooocham ciiiię! Kooooocham ciiiię!

Kociak wylądował na powrót na swoim legowisku, a Zuza sięgnęła do szafki po pyralginę. Ostatnio ciągle się nią wspomagała. Wzięła o jedną ampulkę więcej.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Była wściekła. Do cholery, kogo tu dziś przyniosło? Tak chciała już się położyć. Idąc otworzyć, rzuciła okiem na Marcinkowskiego, ale widok był taki jak zwykle.

Uchyliła drzwi, a tu ją czekało kompletne zaskoczenie.

Wielki bukiet czerwonych goździków, a za nim Kowalski, Nowak i aplikantka.

– Sto lat, sto lat... – odśpiewali na różne głosy i na różnym poziomie, ale na pewno wszyscy drażniąco dla uszu. No tak, teraz Zuze się przypomniało, przecież dziś miała imieniny. Przez to wszystko zupełnie jej wyleciały z głowy.

– Zabieramy cię do Nowoczesnej – oznajmił sierżant. – Ubieraj się, taksówka czeka. Wynająłem tę samą co ty, kiedy zaprosiłaś nas do prostytutki. Tak specjalnie, żeby był odpowiedni nastrój, żebyś się poczuła swojsko.

– Ale wtedy chociaż się dobrze bawiliście?

Nowak parsknął śmiechem.

– Najlepiej proboszcz, myślałem, że dostanie zawału. Jego mina była bezcenna. Jolka, zajmij się kwiatami, wstaw je do wazonu – zwrócił się do aplikantki, po czym chwycił Zuze za rękę i odciągnął ją na bok.

– Chodź do kuchni, mam sprawę na osobności.

Zamknął drzwi za nimi i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyjął z niej mały metalowy pojemnik, a z niego strzykawkę. Była wypełniona jakimś specyfikiem.

– Wiem, że jesteś bardzo zmęczona, ale to ci pomoże. Podwiń rękaw – rozkazał.

– Co to jest? – spytała Zuza.

– Nie pytaj – odparł tajemniczo. – Zaufaj mi.

– Rób, co chcesz, i tak jestem pod kreską.

Odsoniła całe ramię. Założył jej zacisk na rękę, po czym wbił igłę w żyłę i wpompował w nią całą zawartość strzykawki.

– Masz sporą wprawę – zauważyła. – Gdzie się tego nauczyłeś? W zaułkach Starego Miasta?

– W wojsku, byłem sanitariuszem, ale to dawne dzieje. Dobra, zabieramy się stąd, taksówkarz pewnie się niecierpliwi.

W moment zajechali na miejsce. Przy stoliku następna niespodzianka, czekał już na nich proboszcz, na powitanie serdecznie uściskał Zuze. Przed konsumpcją chciał odmówić modlitwę, ale widząc minę solenizantki, poniechał tego zamiaru. O dziwo, dziś koniak jej smakował, papierosy też, prawie je jadła i nie mogła się nimi najeść. Była w siódmym niebie. Pierwszy raz od lat wzruszyła się, patrzyła po twarzach biesiadników, to byli jej jedyni przyjaciele. Pewnie tylko oni uronią łzy, kiedy zejdzie z tego świata.

Wróciła do domu około północy i do tego w świetnym nastroju, choć szumiało jej w głowie, ale to pewnie z nadmiaru alkoholu. Wypuściła Borysa z mieszkania i z kieliszkiem koniaku w dłoni usiadła przy pułkowniku.

– I co ja mam z tobą począć, ty draniu? Do dziś nie wiem, czy dobrze zrobiłam, przygarniając ciebie. Może powinienes zdechnąć w tych nadwiślańskich krzakach. Czy same więzy krwi do czegoś mnie zobowiązują? To jest dobre pytanie. W końcu odzyskaj przytomność i wynieś się z mojego mieszkania, tak jak i z mojego życia. Twoje zdrowie, sukinsynu.

Wypila.

Nagle Marcinkowski się poruszył. Zuza pochyliła się nad nim, odstawivszy kieliszek. Powoli otworzył oczy, przez jego twarz przemknął delikatny grymas, chyba uśmiech, tak jej się w każdym razie zdało.

– Słyszysz mnie? – spytała.

Mrugnął oczami. Jest świadomy. Oby tylko znów nie odpłynął.

– Kto cię tak urządził i dlaczego?

Poruszył ustami, chciał coś powiedzieć, ale, ku przerażeniu Zuzy, ponownie znieruchomiał. Spanikowana, pobiegła do pokoju obok po lusterko. Przyłożone mu do warg, zaparowało. Odetchnęła z ulgą, żyje. Dobre i to. Może następnym razem pójdzie mu lepiej.

Z ulicy dobiegł ją dziwny hałas, podeszła do okna. Chodnikiem biegł Borys, a za nim jakiś rozwścieczony mężczyzna, który co chwila przystawał, żeby cisnąć kamieniem w kierunku psa.

– Ty sukinsynu! Niech cię dorwę, a obetnę ci te jaja, jak mi Bóg miły! – krzyczał.

Na szczęście miał źle wyregulowany celownik i fatalnie spudłował, przy okazji trafiając prosto w tylną szybę zaparkowanego trabanta. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a w chwilę potem zjawił się właściciel samochodu, i to w samej piżamie. Dopiero teraz zaczęło się dziać. Najpierw ostra utarczka słowna, później zjawił się syn poszkodowanego, blisko dwumetrowy byczek. Atmosfera robiła się coraz gorętsza, bo i do sprawy ściągnęły posiłki, jakaś kobieta, pewnie żona, i to sporej postury. Wkrótce utarczki słowne zakończono i uczestnicy przeszli do czynów, początkowo były przepychanki, a następnie dawanie sobie po pysku. Obudzili wszystkich mieszkańców okolicznych kamienic, paliło się już we wszystkich oknach, w końcu zbudzili się też milicjanci. Nadjechała suka milicyjna, wyskoczyło z niej czterech zomowców z długimi pałami, które zaraz poszły w ruch. Na koniec skuto delikwentów, wciągnięto ich do nysy i wywieziono w nieznanym kierunku. Światła w oknach na powrót zgasły, ulica się wyludniła. Nie wiadomo, skąd znów pojawił się Borys, podszedł do miejsca bójk i ostentacyjnie je obsikał.

To był okropny ranek, no cóż, teraz przyszło zapłacić, i to słono, za szalony wieczór. Zuza najpierw połknęła pastylki z buteleczek, później łyknęła pyralginę z dwóch ampulek, a mimo to zuła potworny ból w kościach. Kurwa mać, kończę się, pomyślała. Tak czy owak łatwo się nie poddam, najpierw muszę tu wszystko pozamykać. Ubrała się, akurat nadciągnęła Geńka. To dobrze, ogarnie Marcinkowskiego i zwierzaki. Zuza wyszła z domu, ale tym razem do kancelarii wybrała się samochodem. Od kilku dni w barze mlecznym był remont i śniadania jadła w biurze. Jolka codziennie przynosiła świeże pieczywo z pobliskiej piekarni, dzięki czemu zbytnio jej nie doskwierała ta niedogodność. Nie skończyła jeść, gdy zjawił się Nowak.

– Mam adres tej leśniczówki – oznajmił jej z dumą.

Zuza spojrzała na niego nic nierozumiejącym spojrzeniem. Coraz częściej zdarzało jej się o czymś zapomnieć, nieraz o bardzo ważnych sprawach.

– O czym ty, kurwa, mówisz? Jaka leśniczówka?

– Wieczorka, o której mówił ci ten aresztowany. Pokręciłem się po urzędzie gminy w Łącku, naczelnikowi machnąłem legitymacją przed oczami, narobiłem szumu i nagle komuś się przypomniało.

– Wciąż nabierają się na tę twoją starą książeczkę wojskową? – spytała z niedowierzaniem. – Nie masz przypadkiem przy sobie takiego zastrzyku jak wczoraj?

Sierżant spojrział na nią z niepokojem.

- Boli? Przykro mi, ale nie mam. Zgłoś się na Wawelską, to ci przepiszą, łaski nie robią.
- Domyśliłam się, że to była morfina, ale chyba z jakąś domieszką?
- Owszem, ktoś spłacił stary dług, ale nie mam możliwości, żeby to kupić.

Zuza podniosła się z miejsca.

– Dobra, jedziemy do tej cholernej leśniczówki, miejmy to za sobą, ale najpierw odwiedź Ludwickiego. On robił sekcję tej uduszonej w Łącku. Chcę się upewnić co do przyczyny jej zgonu.

Kiedy Zuza weszła do prosektorium, patolog akurat pruł jakiegoś nieboszczyka. Na jej widok odłożył narzędzia i rozpromienił się, co ją zdziwiło, bo od znalezienia kwitów Wiśniewskiego byli na wojennej ścieżce.

– Kogo moje oczy widzą? Już nie mogę się doczekać. No to kiedy? – spytał prowokacyjnie.

– Jeśli myślisz, że tu wyląduję, to się mocno zdziwisz. Do ciebie trafiają tylko ofiary zbrodni, a nie zwykli śmiertelnicy.

– Zuza Lewandowska nie jest zwykłym śmiertelnikiem. Nie martw się, zaopiekuję się tobą, i to odpowiednio, zanim pokroję cię na kawałki. Do głowy też zajrzę, a na koniec z czaszki zrobię popielniczkę.

– Ty skurwysynie, jedynie możesz sobie o tym pomarzyć. Spróbuj zbeczcześcić moje zwłoki, a zaraz wypłyną papiery na ciebie. Masz to u mnie jak w banku, a teraz gadaj o tej zabitej w Łącku, bo moją cierpliwość wystawiasz na wielką próbę.

Ludwicki wrócił do krojenia nieboszczyka. Zuza zerknęła na delikwenta, ale zaraz odwracała głowę.

– Nie muszę cię o tym informować, ale ze względu na długą przyjaźń – kpił w żywe oczy – mogę ci zdradzić, że to nie była napaść na tle seksualnym, lecz jedynie starano się to upozorować.

Tyle jej wystarczyło. Wiedziała na sto procent, czemu kobieta zginęła, a pozostawało tylko pytanie: kto ją zabił? Wszystko wskazywało na Wieczorka lub jego współnika.

Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę wyjścia.

– Do miłego zobaczenia. Stół już czeka – usłyszała zza pleców.

– Niedoczekanie twoje, skurwysynie.

Wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiami.

– Zdenerwował cię? – spytał Nowak. – Nie przejmuj się nim, to palant.

– Wiem o tym dobrze, odgraża się, że sprofanuje moje ciało.

– Nie dopuszczę do tego, możesz być spokojna.

– Jestem spokojna – skłamała. – Jedź już do tej leśniczówki. Mam nadzieję, że zabrałeś ze sobą spluwę. Jeden z nich zabił tę kobietę, a zatem są niebezpieczni.

– Może odpuścimy? Niech się nimi zajmie milicja.

– Nie, sama skończ tę sprawę. Ten Wieczorek nie daje mi spokoju, za bardzo był w niej zadurzony, żeby ją zabić. Jeśli moje przecucia się potwierdzą, to nie możemy dopuścić, żeby zgnił w mamrze tylko za to, że chciał komuchów wysadzić w powietrze. Przecież tego chce większość społeczeństwa.

Przy wyjeździe z Płocka zostali zatrzymani przez milicję. Funkcjonariusze za wszelką cenę starali się doczepić do czegokolwiek, ale nie mogli, bo samochód był sprawny technicznie. W końcu stwierdzili, że jest brudny. Dopiero wtedy sierżant się zdenerwował i pokazał książeczkę milicjanta rencisty. Wówczas dali spokój, a oni mogli jechać dalej. Pech ich jednak nie opuszczał, bo tuż za Górami złapali gumę, a nie mieli zapasu. Na szczęście na dnie bagażnika leżała nowa dętka. Dobrą godzinę zajęło mu zdjęcie opony z felgi, wymiana dętki, ponowne założenie opony i napompowanie koła. Dopiero wtedy mogli kontynuować podróż. Może z dwa kilometry za Grabiną skręcili w leśną drogę. Po przejechaniu podobnego dystansu sierżant zatrzymał pojazd.

– Dalej pójdziemy pieszo – rzekł, wysiadając. – To już niedaleko, lepiej ich zaskoczyć.

Przeładował broń i ruszył pierwszy. Zuza z trudem za nim nadążała. Zagryzała zęby z bólu, ale nie dawała po sobie poznać, jak cierpi. Pokonali zagajnik, później leśną przesiekę i znów zagajnik sosno-

wy. Znaleźli się na tyłach starego domu wykonanego z drewnianych bali.

– Rozdzielmy się – szepnęła i zaczęła się skradać do najbliższego okna. Nowak tymczasem poszedł od drugiej strony leśniczówki. Zuza zbliżyła się do celu i zajrzała do środka. Nim cokolwiek dojrzała, poczuła ból głowy i straciła przytomność.

Powoli otworzyła oczy i zobaczyła nacylonego nad sobą Butaprena. Od razu go rozpoznała. Teraz już wiedziała, kto jest współnikiem Wieczorka.

– A, to pani mecenas, bardzo przepraszam, ale nie poznałem.

Dźwignęła się na nogi i rozejrzała wokół siebie. Znajdowała się w chacie, więc musiano ją tu przynieść. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, leżały plastikowe worki z nawozami, na oko kilkadziesiąt. W większości były porozrywane, a zawartość zmieszana z jakimiś dodatkami.

– Co wy tu robicie? – spytała.

– Bombę. Będzie wielkie bum, które zmieni Polskę.

– Myślisz, że to zmieni Polskę? Zrobią z was zbrodniarzy, uszyją wam odpowiednie buty, z których nigdy nie wyjdziecie.

– Nieprawda. Zostaniemy bohaterami.

Do izby wszedł Wieczorek. Widząc Zuzę, wystraszył się, spojrzał na Butaprena.

– Co z nią zrobimy? Jeśli ją wypuścimy, to wszystko wyjdzie na jaw.

– No nie wiem. – Butapren się zafrasował. – Najlepiej zamknąć ją w piwnicy i wypuścić dopiero po wszystkim.

– Albo zabić, tak jak zabiliście Ankę, była dziewczynę jednego z was – dokończyła.

Wieczorek zbladł. Popatrzył na współnika.

– O czym ona mówi? Powiedziałeś mi, że napadł ją jakiś zboczeniec.

Olecki się zmieszał.

– Nie wierz jej, chce nas skłócić. Przecież wiesz, co pisali w gazecie, sam czytałeś.

– Rozmawiałam z patologiem, jest pewny, że uporzorowano mord na tle seksualnym. Nikt tej biedaczki nie zgwałcił. Została uduszona, i to z zimną krwią – ciągnęła Zuza.

Wieczorek nagle chwycił łopatę i zaczął podchodzić do Butaprena. Ten cofał się bardzo powoli.

– Uspokój się, ona kłamie! Czemu jej wierzysz, a nie mnie?

W końcu zza pazuchy wyszarpnął lugera i wycelował go we współnika.

– Ani kroku dalej, bo zastrzelę! Nie rób głupot! Cofnij się! – krzyknął.

– Pytam ponownie, czy to ty zabiłeś Anię? Czy to prawda? – szeptał Wieczorek i nie zważając na wycelowaną broń, postąpił do przodu.

– Tak, to ja, inaczej by nas ta suka zdradziła. Uratowałem nas, bo ona chciała iść na milicję, sama mi to przyznała. Znasz powiedzenie „cel uświęca środki”. Naprawdę tego nie chciałem, ale ona mnie zmusiła. Nie było wyboru.

– Kłamiesz! Zawsze jest wybór. Przecież cię zapewniłem, że Ania nas nie zdradzi. Ty gnoju, zabiłeś ją, tego ci nie daruję.

Wieczorek podszedł jeszcze bliżej, podniósł łopatę i zamachnął się na współnika. Wtedy padł strzał.

Narzędzie wypadło mu z ręki i z hukiem rąbnęło o podłogę, a w sekundę potem mężczyzna osunął się na worki z nawozami.

Butapren teraz zwrócił się w stronę Zuzy, mierzył do niej z pistoletu. Był wściekły, bo sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– To przez ciebie, suko. Napuściłaś go na mnie. Gdyby nie twoje durne paplanie, toby żył. Przeszkodziłaś nam, zniszczyłaś wszystko.

Nacisnął spust pistoletu, a Zuza zamknęła oczy. Szybka śmierć, nie będę się męczyć, przemknęło jej przez głowę.

Sucho trzasnęła iglica, coś stało się z pistoletem. Zuza nie wahała się ani chwili, to była jej szansa. Z całej siły pchnęła Oleckiego i rzuciła się do ucieczki. Zza pleców usłyszała ponownie ten sam suchy dźwięk.

Widocznie to jeszcze nie pora na mnie, stwierdziła. Wybiegła z chaty i ukryła się w zagajniku. Rozglądała się wokół, szukając Nowaka. Do kurwy nędzy, gdzie on jest? Czemu nie przyszedł jej z pomocą? Przez gałęzie widziała wejście do leśniczówki. Nawet na moment nie spuszczała go z oczu. Pojawił się Butapren. Przywarła ciałem do ziemi, żeby tylko jej nie zauważył. Wybiegł przed budynek, wsiadł na motocykl i odjechał. Odczekała jeszcze trochę, aż upewniła się, że już nie wróci, i zaczęła przeczesywać okoliczne zarośla. Nowaka znalazła bez trudu. Leżał z boku domu. Obok niego w trawie zobaczyła pistolet. Nigdzie nie widziała krwi. Co z nim? Co mu się stało? Trzymał się za serce i pojękiwał z bólu. Zawał! Teraz to do niej dotarło. Jej przyjaciel potrzebował pomocy, i to pilnie, a samochód stał kilkaset metrów dalej. Nie było czasu na jakiegokolwiek kalkulacje, należało działać. Pobiegnęła po pikapa. Zupełnie zapomniała o bólu, zapewne dzięki adrenalinie. Wiedziała, że to nie potrwa długo, że cierpienie wróci, dlatego musiała się spieszyć. Nie minął nawet kwadrans, a już mknęła samochodem w stronę Płocka. Nie przypuszczała, że tyle uda się jej wycisnąć z tego starego grzmota. Najbliżej był szpital przy ulicy Kościuszki i tam się skierowała. Zahamowała tuż przed wejściem do szpitala, gęsta chmura pary buchnęła z chłodnicy, silnik powiedział „stop”, ale to było już nieistotne. Wbiegła do środka i narobiła rabanu.

Zuza siedziała na korytarzu i czekała na jakieś wieści. Tymczasem zjawila się żona Nowaka i jego synowie. Po trzech godzinach pojawił się i lekarz. Miał dobre wiadomości: to był atak serca, sierżant będzie żył. Chwała Bogu, odetchnęła z ulgą i pośpiesznie opuściła szpital.

Silnik zdążył wystygnąć, więc Zuza pojechała pikapem do domu. Zaparkowała go obok swojego fiata, poczeka tu, aż Nowak wyzdrowieje. Ze skrytki wyjęła pistolet i schowała go do torebki, dopiero wtedy udała się do mieszkania. Na schodach zatrzymała się zdumiona. Jakiś menel stał na półpiętrze przy oknie, w jednej łapie trzymał zdjęcie Brigitte Bardot, a drugą się masturbował.

– Ty popaprańcu! – ryknęła na niego. – Kurwa mać, niech ci ta łapa odpadnie. Nie masz gdzie tego robić?

Długo się nie zastanawiała. Wyciągnęła z torebki pistolet i ruszyła na niego. Ten, widząc, co się kroi, z interesem na wierzchu rzucił się do panicznej ucieczki.

Wybiegł tak na ulicę, prosto w ramiona przechodzącego patrolu milicyjnego. Ci od razu zapakowali go do nysy i spuścili mu solidny łomot. Wyl, jakby go ze skóry obdzierali.

Mariański siedział przy oknie i obserwował dwa gołębie siedzące na parapacie.

– Obywatelu kapitanie!

Spojrzał za siebie i zobaczył Oparę.

– Meldujcie, kapralu.

– Jestem teraz szeregowym, tak jak obywatel kapitan.

Mariańskiemu gorąco uderzyło do głowy. Na jego twarzy pokazały się krwawe wybroczyny.

– Co powiedzieliście? Powtórzcie.

– Major nas i was zdegradował. To przez towarzysza Gutkowskiego. To wszystko tamtego wina.

– Nie może tego zrobić, ja jestem chory. Wy to co innego. Wydaję wam dyspozycję, macie dalej śledzić Lewandowską. Ona za tą całą sprawą stoi.

Rozejrzał się czujnie po pokoju i z kieszeni piżamy wyjął kartkę zapisaną odręcznie. Wcisnął ją kapralowi w dłoń.

– To są rozkazy, ale pamiętajcie, one są ściśle tajne. Odmaszerować!

– Tak jest!

Opara zasalutował i wyszedł, a kapitan ze stoliczka stojącego przy łóżku wziął dwie żółte pastylki i je połknął, po czym położył się na łóżku.

Kapral opuścił szpital, usiadł za kierownicą syrenki, ale zanim uruchomił silnik, zerknął na kartkę i zaczął czytać, okropnie dukając.

Ściśle tajne.

Wedłók naszych ustaleń obywatelka nijaka Lewandowska zwana papugą działa rasem w spizku z nijaką porucznik Pałłowicz przedziwko nam Mariańskiemu. Owa Pałłowicz zmoleztowała mnie i dlatego każę ją ślecić, żeby óstalić, co je łonczy. Kronżo słuhy, że Lewandowska była u medyka Skiby i skropała madzicę. Tszeba ustalidź co wyskropała. Macie to sprawdziź i nam meldować.

Było południe, gdy Zuza opuściła gmach sądu. Znow wygrała i mogła zamknąć kolejną sprawę. Tym razem wybroniła działacza Solidarności oskarżonego o rozpowszechnianie ulotek antypaństwowych. Udało jej się udowodnić, że dowody zostały spreparowane przez milicję. Durni funkcjonariusze zapomnieli usunąć z pudełka, w którym ponoć odnaleziono owe ulotki, dokument świadczący o tym, że były już wcześniej użyte w innej sprawie, a zatem zostały oskarżonemu podrzuczone. Sędzia Skwarek i prokurator byli wściekli, ale musieli umorzyć proces i klient Zuzy odzyskał wolność. Pewnie nie na długo, bo ta władza była wyjątkowo mściwa i pamiętliwa.

Na postoju taksówek stała kolejka oczekujących, a wśród nich doktor Kalicki. Zuza zdumiała się, bo to był niecodzienny widok.

– A co to? Gdzie pański słynny rower?

– Rower, który ma pani na myśli, to miał Ryszard Szurkowski nazwany przez jednego z komentatorów sportowych genialnym dzieckiem dwóch pedałów. Mój jest stary, zdezelowany, no i pedały się w nim pourywały. Poszedł do naprawy i muszę korzystać z taksówek.

– A zajrzy pan do mnie?

– Coś nowego? Byłem bodajże wczoraj i nie zauważyłem żadnej zmiany.

– Już kilka razy odzyskał świadomość, coś chce mi powiedzieć, ale z powrotem odpywa, nim z siebie to wydusi.

– Cierpliwości. Takie sytuacje napawają pewnym optymizmem. To bardzo dobry sygnał, oznacza, że mózg mu pracuje. A jak pani się ma?

– Jeszcze żyję. Wiem, że to kurestwo niebawem mnie zabije, ale się nie daję. Ból chwilami jest nieznośny, ale ćpam różne świństwa i go częściowo neutralizuję. Niedawno znajomy dał mi morfinę z jakimś dodatkiem, czułam się wtedy bosko. Mogłam palić, pić i miałam w sobie mnóstwo energii. Dziś już tak różowo nie jest. Pan pewnie nie może mi tego czegoś przepisać?

– Niestety nie, ale proszę się zgłosić na Wawelską, oni pani pomogą.

– Chyba w wysłaniu na drugi świat. Raz tam byłam i to mi wystarczy, wykańczalnia, prawdziwa rzeźnia, na korytarzach czuć smród nadpalonych ciał, to nie dla mnie. Zawsze mogę to przyspieszyć.

– Niech pani nawet tak nie myśli, to grzech.

– Panie doktorze, to i panu zrobili z mózgu wodę? – Zaśmiała się. – Niech pan nie wierzy w te bzdury. Wciąż wciskają ludziom ten kit i ludzie to kupują, to jakiś fenomen.

– Nie rozumiem, przecież przyjaźni się pani z proboszczem.

– Przyjaźnię się z człowiekiem, a nie z księdzem. To jest zasadnicza różnica. Jego poglądy polityczne mało mnie obchodzą, tak jak jego moje. Szanujemy się i to jest najważniejsze.

– Poglądy polityczne?

- Owszem, ale zostawmy już to. Lecę do krawcowej na przymiarzkę.
- Szyje pani coś sobie?
- Tak, garsonkę do trumny.

Doktor Kalicki na chwilę zaniemówił. Jej słowa go zakłopotaly.

- Żartowałam.

Zuza puściła do niego oko i poszła dalej. Pani Emilia mieszkała w kamienicy przy ulicy Padlewskiego. W nocy Zuza pewnie by się nie zapuściła w to podwórko, tak złą cieszyło się sławą. Nawet teraz, w dzień, w jej kierunku rzucono niecenzuralne zaczepki. Korciło ją, żeby podejść do któregoś z meneli i wychlastać go po pysku lub skopać po nabiale, ale to by tylko wywołało niepotrzebną awanturę.

- Dobrze, że pani przyszła, bo już gotowe. - Tymi słowami przywitała ją krawcowa. - Sporo zwęziłam, ale jak pani przytyje, to będzie problem.

- Nie ma strachu, nie przytyję. Za miesiąc zrobimy następną korektę.
- Pani mecenas, pani mnie przeraża, nie może pani bardziej schudnąć.
- Myli się pani, mogę. Ile płacę? - Wyjęła portmonetkę z torebki.

Zuza weszła do kancelarii. Jolka siedziała przy biurku i coś pisała. Kowalski stał w progu swojego pokoju i stroszył piórka wobec dziewczyny. Widząc Zuzę, pośpiesznie wrócił do siebie.

- Pani Zuzo, zaparzyć ziółek?
- Tak, dobrze mi zrobią, masz coś dla mnie?
- Dzwonił do pani jakiś klient. Pilnie pani szukał.
- Czego konkretnie chciał? Powiedział coś?
- Chciał tylko, żebym pani przekazała, że zjechał już do Płocka.

Zuza uniosła brew. Co ją obchodzi, kto i gdzie zjechał?

- Podał jakieś nazwisko? Cokolwiek?
- Tak, zapisałam, Olecki. Mówi to coś pani?
- Kurwa mać, nawet nie wiesz jak dużo - odparła wzburzoną głosem.

Weszła do swojego pokoju i od razu skierowała się w stronę szafy, otworzyła ją, chwilę w niej grzebała, aż spod sterty papierów wyjęła stary niemiecki bagnet. Kiedyś zostawił go u niej jakiś klient i nigdy się po niego nie zgłosił. Od dziś będzie leżał w szufladzie biurka, pod ręką, na wypadek, gdyby Butapren chciał ją tu odwiedzić. Bądź co bądź była jedynym świadkiem zabójstwa i tylko ona mogła go posłać na szubienicę, a on o tym dobrze wiedział.

Powinna koniecznie poćwiczyć strzelanie, i to jak najszybciej, w sejfie leżał pistolet i ze sto sztuk amunicji. Dziś zacznie szkolenie. Działała pod wpływem impulsu.

Z barku wygarnęła wszystkie koniaki, a było tego z tuzin, i zapakowała je do dwóch dużych toreb.

- Jolka, chodź ze mną, sama nie dam rady.

We dwie udały się na Zduńską. Torby zapakowały do fiata. Zuza kazała aplikantce czekać, a sama na chwilę weszła do mieszkania po tetetkę i naboje. Pojechały w stronę Łącka, ale tam nie dojechały, bo skręciły w pierwszy leśny trakt. Zuza przez całą drogę była pogrążona w myślach i nie odezwała się nawet słowem. Nagle przyhamowała i zatrzymała auto.

- Dobre miejsce - rzekła, wysiadła i zaczęła wyładowywać alkohol.

Jolka rzuciła się jej pomagać.

- Co z tym zrobimy? - spytała. - Co pani zamierza?
- Ustawiamy wszystko na tych pieńkach. - Zuza wskazała świeżą wycinę. - Im dalej, tym lepiej.
- Nie rozumiem. Po co to wszystko? - Jolka była zdziwiona.
- Zaraz zrozumiesz.

Rozeszły się, każda ze swoją torbą. Kiedy skończyły, Lewandowska wyjęła z torebki pistolet i go przedładowała. Wymierzyła w pierwszą z butelek, tę najbliższą z etykietką Hennessy.

– Tę dostałam od prezesa spółdzielni mieszkaniowej za niewinnienie od zarzutu brania łapówek. Brał, ale wykorzystywałam kruczki prawne.

Nacisnęła spust, rozległ się huk, ale butelka była wciąż cała.

– Cholera, serce mnie blokuje, bo aż krwawi, że niszczę tak przedni koniak.

Znów strzeliła, tym razem trafiła i butelka rozprysła się na setki małych drobinek szkła, a alkohol spłynął po pniaku.

Wymierzyła w następną butelkę. Tym razem courvoisiera.

– Tę dostałam od żony sekretarza Braciaka za to, że go po rozwodzie wygoniłam z jej mieszkania.

Pierwszy strzał był trafiony i po koniaku nie było śladu.

Teraz wybrała sobie za cel stocka.

– To jest dowód wdzięczności od maglarki za wsadzenie jej chłopca do kryminału. Notorycznie ją kawał. Raz miała złamaną szczękę, kilka razy łamał jej ręce, o żebrach nie wspomnę.

– Czemu pani to robi? Nie szkoda tych butelek?

– Ja ich nie wypiję, a nikogo rozpijając nie zamierzam – zadrwiła. – Wciąż mi wszyscy mówili, że alkohol szkodzi, no i w końcu w tę bujędę uwierzyłam. – Spudłowała. – Rozpraszasz mnie.

Huknęło ponownie i stock został unicestwiony.

– Świetnie pani strzela – pochwaliła ją aplikantka.

– To szkoda sierżanta. Dobry chłop, bał się o mnie. Ta butelka – wskazała pliszkę – jest od naszej sprzątaczkii za załatwienie alimentów dla jej syna. Niestety niskie, to i butelka tania.

Idealne trafienie, ściółka leśna niczym gąbka wchłonęła alkohol. – A ta – lufę pistoletu skierowała na martella – ma bardzo ciekawą historię. Pierwszy raz dostałam ją od kolegi po fachu, za zastępstwo na sprawie, później dałam ją jednemu lekarzowi w dowód wdzięczności, on ją przekazał innemu, aż w końcu wróciła do mnie, taka przechodnia. Tym razem jej historia znajdzie finał, choć nie będzie on zbyt spektakularny.

Nacisnęła spust, idealny strzał, w sam środek butelki.

– Widzisz tę metaxę? – Wskazała najdalej stojącą brandy. – To od twojego wuja za przyjęcie cię na aplikanturę. Na tym świecie za wszystko trzeba płacić, nic nie ma za darmo.

Major Kownacki z impetem wkroczył na salę szpitalną. Rozejrzał się w poszukiwaniu Mariańskiego, ale nigdzie go nie zauważył.

– Widzieliście tu takiego tłustego wieprza, Mariański się nazywa? – zaczął innemu pacjenta.

Tamten poderwał się z krzesła i spojrzął groźnie na milicjanta.

– Jak śmiesz mi przeszkadzać, Brutusie? Wiesz, z kim masz do czynienia? Przed czyim obliczem stajesz? Jam jest Juliusz Cezar.

Zanim kompletnie zaskoczony milicjant zdążył odpowiedzieć, został złapany za rękaw munduru przez kolejnego pacjenta.

– Nie słuchaj go, on jest wariat. Chcesz rozgrzeszenia, to wyznaj mi swoje winy. Jam jest Jezus Chrystus.

– Kurwa, co tu się dzieje? – zaklął major i wycofał się na korytarz, gdzie prawie wpadł na doktora Torbickiego.

– Obywatelu lekarzu, szukam mojego podwładnego, Mariańskiego.

– Obecnie jest naszym pacjentem. O co chodzi?

– Chcemy z nim pogadać, zdegradować go, a na koniec wsadzić do kryminału, bo tam jest jego miejsce.

- Tego nie możecie zrobić, ponieważ on jest chory i wymaga leczenia.
- On nie jest chory, to idiota.
- No właśnie, idiota to też stopień choroby umysłowej. On nie odpowiada za swoje czyny. Nie może- cie go zamknąć w więzieniu. Żaden sąd się na to nie zgodzi.
- Spokojnie, mamy swojego sędziego. Jak mu każemy, to i Cezara zamknie.
- Domyślam się. Wiem, na co stać naszą bohaterską milicję – przytaknął Torbicki z kpiną.
- To gdzie on jest? Ukrywacie go przed nami?
- Jakżebym śmiał. Pewnie jest w ogrodzie. Nie siedzi pod kluczem, bo sam się do nas zgłosił.
- Nie dziwię się. Przekażcie mu, że jak stąd wyjdzie, to marny będzie jego los. Osobiście go ukrzyżu- ję.
- Widzę, że macie duszę prawdziwego Rzymianina. Takich u nas mnóstwo, Juliusza Cezara pewnie już poznaliście. Może i wy powinniście się przebadać? – Lekarz drwił, i to w najlepsze.
- Twarz Kownackiego wykrzywiła się w grymasie wściekłości.
- Uważajcie, obywatelu doktorze, na każdego znajdziemy paragraf, na was też, to tylko kwestia cza- su.

Major odwrócił się na pięcie i poszedł do wyjścia.

Torbicki wkroczył na salę.

- Cezar i Chrystus, gdzie ukryliście Mariańskiego?

- Tu jestem.

Spod jednej z pryzc wygramolił się kapitan.

- Towarzysz major już poszedł? – spytał wylekniiony.

- Poszedł, poszedł. Wzięliście żółte pastylki?

- Tak, towarzyszu lekarzu, jak rozkazaliście.

- A obywatelka Lewandowska dalej do was przychodzi?

- Melduję, że przychodzi, ale rzadziej.

- Dobra, to spocznij i do łóżka.

- Tak jest!

Mariański posłusznie położył się i nakrył kołdrą po brodę.

- A ja też dostanę żółte pastylki? – spytał Cezar.

- Ty dostajesz niebieskie, a Chrystus czerwone, ale jak będziecie grzeczni, to może i żółte wam przepiszę. Zobaczymy.

- Będziemy grzeczni, obiecuję – odezwał się Chrystus.

Zuza wróciła do domu. Wchodząc do mieszkania, zdziwiła się, że w progu nie wita jej Borys. To się wcześniej nie zdarzało. Pewnie wysypia się po nocnych łajdactwach, pomyślała.

Nagle zatrzymała się w pół kroku. Na kanapie siedział Butapren. W dłoni trzymał pistolet i bawił się nim niczym John Wayne rewolwerem w Rio Bravo.

Może wypali i rozwali ci łepetynę, pomstowała w duchu i nerwowo rozglądała się po mieszkaniu.

- Gdzie Borys?

- Dostał kulkę – odparł ze śmiechem, wskazując lufą za fotel.

- Niemożliwe, tylko nie to! – krzyknęła i natychmiast tam zajrzała. Pies leżał na boku, uklęka przy nim i dotknęła jego żeber. Żył, obejrzała ranę, nie była groźna, kula przeszła na wylot, ale niestety uszkodziła psu jego klejnoty. Jeśli przeżyje, to musi zapomnieć o uroczej pudlicy z przeciwka, śliczej wilczycy z Bielskiej i wielu, wielu innych przesympatycznych suczkach.

Podniosła się i dopiero teraz zerknęła na Marcinkowskiego. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że wszystko jest w porządku, kroplówka była świeża, a więc Geńka całkiem niedawno opuściła jej mieszkanie.

– Kto to jest? – spytał bandyta.

– Gówno ci do tego. Czego ode mnie chcesz? Tak mi się odwdzięczasz za to, że ci w sądzie dupę urawowałam? Cholernie teraz tego żałuję.

– Musztarda po obiedzie. Mogłaś nie wtykać swojego nochała w nasze sprawy. Sama jesteś sobie winna. Teraz nie pozostawiasz mi wyboru.

– Zabijesz mnie? Już raz próbowałeś i nic z tego nie wyszło.

– Wtedy miałaś fart, teraz wszystko pójdzie planowo. Pistolet jest nasmarowany i tym razem nie liczyłbym na to, że się zatnie.

– Ty durniu. – Roześmiała się. – On się nie zaciął, tylko zabrakło w nim amunicji. Może w ogóle jej nie masz?

– Chcesz się przekonać? – Skierował lufę w jej stronę.

– Jeśli strzelisz, to narobisz hałasu i sąsiedzi zawiadomią milicję. Złapią cię, i to migiem. Lepiej się zastanów, zanim palniesz głupotę.

Zuza starała się przeciągnąć rozmowę, żeby zyskać na czasie. Myśli szalały w jej głowie, szukała jakiegось rozsądnego wyjścia. W torebce miała tetetkę, ale nie była pewna, czy w magazynku jest choć jeden nabój. W myślach liczyła butelki, pamiętała, że trzy razy chybiła.

– Może się dogadamy? Jestem śmiertelnie chora, nic ci nie przyjdzie z tego, że mnie zabijesz.

– Co to może zmienić?

– Mam raka, umieram. Tylko przyspieszysz to, co nieuchronne, nic więcej.

– Pewnie płuc albo wątroby, tych narządów nigdy nie oszczędzałaś. O tym wie cały Płock. – Zarechotał.

– Mylisz się, to rak kości.

– Masz przesrane, boli kurewsko. Miała go moja ciotka, z bólu chodziła po ścianach. Korci mnie, żeby cię oszczędzić, właśnie z tego powodu. Jednak nie mam pewności, że mnie nie wydasz. Widziałas wszystko.

– Nie wszystko. Nie widziałam, jak zabijałeś tę Annę. Nie wiem, czemu to zrobiłeś, bo ona by was nie wyspała. Rozmawiałam z nią wcześniej.

Powoli przesuwiała dłoń, teraz była już w torebce, co na szczęście umknęło oczom Butaprena.

– W końcu by na nas doniosła. Znam takie nie od dziś. Po jakimś czasie pękają. Zaczyna je gryźć sumienie.

– Naprawdę chcieliście wjechać z tą bombą do sejmu? To był szalony pomysł.

– Owszem i dlatego mogło nam się udać, ale ty spierdoliłaś wszystko. Szykowaliśmy się na ósmego października. Sejm ma zdelegalizować Solidarność. Usmażylibyśmy tych komuchów aż miło, ale nam w tym przeszkodziłaś. Kurwa mać, nie rozumiem tego. Jesteś ich obrończą? Nienawidziłaś ich. Od tego raka chyba ci się we łbie pojebało.

– Nie obrażaj mnie. Przy okazji usmażylibyście wielu niewinnych ludzi, a na to się nie mogę zgodzić.

Poczuła rękojeść pistoletu w dłoni, odbezpieczyła. O ile ją pamięć nie myliła, to tetetka była przeładowana. Skoro przeładowana, to znaczyło, że magazynek nie jest pusty. Tak chyba tłumaczył jej sierżant, a może coś pomyliła?

– W tym kraju nie ma niewinnych, wszyscy pracujecie dla komuchów, od rolnika po lekarza czy prawnika, nie mówiąc już o dyrektorach. Wszyscy budujecie komunizm.

– Ty chyba też tak robiłeś do momentu aresztowania, a później byłeś na garnuszku tych wszystkich komuchów. Nie pierdol mi tu takich farmazonów.

Zadzwoił telefon.

– Odbierz – rozkazał. – Ale ani mru-mru o tym, co się tu dzieje, bo palnę ci prosto w głowę.

Nie drgnęła. Nie mogła tego zrobić, bo musiałaby wyjąć rękę z torby i cały wysiłek diabli by wzięli.

– Po co mam odebrać? Żeby kłamać? Nikogo nie zdziwi, że nie odbiorę. O tej godzinie z reguły nie ma mnie w domu.

Telefon przestał dzwonić. Odetchnęła z ulgą. Butapren podniósł się, podszedł do Marcinkowskiego i zaczął mu się przyglądać.

– Znam skądś tę mordę. Kim on jest? Mów, do cholery, bo go puknę.

Przyłożył lufę pistoletu do czoła pułkownika i spojrzął na Zużę wyczekująco. Nie było sensu upierać się przy swoim, tym bardziej że tu nie o niego chodziło.

– To jest komisarz wojskowy.

– Ten, co go zabili? – zdziwił się. – Teraz go poznaję. W co ty grasz? Przecież go nawet pochowali. Kto go tak urządził? Faktycznie ci z Solidarności?

– Bzdura, swoi go pobili.

– Chuj z nim, jednego skurwysyna mniej. On mnie nie obchodzi. Z tobą jednak muszę zrobić porządek. Nie będzie świadka i nikt mnie nie powiąże ze śmiercią Wieczorka. Dziwię się, że go jeszcze nie znaleźli. Nie zawiadomiłaś milicji? Czemu tego nie zrobiłaś? Pewnie bałaś się pytań. Też nie chcesz być w to wmieszana. Władza i ciebie nie lubi, mogłaby spreparować jakieś dowody. Mam rację?

Butapren powoli sięgnął po poduszkę z kanapy. Zuza dobrze wiedziała po co, widziała to kiedyś na filmie, zastępuje tłumik. Nie było czasu – albo teraz, albo nigdy. Oby w tetetce tkwił choć jeden nabój. Z tej odległości na pewno nie spudłuje. To przecież taka wielka butelka.

Wyszarpnęła pistolet z torebki, wymierzyła w bandytę i natychmiast pociągnęła za spust. Rozległ się donośny huk wystrzału, szyby zadrzały w oknach, rozwrzeszczała się Zgaga, kot miauknęła, a Butapren osunął się powoli na podłogę, wypuszczając pistolet z ręki. Zuza stała nad nim bez ruchu jak sparaliżowana z dymiącą pukawką w dłoni.

– O, kurwa mać, znów zabiłam człowieka – wyszeptwała.

Podeszła powoli do mężczyzny i się nad nim nachyliła. Świetny strzał, Olecki już nie stanowił zagrożenia. Cholera, co dalej robić? Żeby nie Marcinkowski, to wezwałaby milicję, a tak nie miała wyjścia. Podbiegła do okna i przez firankę wyjrzała na ulicę. Nie zauważyła żadnego zbiegowiska, zerknęła na podwórze, też żadnej reakcji. Czy tym ludziom padło na słuch? Ktoś zapukał do drzwi. Zuza czuła, jak mocno bije jej serce. Jednak ktoś to usłyszał. Poszła otworzyć. Spróbuje nakłamać, może to kupią.

W progu stał pan Tadzio. Zerknął bezceremonialnie za jej plecy.

– Wszystko w porządku? To pani strzelała czy ktoś do pani? – spytał spokojnym głosem.

– Słyszał pan?

– Kto jak kto, ale ja jestem na odgłosy wystrzału wyczulony, przez lata w wojsku i lata na polowaniach.

– Ja strzelałam, w samoobronie.

– Trzeba pomóc czy sama sobie pani poradzi?

– Sytuacja jest już opanowana. Wie pan, gdzie mieszka Piosik?

– Oczywiście, przecież był moim zmiennikiem wtedy, kiedy warowaliśmy w bramie przy Grodzkiej.

– Niech się tu pojawi. Proszę mu powiedzieć, że muszę się pozbyć pewnego delikwenta. Będzie wiedział, o co chodzi.

– Założę buty i idę. Oby tylko nie był na bani. Ostatnio coś mu się to często zdarzało.

Sąsiad poszedł, a Zuza wróciła do pokoju. Butapren wciąż miał otwarte oczy i ile razy koło niego przechodziła, wydawało się jej, że na nią patrzy. To było nie do zniesienia. W końcu przetęła się, przykucnęła przy nim i przymknęła mu powieki. Wtedy nagle ożył i chwycił ją za lewą rękę. Była prze-

razona. Nie namyślając się, odruchowo porwała z ławy ciężki metalowy wazon, pamiątkę po ciotce Hel-
dze, i walnęła go nim prosto w czoło. Zwolnił uścisk, poderwała się na nogi. Na głowie Butaprena poka-
zała się cienka strużka krwi i spłynęła po twarzy na podłogę.

Zabiła go na śmierć, powiedziała poeta. Zuza ruszyła do kuchni po bandaże i opatrunki, trzeba było pilnie opatrzyć Borysa. Niestety, w tej materii miała związane ręce. Musiała sobie radzić sama. Przez niedopatrzenie zostawiła drzwi uchylone i nie zauważyła, że kociak wymknął się na pokoje. Psu sznu-
rem spętała pysk, żeby podczas zszywania rany jej nie ugryzł, i rozpoczęła swoistą operację. Najpierw przemyła rany spirytusem, co doprowadziło Borysa do szału, ale w końcu znowu się uspokoił i mogła kontynuować. Nie odważyła się usunąć mu resztek męskości. Zszywanie ran też do przyjemności nie należało, ale po godzinie mogła uznać, że jako tako się z tym uporała. Kiedy wynosiła apteczkę do kuchni, ktoś zapukał. Oby to był Piosik.

To była sublokatorka. A ta czego chce?

Kobieta była cała zapłakana.

– Tomaszek zaginął, nie widziała go pani?

– Pewnie włamuje się do czyjejs stajenki – zakpiła Zuza. – Nie jestem jego aniołem stróżem, na jego szczęście nie widziałam go dzisiaj, bo mam z nim do pogadania.

– Czego pani chce od mojego synka? Wciąż się pani go czepia. Już dwa razy byłam na milicji w tej sprawie.

– A idź i trzeci raz. Gorzej będzie, jak ja pójde. Wtedy na pewno skończy w poprawczaku. Już ja tego dopilnuję, a teraz wynocha z mojego mieszkania.

– Jeszcze tego pani pożałuje.

Zuza nic na to nie rzekła, tylko z impetem zatrzasnęła drzwi, tym samym kończąc sąsiedzką pogawędkę. Co za kurwa, nie dość, że panoszy się tu jak u siebie, to jeszcze ma czelność jej grozić.

Ponownie podeszła do Butaprena, musiała jeszcze raz się upewnić, że nie żyje, i zdumiała się. Wrzód siedział mu na brzuchu i robił kupę. Wiedziała, że koty są złośliwe i mściwe, ale ten chyba już za bardzo odjechał. Chwyliła go i ewakuowała do kuchni. Znow ktoś zapukał, miała nadzieję, że to nie ponowna wizyta babsztyla zza ściany, bo zaraz dojdzie do rękoczynów. Tym razem to był Piosik. Sam. Czyżby nie zrozumiał przekazu?

– Gdzie ten delikwent? – spytał już w progu.

– W salonie, obok kanapy, a gdzie twoi pomocnicy?

– Pani mecenas może być spokojna, ja jestem solidna firma. Przyjdą, ale teraz to za duże ryzyko. Trza poczekać, aż się ściemni. Wyrzucimy go na śmietnik kilka podwórek dalej i po klopcie. A co to za frajer?

– Nie pytaj, im mniej wiesz, tym lepiej.

– A to czasami nie Butapren? Słyszałem co nieco o nim, był niezłe popierdolony. Ponoć w kryminale zarznął dwóch współwięźniów, ale mu nic nie udowodnili. On był cholernie silny, jak się go pani udało załatwić? Pani taka chora. – Pokręcił głową z podziwem.

– Na kulkę nie ma mocnych. To co ja mam teraz z nim zrobić? Ma mi tak tu leżeć do wieczora?

– Nie ma rady. Wróć przed ósmą.

Piosik wyszedł, zostawiając Zuzę samą z całym bałaganem. Nie chciała na Oleckiego patrzeć, więc przykryła go starym kocem. I tak był do wyrzucenia. Zażyła lekarstwa. Ból nigdy nie pozwalał o nich zapomnieć. Do nich dorzuciła jeszcze cztery pyralginy. Zajrzała do Zgagi, żeby upewnić się, że bandzior nie zrobił jej krzywdy, a ta jej nawet nie zauważyła, tak była pochłonięta swoją toaletą.

Wycofała się bezszelestnie, z sejfu wyjęła plik banknotów i wyszła z mieszkania. Miała ważną sprawę do załatwienia na mieście, a konkretnie na ulicy Kredytowej, w najbardziej szemranej dzielnicy Płocka. Pojechała tam swoim fiatem. Samochód zaparkowała kilka ulic dalej i resztę trasy pokonała piechotą, co chwila się rozglądając. To był drugi blok po prawej stronie, pierwsza klatka i trzecie piętro.

Tak jak jej kazano, zapukała trzy razy. Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi się uchyliły.

– Masz kasę? – spytał ktoś z wnętrza mieszkania.

– Mam.

Przez szparę podała kopertę. Drzwi się zatrzasnęły. Zuza nerwowo rozejrzała się po korytarzu. Tu nawet w dzień strach było przyjść.

Drzwi uchyliły się ponownie i zobaczyła rękę trzymającą siatkę. Bez słowa wzięła ją i ruszyła do schodów. Dopiero w samochodzie zajrzała do środka. Odetchnęła z ulgą, wszystko się zgadzało.

Wróciła do domu i w mieszkaniu zastała Geńkę, zupełnie o niej zapomniana. Sprzątaczką stała nad Butaprenem nieruchoma niczym słup soli. Była śmiertelnie blada. Zuza musiała coś na szybko wymyślić, coś z sensem, coś, co tamta od razu kupi. Wiedziała, że Geńka była wpatrzona w Marcinkowskiego jak w obraz, i należało to wykorzystać. W końcu to był prawdziwy komunista, jeden z ostatnich ze starej gwardii, taki czerwony dinozaur.

– Chciał zabić pułkownika. Musiałam go bronić – rzekła spokojnym głosem i schyliła się, żeby na powrót przykryć trupa.

– Pani Zuzo, to on nie żyje? Naprawdę? Może tylko śpi?

– Zimny jak świński ogon w zamrażarce. Idź do domu, jutro go nie będzie. Tylko pamiętaj, nikomu ani słowa. Wiesz, jeśli komuś coś wypaplesz, to pułkownik zginie i ja będę mieć spore kłopoty, a to znów odbije się na tobie, bo stracisz pracę, której tak bardzo potrzebujesz.

– Dobrze, pani mecenas, będę milczeć, nie powiem nic, nawet sąsiadce z przeciwnika.

– I bardzo dobrze.

– Ziiimny ogooon! Ziiimny ogooon! Ziiimny ogoooooon! – odezwała się Zgaga.

Geńka chwyciła torebkę i pośpiesznie wyszła.

Zuza odetchnęła z ulgą, udało się. Spojrzała na zegarek, jeszcze dwie godziny, dwie trudne godziny. Zapaliła ekstra mocnego, zaciągnęła się nim dwa razy i go zgasiła. Tak ostatnio robiła, chociaż przez chwilę mogła skubnąć swojego nałogu. Borys zapiszczał, nachyliła się nad nim. Polizał jej rękę, to był dobry znak. Jak tylko zabiorą Butaprena, to zadzwoni do doktora Kalickiego i poprosi go o antybiotyki. Zza ściany doszły do niej odgłosy karczemnej awantury, pewnie Tomaszek się odnalazł. Szkoda, mógłby przepaść na zawsze, byłby spokoj. Zaparzyła sobie ziółka i włączyła telewizor.

Przyszli punktualnie o ósmej, przytargali ze sobą rolkę cuchnącej wilgocią, starej wykładziny, pewnie znaleźli ją na jakimś śmietniku. Rozłożyli ją na podłodze, następnie przenieśli na nią trupa i na powrót zwinęli. Podnieśli całość, zarzucili na ramiona i wyszli. Piosik szedł za nimi i wszystkiego pilnował. Kiedy wychodził, Zuza wcisnęła mu w dłoń zwitek banknotów.

– Dziękuję. Gdybyś nie pomógł, tobym go musiała chyba piłą pociąć na kawałki, a potem poupychać je po śmietnikach.

– Zawsze do usług, pani mecenas.

Wzięła szmatę i miednicę z ciepłą wodą, żeby zmyć ostatnie ślady bytności Butaprena. Nagle coś się jej przypomniało, że złością wałnęła pięścią w szafę. Nie wyjęła kuli z ciała, fatalny błąd. Musi się pozbyć tetetki, i to pilnie, ale o to poprosi Nowaka. On będzie wiedział, co zrobić, żeby bezpowrotnie zniknęła.

Zadzwoniła po doktora Kalickiego. Zjawił się po godzinie. W pierwszej chwili krzywił się, że wezwała go do psa, ale zobaczywszy ranę postrzałową, zrozumiał, w czym rzecz. Borys dostał zastrzyk, a cała ich seria była jeszcze przed nim, kolejne miała zrobić Zuza. Lekarz przy okazji zbadał Marcinkowskiego. Jego opinia niestety nie napawała optymizmem. Stan pułkownika się nie zmieniał, a chwilowe powroty świadomości o niczym jeszcze nie świadczyły. Zuza jednak wciąż nie traciła nadziei. Zerknął też na Wrzoda. Zdjął mu z łapy resztki gipsu i stwierdził, że według jego wiedzy medycznej kot będzie kuterem, bo kość źle się zrosła i nic już tu nie można wskórać.

To był dla Zuzy prawdziwy cios, no bo kto weźmie kota kalekę?

Ledwie Kalicki wyszedł, wypila trzy ampulki pyralginy. To trochę uśmierzyło ból.

Zadzwoił sierżant.

– Widziałem Piosika. Szedł z jakimiś żułami, targali rolkę starej wykładziny. Jak mnie zobaczył, to zaczął się dziwnie zachowywać, był taki wypłoszony, jakby w niej nieśli trupa. Wszystko u ciebie w porządku?

– Dobrze, że dzwoniisz, mam do ciebie prośbę. To nic pilnego, wpadnij jutro rano.

– Będę tuż po dziewiątej.

Ledwie odłożyła słuchawkę, gdy ktoś zapukał. Kto znowu? Podeszła do drzwi.

– Kto tam? Lewandowskiej nie ma w domu.

– Pani mecenas, to ja, Piosik. Pani otworzy.

Zaniepokoiła się, czyżby wynikły jakieś problemy? Cholera jasna, pewnie wpadli na patrol ZOMO i sprawy się pogmatwały. Co teraz będzie? Jak się wytłumaczy z nieżywego Butaprena?

Przekręciła klucz w zamku i wpuściła menela do środka.

– Co się stało? Złapali ich, a ty uciekłeś? – zarzuciła go pytaniami.

– Spokojnie, pani mecenas. Wszystko w porządeczku, chłopaki dziękują za szmal, w życiu tyle kasy nie widzieli. Mam coś dla pani.

Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, a na niej leżała kula.

– Przeszła prawie na wylot, to wyjąłem. Inaczej nie dałbym rady. Nie cierpię grzebać w czyichś bebechach.

Zuza podeszła do regału i wyjęła z niego pakiet radomskich.

– Trzymaj, spisałeś się na medal.

Piosik wyszedł. Znow się udało, tyle ma w życiu szczęścia, a jednak to kurewskie raczycho się do niej przyplątało. Jutro rano uda się do proboszcza, trzeba wszystko pozalać, nie może obarczać tym przyjacioł. I tak będzie im ciężko, kiedy odejdzie.

Rano zgodnie z obietnicą zjawił się Nowak. Dokładnie obejrzał mieszkanie, sprawdził, czy nie ma choćby najmniejszych śladów krwi, ale nic takiego nie znalazł. Wziął kulę przyniesioną przez Piosika i wyszedł. Zuza zmieniła opatrunki Borysowi, Wrzoda napiła mlekiem, Zgadze rzuciła trochę ziaren słonecznika i udała się do proboszcza. Grał na perkusji, na jej widok odłożył pałeczki i poszedł zaparzyć herbatę. Kiedy wrócił, zobaczył na stole grubą szarą kopertę.

– Co to jest?

– Zapłata za grobowiec rodzinny. Ta kwota to gwarancja, że przez następne sto lat nie wyrzucicie na śmietnik kości moich przodków, no i przy okazji moich. Później róbcie, co chcecie.

– Nie żartuj – obruszył się. – Nic nie musisz płacić, coś pokombinuję w papierach.

– Książd teraz pokombinuje, ale po nim przyjdzie inny proboszcz, który nie będzie żywił sentymentu do moich szczątków i wywiezie je na taczkach na pierwsze lepsze śmietnisko. Za dobrze znam ludzi i życie, żeby być tak niepoprawną optymistką i uwierzyć, że ktoś będzie mieć jakiegokolwiek skrupuły.

– Nie ma mowy, nie przyjmę tego.

– Jeśli nie, to zobowiążę Nowaka albo Kowalskiego, żeby pilnowali terminów. Wolałabym tego uniknąć. Proszę.

Proboszcz wahał się dłuższą chwilę. W końcu wziął kopertę.

– Dobrze, ale pogrzeb odprowadzę za darmo.

– Chwila moment, a kto powiedział, że chcę mieć katolicki pochówek? Ja sobie tego nie przypominam.

– Chcesz być pochowana jak komunista, bez modlitwy?

– Modlić się nikomu nie zabronię, ale nie chcę tych całych rytuałów. Ma być na wesoło. Chcę taki muzykański pochówek. Wiem, że na bębnach ksiądz nie zagra, bo tego kaplica nie wytrzyma, ale może być gitara, trąbka. Harmonii nie lubię, ale puzon, jakieś bandžo też może być. Mowę sama napiszę, przy najmniej będzie z sensem, ostatnia szansa, żeby komuś dokopać, i to bez żadnych konsekwencji. Jaki prawnik nie skorzysta z takiej okazji?

– Nie wypada się śmiać na pogrzebie. To jest smutna uroczystość.

– Czemu? Przecież nieboszczyk przenosi się do lepszego świata. Wszyscy powinni się cieszyć. No chyba że parafianom wciskacie zwykły kit? – kpila. – To jak to jest naprawdę? – Widząc zakłopotaną minę proboszcza, zaraz dodała: – Dobra, zostawmy to teraz, jak czas pozwoli, to jeszcze wrócimy do naszej rozmowy. W każdym razie jedną rzecz już dziś załatwiłam.

– Czemu to robisz? Trzeba mieć nadzieję.

– Jeszcze jej nie straciłam, ale wołę się zabezpieczyć. Szukam kogoś, kto by przygarnął Wrzoda.

Proboszcz spojrział na nią zaniepokojony.

– Wrzoda? O czym ty mówisz? Dobrze się czujesz?

Zuza roześmiała się na widok jego miny.

– Jeszcze nie mam przerzutów do mózgu. Wrzód to mój nowy zwierzak, kociak. Niedawno go przygarnęłam.

– Na co ci to było, mało masz problemów z psem i papugą? Potrzeba ci nowych?

– Tomaszek, synuś sublokatorów, zrobił z niego helikopter, musiałam interweniować, no i został.

– Ten chłopak to wcielony diabeł. Wczoraj pobił jedną dziewczynkę, gdy wracała z lekcji religii. Jak nic skończy w kryminale.

– Ale ja tego już nie zobaczę, a szkoda. Widzieć go za kratami to dla oka czysta przyjemność.

Z torebki wyjęła lekarstwa. Kilka kolorowych drażetek wysypała na dłoń i je połknęła, po czym popiła herbatą.

Proboszcz się temu przyglądał.

– Sporo tego – zauważył.

– Owszem i wciąż mało, bo nie wystarcza. Wspomagam się, czym mogę, co kilka dni zwiększam dawkę, nie poddaję się. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia i tylko to mnie trzyma przy życiu. Nie chcę po sobie zostawiać syfu.

– Podziwiam cię, jesteś twarda.

– Tak jak wszyscy w mojej rodzinie, Lewandowscy nigdy nie wymiękali. Idę już. Po drodze do pracy wstąpię do baru. Dziś jest otwarty pierwszy dzień po remoncie. Może w końcu wymienili sztucce. Na te aluminiowe już nie mogę patrzeć. One są wiecznie powyginane, a widelce mają powyłamywane zęby. Tyle lat rzygam tym całym peerelem i nie mogę się do końca wyrzygać. Mam nadzieję, że tam na drugim świecie nie rządzą komuniści, bo będę znów miała przesrane.

– Spokojnie, oni nie wierzą w życie pozagrobowe.

– Że nie wierzą nie oznacza, że ich tam nie ma. Robactwo potrafi zagnieździć się wszędzie, nawet tam.

Podniosła się z krzesła i ruszyła do drzwi. Przystanęła w połowie drogi i zaczęła szukać czegoś w torebce.

– Jest. – Podała proboszczowi swoją zapalniczkę. – Zawsze się księdzu podobała, ja już jej nie potrzebuję.

– Ależ moja droga... – próbował oponować.

– Brać, skoro dają – skwitowała i wyszła.

Na ulicy spotkała Geńkę.

– W mieszkaniu już wszystko po staremu. Nie musisz się stresować. Borysa wyprowadź na smyczy i uważaj, żeby nie zapaprał sobie rany. Wprawdzie ma opatrunek, ale zębami go trochę nadzarpnął.

– A co mu jest, pani mecenas? Wczoraj, poza tym kimś, no wie pani, o kim mówię, to ja nic nie za-uważałam. To pewnie z wrażenia. Pierwszy raz widziałam trupa zabitego na śmierć.

– Ten sukinsyn go postrzelił, na szczęście niegroźnie. Pamiętaj o trzymaniu języka za zębami. Ta sprawa to nasza tajemnica, twoja i moja.

– Wiem, wiem, pani mecenas. Obiecuję, sąsiadce nic nie powiem.

Przy zakładzie pogrzebowym Zuza natknęła się na mężczyznę, który niedawno pożyczał jej lewerek samochodowy.

– Dzień dobry – sam ją zaczepił. – Pamięta mnie pani? Spotkaliśmy się na drodze do Gostynina.

– Owszem, jeszcze raz dziękuję za pomoc – odparła i chciała go minąć.

– Nie wiedziałem, że pomogłem tak słynnej pani mecenas. To dla mnie zaszczyt.

– Proszę nie żartować. Jest wielu dobrych adwokatów, wielu lepszych ode mnie.

– Czy mogę panią zaprosić na kawę?

Spojrzała na niego uważnie. Czego tak naprawdę od niej chce? Gdyby chodziło o poradę, to udałby się do kancelarii.

– Nie mam czasu, a prócz tego nie cierpię kawy. Żegnam – rzekła oschle i poszła dalej.

– Do zobaczenia, do rychłego zobaczenia – usłyszała już zza pleców. W jego głosie zabrzmiała groźba.

Następny czubek, pomyślała. Skąd się ich tylu bierze? Musi o to kiedyś spytać Teresę. Jest psychiatrą, to powinna znać odpowiedź.

W kancelarii czekał na nią mecenas Jodelka, ten, który namawiał ją, żeby sprzedała archiwum sekretarza Wiśniewskiego. Czego znów chce? Zdenerwowała się, przecież wtedy rozmówiła się z nim ostatecznie. Miał przy tym szczęście, że nie spuściła go ze schodów.

– Czego pan znówu chce? O ile pamiętam, wyczerpaliśmy temat.

– Tylko dwa słowa, szanowna koleżanko.

– Dobra, tylko dwa słowa. Słucham.

Zuza rozsiadła się w fotelu i spojrzała wyczekująco na Jodelkę.

– Mój klient ponawia propozycję, ale w zamian za dokumenty proponuje lekarstwo na pani chorobę.

– To są dwa słowa? A w ogóle, co to za propozycja? Proponujecie mi gruszki na wierzbie, cudowny eliksir życia jak z bajki Andersena. Pan przychodzi z czymś takim do prawnika? Proszę się nie ośmieszać. Obydwoje wiemy, czym jest rak, więc proszę więcej nie obrażać mojej inteligencji. Do widzenia!

– Mój klient to pani gwarantuje.

– Proszę stąd wyjść, póki pana sama nie wyrzucę! Nie interesuje mnie ta propozycja. Czy nie wyraziłam się dość jasno?

– A jeśli wyjawię pani godność mojego klienta?

– To nic nie zmieni. Moja odpowiedź brzmi: nie!

– Mój klient przewidział pani reakcję i proponuje spotkanie. Sam chce panią przekonać, że jest w stanie pomóc. Nie wiem, co pani zaferuje, ale nalegam, żeby się pani z nim spotkała.

Zuza się zawahała. Nie wierzyła w cudowne ozdrowienie, ale była ciekawa, kto tak pragnie stać się właścicielem archiwum. Miała swoje typy i zamierzała się przekonać, czy są trafne.

– Zgoda, mogę się z nim spotkać. Kiedy?

– Wkrótce. On panią znajdzie. Miło się rozmawiało, do widzenia.

Sklonił się i wyszedł.

Zuza siedziała dłuższą chwilę zadumana. Chciałaby, żeby istniało cudowne lekarstwo, żeby mogła zapalić swojego ulubionego ekstra mocnego, głęboko się nim zaciągnąć, poczuć dym w płucach. Żeby mogła wypić kielicha stocka, poczuć jego smak i moc. Za te wszystkie przyjemności dałaby się pociąć. One dla niej były warte o wiele więcej niż papiery Wiśniewskiego. Wiedziała jednak, że to nierealne.

Spojrzała na portret Ambrożego. Mina marsowa, coś mu się nie podoba, ale co? Że spotka się z tym nieznanym? Może to jest niebezpieczne i stąd jego zmarszczone czoło? Słowo „niebezpieczne” w jej sytuacji ma inną wymowę, straciło zasadniczo na wartości, zdewaluowało się. Dam radę, tatku. Nie przyniosę wstydu rodzinie, odejdę z godnością, nie oddam tego archiwum jakiemuś komuchowi. Przekażę je komuś zaufanemu, komuś, kto zrobi z niego dobry użytek.

Rozmyślenia przerwał jej Kowalski. Z tajemniczą miną wszedł do gabinetu i położył jej na biurku grubą kopertę.

Spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Co to jest?

– Otwórz i zobacz.

Tak też uczyniła. Ze środka wysypały się banknoty. To była spora suma.

– Co to za forsa? O co tu chodzi, do cholery? Wziąłeś łapówkę? Mów!

– To są twoje pieniądze. Teraz możesz ich bardzo potrzebować.

– Skąd one są? Kto je przyniósł? Mów, nie cierpię zagadek – zdenerwowała się.

– No, zebraliśmy je dla ciebie. Sprzedałem przedpłatę na malucha, nie potrzebowałem jej, bo mam jeszcze jedną. Nowak miał działkę po dziadkach i ją upłynnił po cichu przed żoną. Jolka odkładała na wesele, ale stwierdziła, że chłopcy to chuje i nie będzie żadnego ślubu.

Zuza siedziała jak sparaliżowana i wpatrywała się w banknoty.

– Nie mogę tego przyjąć – odezwała się po chwili. – Mowy nie ma.

– Musisz je wziąć, wiemy, ile ostatnio masz wydatków. Kupujesz pokątnie morfinę. Ona nie jest tania.

Spojrzała czujnie na Kowalskiego.

– Skąd o tym wiesz? Śledzicie mnie?

– Nie, ten handlarz jest moim klientem. Pytał mnie o ciebie, bo bał się prowokacji.

– Tylko kilka razy tam byłam.

– Uściślijmy, byłaś u niego kilkanaście razy, ale to nieważne. Dobrze, że ci pomaga, bo po co się męczyć? Mimo że jesteś wziętym prawnikiem, nie zarabiasz tyle, żeby cię było stać na ciągle szprycowanie. Weź te pieniądze, to prezent od przyjaciół.

– Nie mogę. To z waszej strony piękny gest i dziękuję, ale nie mogę tego przyjąć. Jutro sprzedaję samochód, więc dostanę zastrzyk gotówki. To mi powinno wystarczyć do końca.

Nagle poderwała się z fotela, złapała płaszcz i wypadła z pokoju. W chwilę potem weszła Jolka.

– Co tu się stało? – spytała. – Pani mecenas wybiegła stąd ze łzami w oczach. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby płakała.

– Ja też nie.

Zuza szła zamyślona ulicą Kolegiąlną. Cholera, znów się wzruszyła, wcześniej jej się to nie przytrafiło często. Nagle tuż przy niej zatrzymała się czarna wołga. Drzwi z tyłu się uchyliły.

– Zapraszam do środka. – Usłyszała męski głos. To ten nieznamy mężczyzna, który jej pomógł między innymi w sprawie zabójstw bibliotekarek oraz był widywany w mieszkaniu przy Grodzkiej 12. Jego rola w tej ostatniej sprawie wciąż była owiana tajemnicą.

– I znów się spotykamy, pani mecenas. Źle pani wygląda. To niedobrze.

– To pan przysłał mi tego Sosenkę? Domyśliłam się.

– Sterta makulatury za życie to świetny interes. Chyba się pani zgodzi ze mną?

– Brzmi pięknie, ale to tylko pic na wodę. Oboje wiemy, że na tę chorobę nie ma leku. Naprawdę myślał pan, że dam się na to nabrać?

– Myli się pani i mogę to pani udowodnić.

– Tak? To mnie pan zaciekawiał – zakpiła. – W jaki sposób? Może mam się zapisać do PZPR?

– W Związku Radzieckim wymyślono pewien preparat. To są pastylki. Bierze się jedną dziennie przez sto dni, i tyle. Dam pani cztery porcje i zobaczy pani, czy po nich nastąpi poprawa. Co pani na to? Spojrzała na niego zaintrygowana.

Kurwa mać, w co on pogrywa? Naiwna to ona nie jest. Gdzie tu jest jakiś haczyk?

– No i jaka jest pani decyzja?

– I niby po czterech dawkach ma mi się poprawić? Jaki narkotyk w tym jest?

– Nie ma w nich narkotyku, daję słowo. To tylko lekarstwo. Oczywiście nie jest dostępne dla zwykłych ludzi. To specyfik, którym od roku leczą Breżniewa.

– Jak to zażyję, to też będę wyglądać tak jak on, jak kukła?

– Nie, skądże. On wyglądał jak kukła, zanim zachorował. – Uśmiechnął się szeroko. – No więc? Jaka jest decyzja?

Z kieszeni wyjął małą buteleczkę.

– Jak mówiłem, jedna tabletką dziennie, tylko wieczorem, zamiast wszystkich leków, które pani bierze. Nie wolno ich łączyć.

W sumie nic nie ryzykowała. Nie wiedziała, czy opowieść o Breżniewie to bajka, ale istniała szansa, że facet mówi prawdę. Od lat po kraju krążyły opowieści o cudownych wynalazkach przedłużających życie komunistycznym prominentom.

– Skąd pan to ma?

– Proszę nie zadawać takich pytań. Mam swoje dojścia.

Zuza wzięła flakonik z jego ręki i opuściła samochód.

– To widzimy się za cztery dni – krzyknął za nią i wołga odjechała.

Dwóch silnie zbudowanych pielęgniarzy prowadziło Mariańskiego. Szarpał się rozpaczliwie, chciał się uwolnić za wszelką cenę.

– Puście mnie! Jestem kapitan Mariański, wszystkich was pozamykam, daję słowo!

Na nic się zdały jego groźby, zaprowadzono go do piwnicy, do sali tortur, jak żartobliwie nazywali ją lekarze, i posadzono na nietypowym fotelu. Ręce i nogi spętano mu skórzanymi pasami. Milicjant czuł pismo nosem. Dobrze pamiętał, jak Torbicki wspominał coś o elektrowstrząsach. O nie, tylko nie to. Chciał krzyczeć, ale zakneblowano mu usta.

No i sprawdzili się jego najczarniejsze przewidywania. Założono mu elektrody na głowę i się zaczęło. Najpierw krótkie uderzenie prądu i... nic. Zwiększono czas i natężenie. Znow nic. Mariański siedział spokojnie. Lekarze spojrzeli po sobie, czyżby awaria urządzenia? Wszelkie parametry pomnożono przez dwa i... Znowu nic. Przerwano zabieg. Technicy zaczęli sprawdzać kable, ale wszystko było w idealnym porządku.

– No to dajcie na maksa – zdecydował Torbicki.

– To go zabije – zaprotestował drugi z lekarzy.

– Przekonajmy się.

Włączono zasilanie. Mariańskim delikatnie zatrzęsło, uszami poszedł mu dym, wywaliło korki i to było tyle.

Torbicki triumfująco spojrzął na kolegów.

– Czyż nie mówiłem, że taki mózg trafia się raz na miliard? Ten człowiek to prawdziwy fenomen. Jego to i fotel elektryczny by nie zabił. Korci mnie, żeby mu przeprowadzić zabieg komisurotomii. Cie-

kawe, co by się stało? Czy prawa półkula mózgu walczyłaby z lewą?

Lewandowska wróciła do domu. Geńka akurat podmywała Marcinkowskiego. Okropny widok, bo od jakiegoś czasu walczyły z wielkimi odleżynami na jego ciele. Zuza pomogła sprzątaczkę obrócić ranego i poszła do kuchni. Usiadła przy stole, przed sobą postawiła mały flakonik. Co jej zależy? Warto spróbować. Jeśli lekarstwo jest skuteczne, to czemu nie jest rozpowszechnione? Przecież można by było uratować tysiące ludzkich istnień. Pewnie polityka zdecydowała, ona rządzi wszystkim, nawet tym, na co chorujemy i umieramy. W pewnym momencie przypałał się do niej Wrzód i zaczął się ocierać o nogi, chciał się bawić, ale ona nie miała nastroju do zabawy.

– Idź uprzykrzać życie Zgadze. Jesteś w tym mistrzem.

Pokuśtykał do pokoju, a po chwili dało się słyszeć wrzask papugi:

– Wrzoooot chuuuuuj! Wrzoooot chuuuuuj! Raaatuuuunku!

Otworzyła buteleczkę, a tam niebieskie pastylki. One mają ją uszczęśliwić? Dobra, spróbuje tej tajemniczej metody. Odstawi na kilka dni stare leki i przerzuci się na tę cudowną pastylkę. Nawet przez chwilę nie zastanawiała się, co będzie, jeśli terapia okaże się skuteczna, bo tak naprawdę w nią w ogóle nie wierzyła.

Wieczorem, tuż po obejrzeniu w telewizji serialu Jan Serce, zażyła pierwszą tabletkę i poszła spać. Zobaczy, co będzie jutro, czy nastąpi jakaś reakcja organizmu, czy faktycznie poczuje się lepiej.

Rano zaraz po przebudzeniu poderwała się z łóżka. O dziwo, prawie nic jej nie bolało. W pierwszym odruchu sięgnęła po lekarstwa, ale zaraz je odstawiła. Poszła do łazienki. Tam natknęła się na Tomaszka. Sukinsynek skrobał puch na brodzie jej maszynką. Znow musiała zapomnieć ją zabrać po ostatnim gołeniu nóg.

– W końcu cię zatłukę, ty gnojku! – ryknęła na niego.

Chwyliła go za czuprynę, ale on ją odepchnął, aż zatoczyła się na pralkę.

– Umierasz! Umierasz! – krzyknął i uciekł do siebie.

Cholera, jeszcze miesiąc temu dałaby mu radę, a dziś wymiękła. Wyraźnie opadała z sił.

Ubrała się i poszła z Borysem na spacer, taki krótki, jedynie, żeby załatwić potrzeby. Wyraźnie mu się poprawiło, antybiotyk działał cuda, rany się świetnie goiły. Trochę kulał, ale niebawem powinno mu to przejść. Po kwadransie wrócili. Akurat nadeszła Geńka. Zuza zabrała z domu torebkę i udała się na śniadanie do baru. Po remoncie jego standard wyraźnie się poprawił. Stoły przykryto nową wzorzystą ceratą, wymieniono krzesła, no i, co najważniejsze, były nowe sztuce, niestety też aluminiowe, ale co nowe to nowe. Niestety, na tym różnice się skończyły, bo jedzenie było tak samo podle jak poprzednio.

Kiedy weszła do kancelarii, Jolka wisiała na telefonie. Sądząc po jej rozanielonej minie i maślanych oczach, rozmawiała z chłopakiem. Znow przyjdzie astronomiczny rachunek, ale trudno, na miłość nie ma rady. Sama kiedyś też była zakochana, więc rozumiała dziewczynę. Rozsiadła się w swoim fotelu i sięgnęła po ekstra mocne. Musiała spróbować, skoro to lekarstwo czyni cuda. Zapaliła i, o dziwo, papieros smakował jej tak jak przed chorobą. Była w siódmym niebie. Co za uczucie, już prawie zapomniała, że może być tak wspaniale.

Jolka przyniosła świeżo parzone ziółka i zdumiona stanęła w progu.

– Zabierz to!

– O, jak się cieszę, że pani w dobrej formie! Jakaś nowa kuracja? Świetnie!

– Zgadza się, ponoć tym lekarstwem leczono Breźniewa. Bylebym się do niego nie upodobniła, bo chyba wolałabym zdychać. Ciekawe, jak w tej nowej rzeczywistości smakuje stock? Napijesz się ze mną?

– Kieliszeczka nie odmówię.

Zuza wysunęła szufladę i zdumiała się. No tak, zupełnie zapomniała, że rozstrzelała wszystkie koki.

– Nic z tego, stocki poległy w lesie.
Aplikantka szeroko się uśmiechnęła.
– Nie wszystkie, pani mecenas, jednego uchroniłam przed egzekucją.
– No to dawaj go, i to migiem.
– Mogę się przyłączyć? – Kowalski pojawił się niespodziewanie.
– Jasne, tylko przynieś kieliszek dla siebie, bo ja niedawno w chwili wyjątkowego wkurwienia wytłu-
klam prawie wszystkie.
Wypili. Stock też Zuzie smakował. Słabiutka iskierka nadziei zatliła się jej w sercu.
Przyszedł Nowak i załapał się na następną kolejkę. I tak poszła cała butelka.
– Muszę wam coś zakomunikować, i to coś bardzo ważnego – oznajmiła nagle Zuza. Podeszła do
drzwi i dokładnie je zamknęła. – Wiem, że wam się to nie spodoba, ale... – Spojrzała po ich twarzach
i już wiedziała, że się nie zgodzą na jej szalony plan. – Coś chciałam wam powiedzieć, ale to już nieważ-
ne. Lepiej się napijmy.

W czwartym dniu kuracji Zuza czuła się świetnie, ale to już jej nie cieszyło. Dziś musiała podjąć decy-
zję, czy archiwum sekretarza Wiśniewskiego wymienić na cudowne pastylki. Miała z tym spory dyle-
mat. W tych papierach musiało być coś bardzo cennego, coś, co przeoczyła. Nigdy ich w całości nie
przestudiowała, wciąż brakowało jej czasu, prócz tego nazwiska niektórych osób były zmienione, użyto
pseudonimów. Ten materiał powinien trafić na Zachód. Jeśli pójdzie teraz na układ, to wszystko bez-
powrotnie przepadnie. Czemu co i raz musi podejmować tak trudne decyzje? Ta będzie życiowa, bo na
szali położone jest jej życie.

Wyszła z Borysem na spacer. Nieopodal Małachowianki zobaczyła czarną wołgę. Nieznajomy już na
nią czekał. Skąd sukinyśn wiedział, że będzie tędy szła? Przywiązała smycz do pobliskiego drzewa
i wsiadła do samochodu.

– Miło mi znów panią zobaczyć, pani mecenas. No i jaka jest pani decyzja?
– Odmowna – odparła. – Nie mogę przystać na taki układ, choćby z szacunku dla tych, których
skrzywdzili bohaterowie tego archiwum.
– Pani mecenas, niech pani będzie rozsądna. Czy warto ginąć dla ideałów?
– Nieraz warto. Moja decyzja jest ostateczna.
Zaśmiała się diabolicznie.

– I tak dostanę te papiery. Przyznaję, że są dobrze ukryte, ale i tak do nich dotrę, mam swoje sposo-
by. Pani już tego nie doczeka, bo teraz choroba przyspieszy. Wtedy, jak się widzieliśmy, zapomniałem
nadmienić, że konsekwencje przerwania terapii będą przerażające. Przykro mi.

– Sukinyśn!

Opuściła samochód. Wołga natychmiast odjechała, i to z piskiem opon.

Zuza odwiązała Borysa i kontynuowała spacer. Z sądu wyprowadzano Józwiaka, był niegdyś jej
klientem, ale kiedy nie udało jej się go wybronić z rozboju, zmienił adwokata. Jego prawo, nie miała
o to pretensji. Zresztą już niedługo wszyscy jej klienci będą musieli uczynić to samo. On też ją zobaczył,
uśmiechnął się, pewnie i z nowego mecenasa jest niezadowolony. Na Tumach zobaczyła grupkę mło-
dzieży z Małachowianki. Siedzieli na ławkach i palili papierosy. Ona też tak kiedyś robiła, przez te lata
nic się nie zmieniło. Zawróciła i skierowała się w stronę Górek. Tajemnica tamtejszego lochu nie dawa-
ła jej spokoju. Piosik ze swoją ekipą od jakiegoś czasu mieli baczenie na to miejsce. Jednak nic spekta-
kularnego się tam nie działo.

Natknęła się na niego przy pomniku Broniewskiego. Siedział na jego stopniach i popijał z piersiów-
ki.

– Kurwa mać, nie pij na służbie! – ryknęła. – Upijesz się i coś przegapisz. Od dziś do odwołania wpro-
wadzam prohibicję.

- A co to jest ta prohabicja?
- Zakaz picia! Rozumiesz?
- Jasne, pani mecenas, ale tu można zdechnąć z nudów. Widzę tylko rozmodlone ludziska, jak zapierdalają na mszę, no i księży. Ci to mają życie, pani nawet nie wie, jakie dziwki tu się schodzą. Sam bym się z nimi zabawił. - Zarechotał.
- Zazdrościsz im?
- No pewnie. Choć do jednego z nich przychodzi facet. Temu to nie zazdroszczę. No bo z chłopem?
- Dobra, nie zagaduj tu mnie. Widziałeś coś ciekawego? Mów!
- Odkąd tu czatuję, żaden frajer tam nie zajrzał. Zaraz przyjdzie Tadek i mnie zmieni.
- Tadek? Masz na myśli mojego sąsiada?
- Jasne, to równy gość, a i wychłać może. Nosi pod kapotą dubeltówkę naładowaną solą i nieraz z niej wywalił, że aż miło.
- Poważnie? Nie wierzę.
- Słowo, zaklinam się na moją mamuszkę.
- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się na nią nie zaklinał?
- No dobra, pani mecenas. Dwa razy napadły nas bandy chuliganów, chcieli forszy. No to Tadek chwycił spluwę i jak wałnął z tych dwóch rur, to spierdalali, że aż jeden z nich buta zgubił.
- A co z milicją? Przecież było przy tym huku co niemiara.
- Psy nic nie widziały, a ludziska nie donieśli.
- Od dłuższego czasu Piosik przyglądał się uważnie Zuzie.
- Coś pani dziś jakaś inna.
- Wydaje ci się. Przyszłam do ciebie w konkretnej sprawie. To jest cholernie ważne i dlatego skup się na tym, co zaraz ci powiem.
- Zamieniam się w słuch, pani mecenas. Pani wie, ja dla pani wszystko.

Major Kownacki chodził zamyślony po swoim pokoju. Nagle sięgnął po słuchawkę.

- Zawołajcie mi tu szeregowego Oparę, i to migiem.
- Po kilku minutach Opara przężył przed nim pierś.
- Melduję się na rozkaz.
- Spocznijcie. Powiedzcie mi, co sądzicie o Mariańskim.
- Melduję, że nic nie sędzę. Kapitan Mar...
- Kurwa mać, ile razy mam wam wbijać w ten zakuty łeb, że to szeregowy Mariański?
- Tak jest, towarzyszu majorze. Szeregowy Mariański jest moim zwierzchnikiem.
- Jakim zwierzchnikiem, do cholery? Wy jesteście szeregowy i on jest szeregowy.
- Melduję, towarzyszu majorze, że szeregowy Mariański jest kapitanem, a ja kapralem.
- Idiota! Precz mi z oczu. Chcieliśmy przydzielić wam zadanie, ale jesteście na to za głupi.
- Tak jest, towarzyszu majorze!
- Przyślijcie mi tu porucznik Pawłowicz.
- Zjawiła się kwadrans później.
- Co tak długo? Ile mamy na was czekać?
- Melduję, że jedliśmy drugie śniadanie.
- Kurwa mać, wy ciągle jecie. Spójrzcie na siebie, jak wy wyglądacie?
- Melduję, że nie patrzymy na siebie, bo rok temu stłukliśmy ostatnie lustro, a w sklepie próżno szukać lustra, bo są braki.

– Co wy pierdolicie? W naszym kraju nie ma braków, a jeśli są, to przez wstrętnych imperialistów. Zapamiętajcie to sobie.

– Tak jest, towarzyszu majorze.

Zuza wróciła do domu. Wiedziała, że cudowne lekarstwo niebawem przestanie działać i będzie zmuszona wrócić do pastylek, ale zanim do tego dojdzie, miała w zapasie trzy szpryce, które nawet nieboszczyka postawiłyby na nogi. Postanowiła użyć jedną z nich. Chwilę trwało wpompowanie w żyłę morfiny z jakimś dodatkiem. A jednak na koniec zostałam ćpunką, pomyślała.

Był późny wieczór, nadwiślańską ulicą Rybaki szła kobieta, stukot jej szpilek uderzających o chodnik niósł się hen daleko, a wyzywający strój zdradzał wykonywaną przez nią profesję. Ulica była pusta. Od strony rzeki napłynęła mgła gęstniejąca z minuty na minutę. W oddali pojawiła się sylwetka nysy. Samochód jechał wolno, a kiedy mijał kobietę, nagle się zatrzymał. Wskoczył z niego jakiś mężczyzna i ją zaatakował. Siłą wciągnął kobietę do auta, obezwładnił ją, po czym na powrót usiadł za kierownicą i odjechał.

Szara nysa zatrzymała się przed ośrodkiem wczasowym Bałałajka w Grabinie. Kierowca otworzył bramę i wjechał na jego teren. Zaparkował przed domkiem o numerze trzynaście. Z samochodu wyniósł bezwładną kobietę i zawłókł ją do środka. Rzucił ją na wyrko i dopiero wtedy zapalił światło.

Kto to jest? Patrzył zdumiony. To na pewno nie była Wanda Talarska. Nachylił się nad kobietą i wtedy został dźgnięty czymś ostrym w lewy bok. Zabolalo okropnie. Zgiął się wpół i zwałił na podłogę. Siedział oparty plecami o ścianę, wył z bólu, prawą dłoń trzymał na ranie, między palcami spływała mu krew.

– Kim jesteś? – wyszeptał.

– Nie poznajesz mnie, ty sukinyń? Pożyczyłeś mi lewarek, a ostatnio zapraszałeś na kawę. Miałeś rację, krzycząc za mną: „do rychłego zobaczenia!”. Nie ukrywam, nie myślałam, że twoje słowa będą prorocze. To tu przetrzymywałeś te kobiety?

Zuza rozglądała się po izbie. Schyliła się i spod łóżka wyciągnęła długi łańcuch.

– Miałeś mnie tym przykuć? Czyli nie od razu zabijałeś, najpierw przetrzymywałeś swoje ofiary. Paściłeś się nad nimi? Zadawałeś im ból i to cię podniecało?

– To pomyłka, nikogo nie zabijałem. Pomyliłem panią z kimś innym, nic do pani nie mam.

– Ale ja mam do ciebie, ty pojebusie. Zachodziłam w głowę, kto to robi, a ty byłeś na wyciągnięcie ręki. Wciąż cię spotykałam. Kurwa mać, jaki ten los bywa przewrotny.

– Krwawię, niech mi pani pomoże, bo się wykrwawię – jęczał.

– Jaki wrażliwy! Widziałam twoje ofiary, one też były wykrwawione, i to co do kropelki.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie.

– Kłamiesz, suko, nie mogłaś nic zobaczyć.

Zmienił ton, już nie skamlał. Jego głos nabral nieprzyjemnej barwy.

– Kamienica pry Grodzkiej dwanaście, mówi ci to coś?

– To byłaś ty? Myśleliśmy, że to zwykli włamywacze.

– My? Kto jest twoim współnikiem? Gadaj, i to już, inaczej tu zdechniesz. Chyba tego byś nie chciał?

– Jest mi wszystko jedno. Nic nie powiem. Zresztą ty też już nie pociągniesz długo. Wszyscy wiedzą, że się kończysz. Dziwię się, skąd u ciebie tyle sił, pewnie się czymś naszprycowałaś.

– To nie twój zasrany interes. Odpowiedz mi na kilka pytań, to ci założę opatrunek. Rana jest głęboka, więc spiesz się.

– Pieprz się.

– Dobra, nie to nie.

Zuza przeciągnęła łańcuch i przykuła do niego mężczyznę. Sięgnęła do kieszeni jego kurtki, szukała dokumentów, bo nawet nie знаła jego nazwiska. Nic nie znalazła, więc zaczęła przeszukiwać domek. Robiła to metodycznie, aby nic nie przegapić.

– O co chcesz spytać? – usłyszała nagle. Przerwała swoją robotę.

– Jak masz na imię?

– Janek.

– A nazwisko jakies masz?

– Kowalski.

Słyszając to, parsknęła śmiechem.

– Jan Kowalski. Zero oryginalności. Nie mogłeś czegoś sam wymyślić, tylko posłużyłeś się danymi ze skrzynek pocztowych?

– Spierdalać!

– Nic w tobie pokory. Jesteś w wiejskiej sytuacji, a zachowujesz się tak, jakbyś to ty mnie więził. Krew z ciebie wciąż kapie, kap kap, pamiętaj o tym. Czas nie działa na twoją korzyść. Ile litrów może wykapać z człowieka? Ty to pewnie wiesz, jesteś specjalistą od jej upuszczania. Patrz, jak los jest przewrotny.

Wróciła do przeszukiwania domku. Po kwadransie się poddała.

– Powtórzę pytanie. Jak się nazywasz? Nie bądź głupi, trzeba cię opatrzyć.

– Pierdol się. Jeśli myślisz, że wygrałeś, to się zdziwisz. Brzuch ci rozpruję tak jak tamtym kurwom. Zrobię to na żywca, żeby cię bolało, kurewsko bolało – szeptał.

W jego głosie było coś tak strasznego, że aż poczuła zimny dreszcz w kręgosłupie.

– Niedoczekanie twoje, sukinsynu – warknęła.

Z torebki wyjęła strzykawkę i zaaplikowała nową szprycę. Nie mogła sobie teraz pozwolić choćby na chwilę słabości, bo nie wiedziała, na ile głęboka jest rana zwyrodnialca, ile jeszcze drzemie w nim sił. Tacy często wykazywali się nadludzką odpornością.

Gdzie schował te cholerne dokumenty? Może zostawił je w samochodzie? Pójdzie to sprawdzić.

Otworzyła drzwi i wyszła przed domek. Nagle poczuła potworny ból głowy i wszystko zgasło.

Mariański leżał na pryczy i bezmyślnie patrzył w otwarte drzwi od sali naprzeciwko. Akurat wszedł tam pielęgniarz i zaczął słać wolne łóżko.

– Ktoś nowy przychodzi? – krzyknął do niego.

– Tak, baba, też tak jak wy, milicjant.

– Skąd ona? Może z Płocka?

– A skąd mam wiedzieć? Jeszcze jej nie przyjeśli.

Kapitan poczuł niepokój, bo jedyna kobieta w komendzie, o której pomyślał, to była Pawłowicz. Ka-
żda, tylko nie ona.

Zsunął się z pryczy i poszedł na przespiegi. Przyczał się przy drzwiach i przez okienko wyglądał na korytarz. Nagle jego twarz pokryła śmiertelna bladeść. Dwóch pielęgniarzy prowadziło jego największy koszmar, porucznik Pawłowicz. Tylko nie to!

Ona też go ujrzała.

– Moje szczęście! – krzyknęła i ruszyła w stronę Mariańskiego.

Ten spanikował i rzucił się do drzwi. Pchnął pielęgniarzy i wybiegł na korytarz. Pędził jak szalony ku wyjściu. Był jak najdalej od Pawłowicz. Jego mózg wyłączył się kompletnie, bo nie zastanowiło go, że wszystkie drzwi są otwarte, że nikt go nie goni.

Wpadł przed szpital i wskoczył do nysy stojącej na podjeździe.

– Jedź! – krzyknął do kierowcy. – To rozkaz, jestem milicjantem, kapitanem.

– Tak jest, szeregowy Mariański! – odparł tamten i odwrócił się przodem do niego.

Kapitan patrzył zdumiony na roześmianą twarz majora.

– Durniu, myślałeś, że uciekniesz przed nami? My mamy długie ręce, sięgają nawet tu, do czubków. Będziesz siedzieć, jakem Kownacki. W kryminale będą mieć radochę. Oj, zabawią się z twoją tłustą dupą.

Przy nysie nie wiadomo skąd pojawili się dwaj pałowi i zakuli wciąż niemogącego się otrząsnąć ze zdumienia kapitana. Na koniec przysłała Pawłowicz, usiadła obok majora.

– Gratuluję awansu, kapitanie Pawłowicz, obejmiecie szefostwo pionu kryminalnego.

Nowak nerwowo wykręcał do Kowalskiego, ten wciąż nie odbierał. Wreszcie chyba dziesiąta próba zakończyła się sukcesem.

– Słucham? – Usłyszał jego zaspiany głos.

– Coś się stało z Zuzą. Jestem mocno zaniepokojony.

– Może nie żyje? Tylko nie to!

– Mam nadzieję, że żyje, ale zaginęła. Nigdzie jej nie ma. Jej sprzątaczką narobiła rabanu. Miała ją zmienić przy Marcinkowskim, ale się nie zjawiała.

– Może jest w kancelarii. Sprawdziłeś tam? Jest słaba, ostatnio zdarzało jej się przysnąć w fotelu.

– Byłem tam, w oknach ciemno, to chyba jej nie ma. Dzwoniłem do Jolki, ale też nic o niej nie wie. Ponoć z kimś była umówiona, ale nie chciała zdradzić z kim. Była bardzo tajemnicza.

– Sprawdziłeś szpitale? Może zasłabła na ulicy? W jej stanie wszystko jest możliwe.

– Też o tym pomyślałem i najpierw je obdzwoniłem. Musimy działać. – Sierżant się niecierpliwił.

– A może poczekajmy do rana?

– Nie, musimy teraz, rano może być za późno. Jolka wspominała mi o jakimś adwokacie, co ją nachodził. Nazywa się Jodelka, jest z Warszawy.

– Znam go, to szemrany typ. Ma powiązania z bezpieką i lepiej się trzymać od niego z dala. Nie wiesz, czego chciał?

– Zuza w rozmowie mimochodem napomknęła, że chodziło o archiwum Wiśniewskiego.

– Jeśli porwała ją bezpieka, to nie jesteśmy w stanie wyciągnąć jej z ich łap, jesteśmy na to za cieni. Wiem, że kogoś śledziliście. Ponoć chodziło o jakieś znikające trupy? Jolka coś mi o tym mówiła w wielkiej tajemnicy. Zuza zawsze się w coś wplącze.

– Owszem i wiemy, co się z nimi stało, znamy miejsce ich przechowywania i obserwujemy je.

– Zwariowaliście?! – wykrzyknął Kowalski. – Igraliście z szaleńcem? Zuza miała zawsze odjechane pomysły. Dziwne, że dopiero teraz znika, bo od lat szuka guza.

– Przestań biadolić jak stara baba, intuicja nigdy jej nie zawiodła. Popytam jeszcze Piosika, może on coś więcej wie.

– Nic, tylko Piosik i Piosik, w końcu pociągnie ją na dno.

– Nie pierdol głupot. Od lat korzysta z jego usług i nigdy nie nawalił. Każdy potrzebuje kogoś takiego. Idę go poszukać.

– W nocy? Gdzie go znajdziesz?

– To już mój problem. Ty wciąż zapominasz, że przez wiele lat pracowałem w dochodzeniówce.

Sierżant najpierw udał się na Kościuszki. Zdziwił się, bo na miejscu zastał tego, kogo szukał, jak i pana Tadzia. Myny mieli bardzo markotne. To go jeszcze bardziej zaniepokoiło.

– Pani mecenas zaginęła, nie wiecie, co się z nią stało?

– Poszła na wabia – zaczął Piosik – zamiast tej Wandy, prostytutki. Przebrała się w jej lachy.

– Co ty pierdolisz? Kurwa mać, mów po kolei, bo nic nie rozumiem. Czemu się przebrała i za kogo?

– Pani mecenas wiedziała, że ten pojebus zjawi się dziś w nocy, i wiedziała, że przyjdzie po tę kurwę z Rybaków.

– Masz na myśli Wandę Talarską? – zaświtało mu nagle.

– No właśnie. Pani mecenas przebrała się za nią, no i udało się.

– Co się udało? Wciąż nic nie rozumiem. – Sierżant wbił w niego natarczywe spojrzenie. – Mów, do cholery! Złapaliście go?

– No, nabrał się i porwał panią mecenas.

– Jak to porwał? I wy do tego dopuściliście? Przecież on ją zabije, tak jak tamte.

– Miałem ją śledzić moją ładą, taki był plan, ale nie zapaliła – wtrącił pan Tadzio. – Nigdy nie było z nią problemów, ruskie dziadostwo.

– Czemu mi nie powiedziała? Bylbym wam pomógł, dodatkowo ubezpieczał.

– Bała się, że pan się nie zgodzi, żeby ryzykowała, że pan wszystko zepsuje.

– To było szalone, ona jest chora, słaba i nie poradzi sobie z szaleńcem. Widzieliście ten samochód?

– Tak, to była nysa.

– Mam nadzieję, że macie jej numer rejestracyjny?

Piosik z panem Tadzkiem spojrzeli po sobie.

– Nie, tylko nie to. – Nowak był przerażony ich niefrasobliwością. – Zdurnieliście? Jak teraz mamy jej pomóc? Takich nys są tysiące. Macie jakiś pomysł? Słucham. Pamiętajcie, że czas nie jest naszym sprzymierzeńcem. Tam gdzieś w Plocku lub w jego okolicach psychopata przetrzymuje naszą przyjaciółkę. Widzieliście go? Jak wygląda?

– Ciemno było i mgła. Był wysoki i chudy – wydukał Piosik.

– Wysokich i chudych jest jeszcze więcej niż nys – skwitował sucho sierżant.

– Muszą ją tu przywieźć tak jak poprzednie – wtrącił pan Tadzio. – Zaczaimy się.

– Zapomniał pan, że tu to przywożą nieboszczki – odparł Nowak z przekąsem. – Na Grodzką też, a więc będzie za późno.

– No to co mamy zrobić?

– W tej sytuacji nic. Jedynie czekać i ufać, że sobie z nim poradzi. Jaki miała plan? Nie uwierzę, że na przebraniu się skończyło, za dobrze ją znam.

– Miała przy sobie dwa noże i chciała wykorzystać zaskoczenie.

– Jest bardzo słaba, nieraz widziałem, jak się przytrzymywała ściany, żeby nie upaść. Kryła się z tym, jak mogła, ale nie zawsze to się jej udało.

– Załatwiła sobie specjalny zastrzyk. On od razu postawił ją na nogi.

– Morfina z dodatkami, znam to. Na długo nie starczy. Po tym zawsze przychodzi kryzys.

– Wzięła ze sobą jeszcze ich kilka – zauważył Piosik.

– Może przedawkować i co wtedy?

– Wiedziała o tym, ale to twarda kobita. Wciąż gadała, że to jej ostatnie śledztwo, że chce załatwić tego gnoja, i to na amen w pacierzu. Powiedziała też, że tamten ma znajomości, że władze leb ukuręą sprawie i dlatego musi działać, wykończyć sukinsyna, nim zrobi krzywdę następnej kobiecie.

Zuza powoli otworzyła oczy. Leżała na podłodze. Nad nią ktoś stał. Podniosła wzrok, teraz widziała wyraźnie, że to ten psychol. Śmiał się, no tak, triumfował. Teraz on był górą. Przebrał się. Powoli zaczynała sobie przypominać ciąg wydarzeń. Wychodziła na dwór, kiedy ktoś ją zaatakował od tyłu, zapewne jego wspólnik. Nie było go w pomieszczeniu.

– Widzę, że pani mecenas odzyskuje świadomość. I co teraz będzie? Mam z tobą problem, bo to nie ty miałaś tu być teraz. Mój wspólnik każe mi cię ukatrupić i wyrzucić do jeziora. Waham się, czy go posłuchać. W końcu jesteś lepszym kąskiem od zwykłej prostytutki. Postaram się go przekonać.

– Kim jesteś i dlaczego zabiłeś te kobiety? Teraz chyba możesz mi powiedzieć? Jak by nie było, to jestem twoim jeńcem.

– To skomplikowane. Długo by trzeba opowiadać. Mów mi Marek.

– Mam czas, gadaj.

– Nie masz czasu, tu i teraz muszę rozwiązać twój problem.

Zza paska wyjął długi nóż i położył go na parapecie.

W oknie zabłyśły światła reflektorów, nadjechało jakieś auto.

– To współnik. Nie bój się, on ma wprawę i szybko cię oporzędzi – zachichotał.

Drzwi się rozwarły i w progu stanął nieznamy z wołgi. Zuza od razu go poznała.

– Czemu tu przyjechałeś? Miałeś się tu nie pokazywać – rzucił ten, który kazał do siebie mówić Marek. Wyraźnie nie jego oczekiwał i nie krył niezadowolenia.

– Mam coś dla ciebie, na wymianę. Potrzebuję tej kobiety, w zamian przywiozłem prostytutkę. Jest w bagażniku.

– Nie, rozmyśliłem się. Nie chcę tej kurwy, wołę prawnika. Spierdalaj stąd, bo się na ciebie poskarżę.

Przybysz rozeźmiął mu się w twarz, po czym wyciągnął zza pazuchy pistolet.

– Czubku, nie przeginaj. Patrzymy przez palce na wasze dokonania, ale nasza cierpliwość się kończy. Myślisz, że staruszek będzie cię wiecznie chronił? Słyszałem, że go odwołują, że wyjeżdża do Moskwy, a co za tym idzie, traci tu swoje wpływy.

– Łżesz! To nieprawda!

– Prawda! Módl się, żeby i was ze sobą zabrał, bo inaczej ryby wami nakarmimy. Nie potrzeba nam tu takich pojebów. Ostatni raz proponuję ci wymianę. Bierz tę kurwę z bagażnika, a ja zabieram tę kobietę.

Zuza przysłuchiwała się temu w zdumieniu. O co tu naprawdę chodziło i jaką rolę w tym wszystkim odgrywał tajemniczy nieznamy z wołgi?

– Niech będzie – odezwał się Marek. – Pójdę po nią.

Wyszedł z domku.

– Kryjesz takiego pojeba?! – ryknęła Zuza na mężczyznę, który został.

Wzruszył ramionami.

– Takie dostałem rozkazy. Nie wnikam w to, to nie moja sprawa. Odnosnie do ciebie też je dostałem. Jeśli nie wydasz nam tych papierów, to skończysz z kulką w głowie. Tak, że masz o czym teraz myśleć.

Słyszac to, Zuza rozeźmiała się w głos.

– Czy wyglądam na idiotkę? Przecież wiem, że i tak skończę z kulką w głowie. Nie pozwolicie, żeby te brudy wyszły na światło dzienne.

– Gównu wiesz, nie masz pojęcia, o co tu chodzi. Myślisz, że o tego świrusa i jego współnika? Tu chodzi o jego ojca. O jego przychylność zabiega sam Jaruzelski. On jest kluczem do wszystkiego i on jest parasolem bezpieczeństwa nad nimi. To są jego bękarty, ale tylko nieliczni o tym wiedzą. Jeśli go Moskwa odwoła i ich ze sobą nie zabierze, to marnie skończą.

– Tak jak ja?

Zaskrzyphiały otwierane drzwi. Wrócił porywacz. Trzymał w dłoni obrzyna i już od progu wygarnął z niego prosto w pierś mężczyzny z wołgi. Huk był przy tym potworny, szyby zadrżały w oknach, zaś ofiara trafiona dwiema kulami naraz z impetem uderzyła plecami o ścianę i osunęła się na podłogę. Zuza przywarła do łóżka. Nie trzeba było lekarza, żeby stwierdzić, że facet jest martwy. Trudno byłoby mu żyć z dziurą w brzuchu wielkości piłki futbolowej.

– Masz, sukinsynie! – krzyknął zabójca. – Tu ja ustalam prawa!

Przeładował broń i lufę skierował w stronę Zuzy.

– Chcesz iść za nim? Zrobisz jakiś głupi ruch, a ja wtedy pif-paf. Idę po tę kurwę, porównam was i dopiero wtedy podejmę decyzję.

Opuścił domek. Słyszała, jak mocował się z pokrywą bagażnika, jak kłął, i to ile wlezie, na jej zamek. Pewnie się zaciął. To dawało jej jakże cenny czas. Nie była skrepowana, jedynie za nogę przykuta do ściany. Łańcuch był długi i udało jej się dosięgnąć torebki, tam miała szprycę. Wiedziała, że zaraz działanie morfiny zacznie słabnąć, a wtedy nie będzie mieć żadnej szansy na uwolnienie się, braknie jej na to sił, więc musiała się spieszyć. Gumą ścisnęła sobie rękę powyżej łokcia i wbiła igłę w żyłę, po czym wtoczyła w nią zawartość strzykawki. Jej położenie wydawało się prawie beznadziejne, ale miała przy sobie jeszcze jeden fant, o którym porywacz nie wiedział. Gdyby ją dobrze znał, to zwróciłby uwagę na jej buty. Zuza była znana z miłości do nich. Teraz miała na stopach szpetne kozaki. Nigdy by takich nie założyła, nawet udając prostytutkę, ale tym razem nawet się nie zawahała, bo były specjalnie przygotowane na tę okazję, w obcasie lewego buta tkwił nóż. Właśnie go wydobyła i postanowiła poczekać na odpowiedni moment, żeby dokończyć to, co wcześniej zaczęła. Zdążyła to wszystko zrobić w ostatniej chwili, bo porywacz w końcu uporał się z bagażnikiem i powrócił, ciągnąc za włosy jakąś kobietę. Pchnął ją w stronę Zuzy i znowu chwycił obrzyna. Faktycznie, to była Wanda Talarska, czemu nie posłuchała dobrej rady i nie wyjechała z Płocka? prostytutka była śmiertelnie przerażona, ze strachu trzęsła się jak w febrze. Co chwila zerkła na trupa.

– No i którą z was mam wybrać? Sam już nie wiem. Tak czy owak, jedna z was skończy w jeziorze z trylinką przywiązaną do pleców. Obydwie jesteście dobre w swoim fachu, obydwie potraficie zadowolić swoich klientów, kurwa jest trochę młodsza, a papuga bystrzejsza. No i mam dylemat. Dziś nie podejmę decyzji.

Z szafy wyjął drugi łańcuch, jeden jego koniec przymocował do ściany, a do drugiego przykuł Talarską.

– Teraz możecie sobie gruchać do woli, moje gołąbeczki. Ja jadę do domu, wrócę jutro.

Zgasił światło i opuścił domek. Zazgrzytał klucz w zamku, a po chwili usłyszały odgłos uruchamianego silnika. Samochód odjechał.

– Czemu mnie nie posłuchałaś?! – ryknęła Zuza. – Ty durna babo! Na co liczyłaś?

– Pani mecenas, ja panią posłuchałam i przeniosłam się do koleżanki. Tamten, co leży na podłodze, przyszedł po mnie. Powiedział, że pani go przysłała, no to poszłam.

Punkt ósma rano Mariańskiego wprowadzono do sali przesłuchań. Świetnie ją znał, spędził tu wiele godzin, próbując wymóc zeznania na aresztowanych. Tym razem role się odwróciły.

Posadzono go na krześle i przykuto do stołu. Klawisz wyszedł, a po chwili wkroczyła Pawłowicz. Podszła do aresztanta i usiadła naprzeciw niego. Kapitan patrzył na nią z przerażeniem. Każdy, tylko nie ona. Wciąż miał w pamięci jej szalone orgie, na samą myśl bolał go penis.

Z torby wyjęła wielką bułkę naszpikowaną salcesonem.

– Jesteście głodni?

– Nie jedliśmy od wczoraj – bąknął, wpatrując się w jedzenie jak sroka w gnat.

– I nie zjecie jeszcze długo.

Wbiła zęby w bułkę i zaczęła ją wolno przeżuwać. Mariański czuł, jak mu ślinka cieknie, a kiszki grają marsza.

Pawłowicz tymczasem celebrowała konsumpcję kanapki, jakby jadła co najmniej szynkę z prawdziwej świni.

Wreszcie skończyła. Wytarła usta dołem rękawa. Wstała i nachyliła się Mariańskiemu do ucha.

– Wzgardziście moim uczuciem i to był wasz błąd. Nigdy się tego nie robi kobiecie. Wyślemy was do kryminału, a tam będą was gwałcić na okrągło, zrobią wam z dupy befsztyk.

Kapitan zbładł.

Kobieta wróciła na swoje miejsce i wyjęła notatnik.

– Nazwisko?

– Mariański.

– Jaki jest wasz stopień?

– Kapitan.

– Gówno prawda, jesteście szeregowym. Jaki jest wasz stopień?

– Kapitan.

– Kurwa mać, ile razy mam wam powtarzać, że jesteście tylko szeregowym? Co za tępak! Jak was skażemy, to i szeregowym nie będziecie, tylko zwykłym cywilnym śmieciem. Jesteście podejrzani o przygotowywanie spisku mającego na celu obalenie jedynego słusznego ustroju. To jest jak zdrada stanu. Wiecie, co za to grozi? Czapa!

– My nikogo nie zdradziliśmy. Jesteśmy niewinni! – krzyknął.

– Zamknąć mordę! Teraz my mówimy. Jak wam wsadzimy paluchy w drzwi i je z rozmachem zamkniemy, to przyznacie się do wszystkiego. Chyba wiecie, jak to działa? Czyż sami tego nie stosowaliście?

– Ale my wami nie wzgardziliśmy. To jakieś nieporozumienie – zaczął bełkotać.

– Czyżby? A kto wypierdalał przede mną z wariatkowa jak szalony? Kurwa mać, wyglądaliście, jakbyście diabła zobaczyli. Tak wam się podobam?

– Ależ nie, my jesteśmy niewierzący, my w diabła nie wierzymy.

– Co? Tchórz was obleciał i zmieniacie front? Nie ze mną te numery. Wydajcie swoich współników, to spojrzymy na was laskawszym wzrokiem.

– Jakich współników? – zdumiał się Mariański. – MY nie mamy żadnych współników.

– Działacie sami? Jesteście na to za głupi. Kogo kryjecie? Gadajcie, i to już!

Kowalski i Nowak już od samego rana naradzali się, co czynić dalej. Tymczasem aplikantka postanowiła przyjrzeć się bliżej mieszkaniu przy Grodzkiej. Dobrze pamiętała, że Zuza uważała je za klucz do rozwiązania sprawy. Sawczyński, najemca lokalu, nie figurował w żadnych spisach. Nie był też pracownikiem Petrochemii. Kim on naprawdę był? Zwróciła się o pomoc do koleżanki ze studiów pracującej w Warszawie. Wcześniej tego nie zrobiła, bo tamta kiedyś odbiła jej chłopaka i Jolka nie mogła jej tego wybaczyć, ale tym razem się przełamała. Poprosiła ją o sprawdzenie nazwiska w tamtejszych rejestrach. To było wielkie wyzwanie, bo stolica to spore miasto, ale na szczęście nazwisko rzadkie. Było tylko kilku Sawczyńskich. Jeden z nich zwrócił jej szczególną uwagę, a właściwie jedna, bo chodziło o kobietę. Pojawiła się tuż po wojnie. Nie miała metryki ani żadnych innych papierów mogących potwierdzić jej nazwisko. Ponoć była więźniarką obozu koncentracyjnego w Birkenau. To zadziałało lepiej niż jakakolwiek metryka. W papierach była adnotacja, że nie żyje, że popełniła samobójstwo. No cóż, bywało, że przeżycia obozowe doprowadzały ludzi do ciężkiej depresji, a stąd był tylko krok do odebrania sobie życia. Jedno Jolkę zdumiało: ta kobieta zmarła w Płocku. Czyżby to było to, czego szukała?

Długo się zastanawiała, postanowiła pójść tym tropem, tym bardziej że nie miała żadnego innego. Od razu udała się do wuja do płockiego prosektorium.

– Kogo moje oczy widzą? Jaki interes cię tu sprowadza, bo normalnie to do mnie nie zaglądasz? – Ludwiczki przywitał ją, nie szczędząc jej uszczypliwości.

– Potrzebuję pilnie protokołu sekcji sprzed wielu lat.

– A co, twojej pryncypalce nie chce się dupy ruszyć i pofatygować osobiście? A może już jest na marach?

– Jesteś obrzydliwy. Jak możesz w ogóle tak mówić?

– Wiesz, jak mi przez lata zaszła za skórę? Tego się nie zapomina.

– Zostawmy to – ucięła kłótnię. – Potrzebuję informacji o niejkiej Sawczyńskiej.

– Nie przypominam sobie nikogo takiego. Kiedy umarła?

– Gdzieś ze dwadzieścia lat temu.

– Poczekaj, pójdę do archiwum. Możesz w tym czasie wyjąć mózg z tego sztywniaka? – Wskazał ręką jakiegoś trupa leżącego na pobliskim stole.

– Czy to miało być dowcipne? Jeśli tak, to nie bardzo – odparła, kręcąc z niesmakiem głową.

– Nie masz za grosz poczucia humoru, jak twoja matka.

Ludwicky wrócił po godzinie.

– Sporo się naszukałem. Teraz nawet ją sobie przypominam.

Podał jej starą i brudną papierową teczkę. Aplikantka otworzyła ją i zaczęła przeglądać.

– Była w ciąży?

– Skoro tak jest w protokole, to pewnie tak było.

– Czegoś mi tu brakuje – odezwała się po chwili.

– To znaczy? – Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Nic tu nie ma o tatuażu obozowym. Miała go na ręce, tak jak wszyscy więźniowie.

– Pokaż mi.

Wziął teczkę i zajrzał do niej. Trwało to chwilę.

– Na sto procent ta kobieta nie miała tatuażu. Tę sekcję robiłem z doktorem Fijałkiem, a on był jeszcze bardziej skrupulatny niż ja. Nie mogliśmy tego nie ująć w raporcie, to jest niemożliwe. Ta kobieta nie była więźniarką.

– Jak zginęła?

– Masz to w raporcie. Utopiła się w wannie, ale najpierw rozpruła sobie brzuch. Okropna śmierć, trzeba mieć niezłe popieprzone we łbie, żeby coś takiego wymyślić.

– Może to nie było samobójstwo? Może ktoś ją zamordował?

– Nie wiem, to już nie moja sprawa. My robimy sekcję, a milicja ustala to, co się wydarzyło. Możliwe, że Pawłowicz coś ci powie. Idź i popytaj.

– Pawłowicz? A kto to? Nie słyszałam o nim.

– To baba, przyszła w miejsce Mariańskiego. On siedzi w areszcie i pewnie skończy w kryminale, bo sekretarzowi Gutkowskiemu ostro zalazł za skórę. Smutny to koniec gwiazdy naszego pionu kryminalnego, ale bywa i tak.

– Ale by się pani mecenas ucieszyła.

– By? Co z nią? Tylko nie mów, że tę heterę szlag trafił? Wiem, że jest chora, ale niedawno ją widziałem i jeszcze niezłe się trzymała.

– Porwano ją.

Ludwicky z wrazenia wypuścił skalpel z ręki.

– Poważnie? Kto ją porwał? Chyba jakiś szaleniec albo desperat. Jej się nie porywa. Ona każdemu przyniesie pecha.

– Nie wiedział, że ją porywa, bo przebrała się za prostytutkę.

– Za kogo? – Patolog ze zdumienia wybałuszył oczy. – A po co? Mało ma wrażeń?

– Chciała dorwać zabójcę, a jak się okazało, to on ją dorwał. Mam jeszcze jedno pytanie: gdzie ta kobieta popełniła samobójstwo? Pamiętasz adres?

– Chyba żartujesz. Ale w papierach powinno to być.

Ponownie otworzyła teczkę. Nagle serce mocniej jej zabiło, Grodzka 12.

Jolka wpadła do kancelarii jak bomba.

– Mam coś!

Opowiedziała sierżantowi i Kowalskiemu wszystko, co odkryła. Adwokat natychmiast udał się do prokuratury, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Zabielski pracował tam najdłużej, on powinien pamiętać sprawę.

Sierżant tymczasem poszedł na Grodzką, łudząc się, że porywacz się tam zjawi, zanim zabije Zużę. W tym momencie mieli pod obserwacją dwa miejsca, wszystkie związane z tamtą samobójczynią. Byli pewni, że złapią psychola, ale to było stanowczo za mało. Kowalski wrócił, mocno zawiedziony, po godzinie. Niczego się nie dowiedział, stwierdzono samobójstwo i śledztwo zamknięto. Teraz we dwóch zaczęli się w bramie, Jolka dyżurowała w kancelarii i w razie czego miała być ich łącznikiem. Czas biegł nieubłaganie, napięcie rosło, a szanse na odnalezienie Zuży żywej drastycznie zmalały. Zapadł mrok, z zakamarków Starego Miasta wypelzał element niczym szczury z kanałów. Co i raz byli przez niego zaczepiani. Killkrotnie sierżant był zmuszony wyciągnąć pistolet i go przeladować. Dopiero to stłumiło zapędy co niektórych.

Dochodziła dziewiąta, kiedy na podwórko zajechała szara nysa. Wsiadły z niej dwie osoby i udały się do oficyny. Sierżant wyrwał tetetkę zza paska i razem z Kowalskim pobiegł na górę. Nie zamierzali się cackać z bandytami, może jeszcze nie jest za późno i uda im się Zużę uratować. Na to liczyli. Wtarnęli do mieszkania. Nowak wycelował w pierwszą z zakapturzonych postaci.

– Ręce do góry! – krzyknął.

Owa postać zrzuciła kaptur i ujrzeli swoją przyjaciółkę.

– Ciszej, do cholery! Co ty wyprawiasz? – ryknęła na niego.

– Żyjesz!?! – Nowak nie krył radości, ściskając ją serdecznie. – Chwała Bogu, bo już myśleliśmy, że przywieźli tu twoje zwłoki.

– Niedużo brakowało. Sukinsyn był mocny jak dąb. Myślałam już, że mu nie dam rady, ale nie byłam sama. – Wskazała swoją towarzyszkę. Teraz i ją poznali, to przecież Wanda Talarska.

– A ona skąd tu?

– To dłuższa historia. Najważniejsze, że uspiłam jego czujność. Udałam, że zasłabłam, a kiedy się nade mną schylił, wbiłam mu nóż w szyję. Każdy inny by leżał martwy, ale nie on. Wyrwał go sobie jak zadrę z palca i rzucił się na mnie. Na szczęście Wanda mi pomogła. Teraz muszę położyć się w wannie i udawać trupa. Trzeba się spieszyć.

Zuza zaczęła zrzucać z siebie odzienie. Nagle przestała i spojrzała na mężczyznę.

– Może wyjdziecie, bo mnie to krępuje.

– Zaraz, zaraz, chwila moment – wtrącił się Kowalski. – Czemu to robisz, skoro już uziemiliście tego popaprańca?

– To nie koniec. On miał współnika i musimy go dorwać. Dzisiejszy wieczór był dla nich ważny, ale wciąż nie wiem dlaczego.

– Rocznicą – usłyszeli zza pleców. To aplikantka, zjawiała się tu nagle i niepostrzeżenie. – Dziś mija dwudziesta piąta rocznica śmierci niejakiej Sawczyńskiej. Tego dnia odebrała sobie życie, i to w tej wannie.

– Sawczyńska? – Zuza zdziwiła się. – Nic mi to nie mówi. Pewnie przez tę chorobę mam jakieś zaćmienia. Ta psychopatka, która tu przed wojną mordowała kobiety, chyba inaczej się nazywała?

– To fałszywe nazwisko, ta kobieta podszywała się pod więźniarkę Birkenau. Podejrzewam, że prawdziwa Sawczyńska zginęła.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Trochę poszperałam, odświeżyłam pewną trefną znajomość i miałam sporo szczęścia.

– Rozumiem. Wcześniej nazywała się Solczynow. To nazwisko pamiętam. – Zuzie teraz wszystko zaczęło pasować. – Wróciła po wojnie, pewnie zatęskniła za rodzinnymi stronami. Zabiła się w taki sam sposób, w jaki mordowała swoje ofiary, a może to nie było samobójstwo, tylko zemsta? Bardziej przy-

chylam się do drugiej wersji. Ktoś z rodzin ofiar ją rozpoznał i wymierzył jej sprawiedliwość, ale nie będziemy już tego dochodzić, bo jej się to należało. Ciekawe, gdzie ją pochowano? Może w krypcie pod kamienicą na Górkach? W tej kamienicy mieści się kaplica prawosławna i mieszka pop. W sumie to się nawet kupy trzyma. Psychopatyczne rodzeństwo, dzieci radzieckiego generała mordują kobiety, później zawożą ich ciała tam, gdzie zginęła ich matka. Odprawiają nad nimi jakieś chore rytuały, a później wywożą w miejsce jej spoczynku, a wszystko to pod ochroną безпеki. Co dalej robią, nie wiem, ale zaraz się dowiem. A teraz idźcie już. Muszę się do końca rozebrać.

Posłusznie, choć niechętnie opuścili mieszkanie. Mieli sporo zastrzeżeń do tego planu. Był chyba jeszcze bardziej szalony niż poprzedni, ale co Zuza postanowiła, to było święte i się z tym nie dyskutowało.

Zrzuciła do końca ubranie, ale zanim weszła do wanny, sięgnęła do torebki po ostatnią szprycę.

Po godzinie na podwórzu przy Grodzkiej dwanaście zajechał wojskowy żuk. Tak jak zawsze, mężczyźni w mundurach polowych weszli na górę, a po chwili znieśli podłużny pakunek i wrzucili go na pakę. Następnie pojazd odjechał. Kowalski z sierżantem i aplikantką wybiegli na ulicę. Wsiadli do pikapa Nowaka i pojechali w stronę Górek. Samochód zaparkowali przy Kościuszki i pobiegli w stronę pomnika Broniewskiego. Czekał tam na nich Piosik. Był bardzo podekscytowany.

– Przywieźli trupa. Cholera, to może być pani mecenas – relacjonował z przejęciem.

– Ona żyje – uspokoił go Nowak. – Czy ktoś tu jeszcze się pojawił, czy tylko ci żołnierze?

– Jeszcze widzielim, jak zajechała biała łada. To pewnie goście do lokatorów, bo mieli sporo paczek.

– Trzeba to sprawdzić. Macie jakąś broń, mam na myśli noże, drewniane pałki, cokolwiek?

– Ja tam zawsze coś mam – rzekł Piosik i spod kapoty wyciągnął łom.

– No to idziemy tam, tylko ostrożnie.

Ruszyli gęsiego w stronę kościoła. Zatrzymali się przy wejściu. Spojrzeli po sobie.

– Ja idę pierwszy – zdecydował Nowak i zza paska spodni wyciągnął pistolet. Przeladował go i wszedł do budynku. Przez nikogo niezauważeni, zeszli po schodach na dół do pierwszych drzwi. Były zamknięte. Sierżant odsunął się na bok. To była robota dla Piosika, miał większą wprawę. Migiem uporał się z zamkiem i mogli iść naprzód.

Zuza leżała w trumnie, udając nieboszczyka. Żołnierze nic nie zauważyli, a więc jak do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Zdziwiło ją, że mówili po rosyjsku. Czyżby Rosjanie w polskich mundurach? Po co była cała ta mistyfikacja? Miała nadzieję, że niebawem się tego dowie, i z niecierpliwością czekała na rozwój wypadków. Była przemarznięta, bo było tu okropnie zimno, ale w tej chwili nie to było jej największym zmartwieniem, tylko okropny smród gnijących trupów. Zaskrzypiały drzwi, zabłysło światło. Zuza ostrożnie uniosła powieki. Zobaczyła dwoje ludzi. Nie знаła ich.

– Masz świeczki? – spytała kobieta.

– Oczywiście, zaraz to ogarnę.

Mężczyzna wyjął z torby znicze i zaczął je rozstawiać. Przy każdej trumnie dwa. Kiedy zbliżył się do Zuzy, szybko zamknęła oczy i wstrzymała oddech. Poczula od niego drażniący zapach taniej wody kolońskiej. Wierciła w nosie, z trudem hamowała się, żeby nie kichnąć. Wreszcie odszedł. Wkrótce znów mogła obserwować pomieszczenie. Nieznajoma nachyliła się nad pakunkami, z którymi przyszli. Zaczęła jeden z nich rozwijać.

To niemożliwe, okropność. Zuza z przerażeniem patrzyła na zwłoki niemowlaka. On był... zamrożony, w świetle iskrzyły się drobinki lodu pokrywające martwe ciało.

Gutkowska, pomyślała. Teraz wszystko stało się jasne. Była siostrą mężczyzny, który ją porwał, wskazywało na to ich ogromne podobieństwo. Choroba psychiczna okazała się tu dziedziczna. Tak matka, jak i dzieci były psychopatami, ale czemu mąż? No bo chyba to był jej mąż. Najwyraźniej nie

chciał wychowywać tyłu dzieci, więc wybrał lepsze wyjście – nadliczbowe pochował. Dobrali się oboje niczym dwa zepsute ziarna w korcu maku.

A ona z Nowakiem cały czas źle szukali, bo noworodki były trzymane w zamrażarce. Kurwa mać, przecież kiedyś o tym pomyślała, ale odrzuciła to rozwiązanie, szkoda, bo może by się udało uratować choć jedną z tych nieszczęśliwych.

Nawet na chwilę nie spuszczała wzroku z Gutkowskiej. Co ona robi, do cholery? – zastanawiała się.

Tamta podeszła do zwłok pierwszej z kobiet, rozchyliła rozcięcie na jej brzuchu i zaczęła wciskać noworodka do środka. Długo się z tym mordowała, nim się jej w końcu udało. Kiedy skończyła, męczyzna zaczął zaszywać brzuch. Gutkowska wróciła do paczek, by rozpakować następne zawiniątko.

Czegoś takiego to chyba jeszcze nikt nigdy nie wymyślił w dziejach ludzkości. To jest obrzydliwe. Zuza z trudem powstrzymywała torsje.

Musiała to jakoś przerwać, ale jak? Była naga, nie miała przy sobie żadnej broni prócz niedużego noża, który wcześniej ukryła w ręce. To był właściwie szczyryk. Czemu nie ma jeszcze Nowaka i reszty? Powinni już tu być. Co się stanie, kiedy Gutkowska dojdzie do niej? Przecież nie da sobie brzucha rozciąć i wcisnąć tam martwego niemowlaka.

Pod wpływem emocji Zuza delikatnie się poruszyła, co nie uszło uwadze mężczyzny.

– Ona żyje! – krzyknął do swojej współtowarzyszki i ruszył w kierunku ostatniej trumny. Jego żona, słysząc to, z wrażeń wypuściła z ręki akurat trzymane zwłoki. Te spadły na posadzkę, w efekcie czego od ciała oderwały się główka i noga.

– Dobij ją! Dobij tę sukę! – Gutkowska zawyla z wściekłości.

Zuza nie zamierzała czekać na jej męża, wyskoczyła z trumny, po czym pchnęła ją w jego stronę. Ta z głośnym łoskotem runęła na posadzkę. On potknął się, zatoczył, ale złapał się ściany i utrzymał na nogach.

– Dorwę cię, ty kurwo, i zatłukę! – mruczał pod nosem.

Chwyił stalowy drąg.

– Tym cię załatwię, ty podstarzała prostytutko! Już jesteś martwa.

– To nie prostytutka! – krzyknęła jego żona. – Marek dał się jej oszukać, to prawniczka, niejaka Lewandowska. Czemu jej nie ukatrupił? Kazałam mu ją wrzucić do jeziora. A w ogóle, czemu go tu jeszcze nie ma?

– Bo twój Marek smaży się już w piekle, ty popierdolona suko! – ryknęła na Gutkowską Zuza, jednocześnie cofając się powoli w stronę ściany. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pręt w rękę jej męża. Co znaczył jej szczyryk przy łomie napastnika? Tyle co nic. Śmieszna broń. W bezpośrednim starciu nie miała żadnej szansy.

– Ręce do góry!

To Nowak, dlaczego zjawił się dopiero teraz? Mało brakowało, by nie zdążył.

Gutkowski jakby nie usłyszał, w ogóle nie zareagował na wezwanie. Był już metr przed Zuzą. Jeszcze chwila i zaparkuje łom na jej głowie. Nowak, do cholery, na co czekasz? Zaraz będzie za późno. Wreszcie strzelił, pręt upadł z brzękiem na posadzkę, a po chwili w ślad za nim osunął się napastnik.

Zuza odetchnęła z ulgą. Chyba jest już po wszystkim. Jolka pośpiesznie podeszła do niej i podała jej swój płaszcz, żeby się nim okryła.

– Stasiu! Co oni ci zrobili? – Gutkowska rzuciła się na zwłoki męża z głośnym płaczem. Nagle poderwała się do góry.

– Zapłacicie mi za to! Nie wiecie, z kim zadarliście! Już po was, wy główniane polaczki! To wyście zabili naszą matkę, mimo że była w ciąży.

– No właśnie, nie wiemy, z kim zadarliśmy, i jesteśmy tego ciekawi – zakpiła Zuza.

– Mój ojciec jest generałem w armii radzieckiej, a wasz Jaruzelski liże mu dupę. Skończycie na Sybirze, tam wasze miejsce.

– A ty w Tworkach, w pokoju bez klamek, ze ścianami wyłożonymi materacami.

Pojawili się milicjanci, sprowadził ich Kowalski. Na widok trumien z nagimi kobiecymi ciałami i noworodka, od którego odpadły głowa i noga, kilku z nich zwymiotowało.

Zuza tymczasem wyszła przed kamienicę i usiadła na schodku u stóp pomnika Broniewskiego.

– Daj papierosa – zwróciła się do Kowalskiego.

– Mam tylko marlboro.

– Mogą być. Chcę zapalić, póki szpryca działa. Później wróci smutna rzeczywistość. Łudziłam się, że przy zwłokach tego nieznanego z wołgi odnajdę to cudowne lekarstwo, którym ponoć leczyli Breżniewa, ale spotkał mnie srogi zawód. Jedyne, co znalazłam, to jego dokumenty i już wiem, kim był. Władysław Dybalski, pułkownik służby bezpieczeństwa. Pewnie został oddelegowany do sprawowania pieczy nad świrniętym potomstwem sowieckiego generała. Patrzyli przez palce na ich wyczyny, żeby się przypodobać tatusiowi. Skoro Jaruzelski mu salutuje, to podejrzewam, że ich ojcem jest szef ruskich wojsk stacjonujących w Polsce. Pocięchy mogły tu robić wszystko, co chciały, a i tak zamiatano to pod dywan. Teraz wiem, dlaczego wszyscy bali się Gutkowskiego, bądź co bądź zięcia wielkiej szczyhy. Ciekawi mnie, co będzie, jak ta sprawa wyjdzie na wierzch, bo tego nie da się ukryć. O tym jutro będzie mówić cały Płock, a za kilka dni cały kraj.

Podszedł do nich Nowak.

– W samochodzie znaleziono dwa kanistry benzyny. Podejrzewają, że na koniec chcieli to wszystko spalić.

– A przy okazji lokatorów kamienicy – zauważyła Zuza z przekąsem. – W sumie to takie radzieckie podejście. Jestem wykończona, idę do domu.

– Poczekaj, to cię odwiozę – zaproponował sierżant.

– Nie fatyguj się, dobrze mi zrobi świeże powietrze. Trzeba korzystać, bo dziś wyjątkowo z Petrochemii nie śmierdzi. Dobranoc.

Poszła w stronę Kościuszki, odprowadzana zatroskanymi spojrzzeniami przyjaciół.

– To była jej ostatnia sprawa. Żal – odezwał się Nowak. – Tyle razem przeszliśmy, tyle rozwiązanych śledztw i nagle koniec. Co ja będę na tej rencie robił, jak jej zabraknie? Chyba z nudy sobie w leb strzelę.

– Będziesz się opiekował Borysem – rzekła Jolka. – Waham się, czy nie wziąć Zgagi. Nikt jej nie chce, a przecież nie może wrócić do zoo, to byłoby wobec niej podłe.

– No tak, ale Zuza jeszcze kota przygarnęła. A co z nim?

– Moja ciotka lubi koty, to ją poproszę.

– Kurwa mać, co wy gadacie? – huknął na nich Kowalski. – Zuza jeszcze żyje i widzę, że nie zamierza się poddawać, a wy już się dzielicie jej dobytkiem. Jesteście gorsi od hien.

– O nie, trudno to nazwać dobytkiem, raczej kłopotem, i to sporym.

– Nieważne. Faktem jest, że istnieje lekarstwo na tę chorobę. Kilka dni je brała i czuła się wyśmienicie, paliła i piła jak za dawnych czasów.

Sierżant, słysząc to, pokręcił głową.

– Co za przewrotność losu, teraz wszyscy się cieszą, kiedy Zuza pije i pali ponad miarę, a jeszcze niedawno się tym martwiliśmy. Pewnie, że jeszcze nie tracimy nadziei, ale stąpamy twardo po ziemi. Do dziś nie wymyślono leku na tę odmianę raka i los naszej przyjaciółki jest przesądzony. To cudowne lekarstwo, które brała, było pewnie jakąś odmianą narkotyku. Miało działać, do momentu aż Zuza pozbędzie się archiwum Wiśniewskiego. Taka jest prawda. Ona się do tego, co ma nastąpić, już przygotowała, nawet uregulowała sprawy związane z grobem rodzinnym i uroczystością pogrzebową. Wiem, że napisała mowę pożegnalną. Zobowiązałam się ją odczytać. Chodźcie już, poodwożę was do domów, na dziś wystarczy wrażeń.

Minęły trzy dni. Tak jak Zuza przewidziała, w Płocku aż huczało od plotek. Niektórzy nawet powiadali, że UFO wylądowało na Górkach i porwało popa. Tego dnia w komendzie milicji panowało wielkie poruszenie, bo przyjechał Komendant Główny Milicji, żeby uhonorować wybitnego funkcjonariusza, który przyczynił się do ujęcia psychopatycznej zabójczynie, niejakej Gutkowskiej. W obecności sekretarza partii i wielu lokalnych oficjeli generał Rapacki wywołał bohatera.

– Kapitanie Mariański, występ.

Najpierw ukazał się wielki brzuch, a dopiero po chwili reszta ciała.

– Za wybitne zasługi dla naszej ludowej ojczyzny Rada Państwa przyznaje wam Złoty Krzyż Zasługi. Jesteśmy z was dumni!

– Ku chwale ojczyzny, towarzyszu generale!

Dwie godziny później major Kownacki został wezwany do stawienia się w pokoju numer dwanaście na pierwszym piętrze. Idąc tam, głowił się, kto go wzywa. Zapukał.

– Wejść! – Usłyszał ze środka dziwnie znajomy głos. Poczul niepokój. Nie, to niemożliwe, musiał się przesłyszeć.

Wszedł i stanął jak wryty.

Za biurkiem siedział Mariański i dłuwał sobie wykałaczką w zębach. Na jego piersi błyszczał świeżo przypięty order.

– Czego chcecie? – spytał Kownacki.

Kapitan oblizał wykałaczkę i położył ją na blacie biurka.

– Szeregowy Kownacki, czemu się nie meldujecie? – ryknął niespodziewanie. – Bacność!

– Uważajcie, Mariański, stąpajcie po kruchym lodzie – warknął major.

– No to czytajcie. – Wziął do ręki leżącą przed nim kartkę i mu ją podał. – Czytajcie, no chyba że nie umiecie, to my wam to przeczytamy. Poprosiliśmy generała o małą uprzejmość. Nawet się nie zawahał, kiedy podpisywał wasz awans na szeregowego, a teraz odmaszerować – powiedział, głośno rechocząc. – Aha, jeszcze jedno, postanowiliśmy dać wam szansę, po kilkunasztu latach możecie nawet awansować na sierżanta, ale musicie się bardzo starać. Cieszcie się, że was nie wsadziliśmy do kryminału. Doceńcie to, a teraz wypierdalajcie, i to już.

Kownacki wyszedł z pokoju. Był kompletnie oszołomiony. Rozpiął kołnierzyk u koszuli, bo brakło mu powietrza, cała jego piękna kariera milicyjna jednego dnia legła w gruzach niczym domek z kart.

Doszedł do okna, otworzył je szeroko, głęboko oddychał, czuł narastający ucisk w klatce piersiowej, aż nagle złapał go przeraźliwy ból, dosłownie rozdzierający serce.

Tego dnia Zuza poczuła następne tąpnięcie swojego stanu zdrowia. Z coraz większym trudem się poruszała, a ból chwilami stawał się nie do zniesienia. Domyślała się, że choroba weszła w trzecie, ostatnie stadium. Tak w każdym razie twierdził doktor Kalicki, a on jak mało kto potrafił człowieka brutalnie obedrzeć z jakiegokolwiek nadziei i za to, że mówił prosto z mostu, bardzo go ceniła. Tak jak zwykle na śniadanie udała się do baru mlecznego i tak jak zwykle zanim zabrała się do konsumpcji, zerknęła do gazety, a tam następna zła informacja. Stan zdrowia Breżniewa znacząco się pogorszył, czyli cudowne lekarstwo było tak naprawdę gówno warte, tak jak wszystko to, co bolszewickie. Na dole strony zauważyła informację, która wywołała uśmiech triumfu na jej twarzy. Generał Witalij Gmurow, głównodowodzący wojsk radzieckich w Polsce pożegnał się z polskimi przyjaciółmi i powrócił do Związku Radzieckiego, żeby objąć równie odpowiedzialne stanowisko w Nowosybirsku na Syberii.

– Gratuluję awansu, sukinsynu – szepnęła z drwiną w głosie i złożyła gazetę. Zażyła trzy ampułki pyralginy i popiła je kakao.

Drzwi sali przesłuchań aresztu otworzyły się raptownie i w progu stanął kapitan Mariański ze skórną teczką w dłoni. Podszedł do aresztantki, którą chwilę wcześniej klawisz przykuł do stolika.

– No i co, szeregowa Pawłowicz? I znów się spotykamy. Nawet nie wiecie, jak się cieszymy, że tu jesteście, bo to jest idealne miejsce dla takich jak wy. Jedliście już śniadanie? Pewnie nie, pozwolicie, że my się posilimy.

Wyjął z teckki dwie grube kanapki przełożone salcesonem i zaczął konsumpcję. Nie spieszył się, każdy kęs bardzo powoli przeżuwał, celebrował. Pawłowicz siedziała nieruchomo, kiszki grały jej marsza z głodu, z kąciaków ust ciekła ślina, oczy szczerze nienawidziły kapitana, ale nie odezwała się nawet słowem.

Zjadł pierwszą kanapkę, potem następną.

– Zaczynamy przesłuchanie – odezwał się, kiedy skończył. – Znacnie nijaką Gutkowską? Współdziałałście z nią? Wiecie, że jak wam to udowodnimy, to będziecie wisieć? Z nami się nie pogrywa, my wszystko wiemy, a jak nie wiemy, to będziemy wiedzieć. Zrozumiano?

– Tak – odburknęła.

– Nie słyszeliśmy! Głośniej!

– Tak! – krzyknęła.

– Żle! Macie powiedzieć: „Tak jest, towarzyszu kapitanie!”. Powtórzcie.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie!

– Bardzo dobrze – pochwalił ją. – Wiecie, za co dostaliśmy Krzyż Zasługi? Za łapanie takich gadzin jak wy. Władze nas docenili, a wy nas wsadziliście do kryminału. Teraz będzie odwrotnie, wy będziecie gnici za kratami albo zadyndacie, a my będziemy awansować, już dostaliśmy gabinet szeregowego Kownackiego. Jego samego wysłaliśmy z pałką na ulicę. Grubi jesteście, to i ciężcy, może się sznur pod wami urwać. – Roześmiał się w głos, bardzo zadowolony ze swojego dowcipu. – A, jeszcze jedno. Pamiętacie nasze pierwsze spotkanie? Powiedzieliście, że was do pudła nie wsadzę, i co? Myliliście się! Nieprędko z niego wyjdziecie. Wiecie, co z wami zrobią, jak się dowiedzą, że byliście milicjantem? Aż strach pomyśleć. Nie chcielibyśmy być w waszej skórze, o nie.

Zuza tak źle się dziś czuła, że Kowalski musiał odwieźć ją do domu, inaczej by nie doszła.

W progu prawie zderzyła się z Geńką.

– Pani mecenas, kociak uciekł. Jedynie na chwilę otworzyłam drzwi i widocznie wtedy się wymknął. Przepraszam.

– Nie dobijaj mnie. Tylko tego mi jeszcze potrzeba.

Z dezaprobatą pokręciła głową i poszła do łazienki. Drzwi były zamknięte, światło się świeciło, ale nikt nie odzywał się ze środka. To pewnie znów robota Tomaszka. Wsunęła pilnik przez szparę w drzwiach i podważyła haczyk. Faktycznie nikogo nie było, ale usłyszała jakieś dziwne odgłosy dochodzące od strony wanny. Cholera, może to szczur. Na ich widok wpadała w panikę. Chwyciła szczotkę klozetową i ostrożnie podeszła bliżej. O nie, to Wrzód cały umorusany we krwi. A to sadysta, przecież on kotu odciął prawie cały ogon, zauważyła z przerażeniem. Zostawił mu jedynie mały kikucik. Niech tylko ten zwyrodnialec wpadnie jej w łapy. Jak można się tak znęcać nad zwierzęciem? Cała się zatrzęsa ze złości. Opatrzyła kociaka tak jak potrafiła i zabrała go do siebie.

Geńka dawno już poszła. Zuza siedziała na kanapie i patrzyła jak sroka w gnat w ostatnią porcję lekarstw. Ta była potrójna, cała ich garść, tak kazał lekarz. Nowych nie będzie, pozostała morfina i czekanie na koniec. Została tylko jedna niewiadoma: kiedy on nastąpi? Na szybko robiła rachunek sumienia. Wszystkie najważniejsze sprawy zakończyła, w urzędach też uporządkowała dokumenty, nawet grób ogarnęła. Dwa tygodnie temu prezesowi spółdzielni „Kacze Pióro” oddała ostateczną wersję swojej autobiografii, a wczoraj z proboszczem uzgodniła, komu przekaze archiwum sekretarza Wiśniewskiego.

Jeszcze została kwestia Marcinkowskiego. Z trudem dźwignęła się na nogi i podeszła do jego posłania. Usiadła przy nim.

– Co mam z tobą zrobić? Powiedz mi. Kto się tobą zajmie, kiedy mnie już nie będzie?

Nagle otworzył oczy. Tak, jakby ją usłyszał. Chciał coś powiedzieć. Nachyliła się do jego ust, żeby coś usłyszeć.

– Nie bierz tego – wyszeptał.

O czym on mówi? – zdziwiła się. O jaką sprawę mu chodzi? Pewnie mu się we łbie zupełnie pomieszało.

– To spiszek. Nie bierz tego!

Teraz usłyszała bardzo wyraźnie. Szybko chwyciła magnetofon i włączyła nagrywanie.

– Do cholery, o czym ty mówisz? Zupełnie cię nie rozumiem. Kto cię tak urządził i dlaczego?

– Dybalski...

– Mam zupełny galimatias w głowie. O co tu chodzi?!

– Bo chciałem cię ostrzec – wykrztusił.

– Ale przed czym chciałeś mnie ostrzec? Pewnie chcieli mnie w coś wrobić? A może chodzi o Leszka? Coś knuje na mnie?

Marcinkowski zamilkł, przymknął oczy. Cholera, akurat teraz. Najwyraźniej zmęczyła go ta rozmowa. Nic dziwnego, był bardzo słaby.

Poruszył ręką i powoli uniośł powieki.

– Oni chcą cię zabić, uknuli szatański plan. – Przerwał na chwilę, zbierał siły. – Nie bierz tych świństw, nie rak cię wykańcza, ale one. Ty nie masz raka. Jesteś zdrowa.

W Zużę jakby piorun strzelił.

– Jak to nie mam raka? Co ty gadasz? To niemożliwe, przecież są wyniki prześwietlenia, byłam na Wawelskiej, miałam drugi rentgen i to potwierdzili. Rozmawiałam z lekarzami.

– To lipa, robota bezpieki, podstawieni ludzie i fałszywe wyniki.

– Nie wierzę! Wiem, że to skurwysyny jakich mało, ale nie byłoby mnie łatwiej zaciukać w jakiejś branie? Po co zadawać sobie tyle trudu? Wciąż nic nie rozumiem.

– Jesteś za bardzo znana i potrzebowali kwitów Wiśniewskiego. Chyba ich nie wydałaś?

– Cięliby mnie na kawałki, a bym ich nie wydała, nic nie dostali, ale wszystko mnie boli, nie mogę być zdrowa, coś mi dolega... Nie mogę jeść, nie mogę pić ani palić!

– Te świństwa słonia by wykończyły. Ja się sprzeciwiłem. Wyrzuć te cholerne tabletki! – wykrzyknął i umarł.

Zuza złapała lusterko i przybliżyła je do ust pułkownika. Niestety, było idealnie czyste.

– Kurwa mać! – krzyknęła na całe mieszkanie. – W jakim kraju przyszło mi żyć?

Zgarnęła tabletki z ławy i z rozmachem wrzuciła je do śmietniczki. Podeszła do lustra i spojrzała na swoje odbicie. To było przerażające, jak się zmieniła od początku leczenia. Postarzała się, cera zrobiła jej się ziemista, nawet włosy straciły połysk. Kto uknuł tę intrygę? Czy to był Dybalski, czy ktoś znacznie wyżej? Prawie im się udało, bo uwierzyła, ale każdy by się na to nabrał. Marcinkowski w ostatniej chwili uratował jej życie, i to nie pierwszy raz. Co teraz?

Wrzuciła magnetofon do torebki, bo zamierzała udać się do prokuratury, ale zabrakło jej sił. Nie było rady, musiała się położyć i odpocząć. Na pewno trochę czasu potrwa, nim jej organizm oczyści się z trucizny i będzie mogła wrócić do normalnego życia. Teraz należało uzbroić się w cierpliwość. Dopiero po godzinie poczuła się na tyle dobrze, żeby wyjść z domu.

Prokurator okręgowy nie chciał jej przyjąć, ale się tym nie przejęła, tylko mimo sprzeciwu sekretarki wtargnęła do jego gabinetu.

– Co koleżankę sprowadza? – spytał ze sztucznym uśmiechem na ustach.

Nic nie mówiąc, włączyła magnetofon.

W pokoju zaległa grobowa cisza, słychać było jedynie odtwarzane głosy. Zuza obserwowała twarz gospodarza, która coraz bardziej bledła, i czuła satysfakcję.

– Czego koleżanka ode mnie oczekuje? – spytał sucho po wysłuchaniu nagrania.

– Wypuszczenia tych dwóch działaczy Solidarności, których oskarżacie o zabicie pułkownika, i załatwienia jakichś papierów, żebym mogła go pochować. No bo skoro już go raz pochowano, to jest z tym spory kłopot.

– Coś jeszcze?

– To wszystko. Zabójca nie żyje, więc nie ma szans na ustalenie jego mocodawców.

– A co to za papiery Wiśniewskiego? Dużo o nich słyszałem. Czy dotyczą przestępstw? Może prokuratura powinna się nad nimi pochylić?

– Jakie papiery, panie kolego? Nic o nich nie wiem – odparła z szerokim uśmiechem, po czym wrzuciła magnetofon do torby i wyszła.

Wracając, wstąpiła do proboszcza. Jak zwykle grał na bębnach. Ciekawe, kiedy on się modli? Był zaskoczony jej wizytą. Pewnie prędkiej oczekiwał informacji, że wyzionęła ducha.

– Jak się cieszę, że cię widzę. Co cię, kochana, do mnie sprowadza?

– Sprawa pogrzebu.

– Ależ, moja droga, o czym ty mówisz? Przecież widzę cię w dobrym zdrowiu.

– Owszem, czuję się nieźle, ale nie chodzi o mnie, tylko o mojego... tatę. Trzeba go złożyć w grobowcu rodzinnym. A tak z innej beczki, ma ksiądz co zapalić? Kieliszczyk też nie odmówię, a swoją drogą mógłby mi ksiądz oddać moją ulubioną zapalniczkę, bo jeszcze się nie wybieram na tamten świat.

KONIEC